

Waśko:
Potrzeba romantyzmu

Skoczeń, Kąkol:
Fundamenty ewaluacji

Zembaty:
Nauki techniczne do NCBR?

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 5/2022

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)

Romantyzm na nowo odczytany Str. 20-35



Wroński:
Plagiaty w sinologii

Hora:
Uczelnia transparentna

Urbańczyk:
Fani w Internecie

30 FORUM AKADEMICKIE LAT

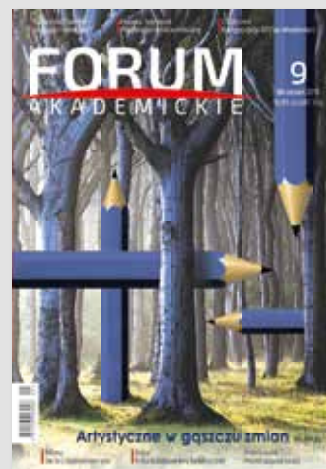
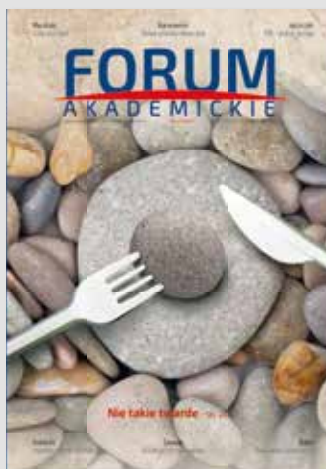
„Forum Akademickie” towarzyszy polskiej nauce i szkolnictwu wyższemu od roku 1991 (początkowo jako „Przegląd Akademicki”). Przez cały ten okres informuje o najważniejszych wydarzeniach z obszaru nauki i szkolnictwa wyższego, rozwiązaniach instytucjonalnych i prawnych, reformach systemowych i codziennych problemach badaczy. Tysiące uczonych i pracowników sektora nauki i uczelni przedstawiało na łamach FA swoje opinie i pomysły. Głos zabierali

ministrowie i rektorzy, profesorowie i studenci, a także przedstawiciele otoczenia społecznego i gospodarczego uczelni i instytutów naukowych.

Miesięcznik informuje o wydarzeniach ze środowiska akademickiego znacznie pełniej niż gazety codzienne i portale poświęcone nauce. Pod prąd medialnych tendencji do upraszczania pokazujemy skomplikowany świat badaczy, ich motywacji, dążeń, marzeń. Objawiamy konteksty kulturowe, społeczne, historyczne, które kształtują polską naukę i edukację wyższą.

Częściej widzimy życie akademickie od lepszej strony, bo warto prezentować nowe inicjatywy i udane przedsięwzięcia. Nie stronimy też od krytyki działań osób i instytucji.

Pismo interesuje się wszystkimi dyscyplinami nauki. Dzięki temu daje Czytelnikowi, który jest najczęściej specjalistą w określonej dziedzinie, wgląd w inne obszary, obraz całości.



Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2022 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2022 roku. Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 230 zł; prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł. Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę, w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 166 za cały rok i 86 zł za pół roku.

Redakcja



INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Ewaluacja i kategoryzacja 2022 – I etap – <i>Błażej Skoczeń</i>	6
Wciąż znaczny dystans do liderów – <i>Zbigniew Kąkol</i>	7
Etap I po raz pierwszy – <i>Piotr Kieraciński</i>	8
Jakość, a nie punkty – <i>Agnieszka Chłoi-Domińczak</i>	9
Horyzontalny bilans – <i>Konrad Pfeiffer</i>	10
Ogólnopolsko czy bliżej studentów? – <i>Mateusz Grochowski</i>	11
Polski „rodzynek” – <i>Adam Surowski</i>	12
W elicie naukowej Europy – <i>Andrzej Jajszczyk</i>	12
Wsparcie dla Ukraińców – <i>Konrad Pfeiffer</i>	13
Jeśli nie MDPI, to co? – <i>Grażyna Lewandowicz</i>	14
Ewaluacja i awanse	15
Trzydziestoletni START	16
MDPI a sprawa polska – <i>Marek Kosmułski</i>	17
Zatem przejdźmy do faktów – <i>Andrzej Jabłoński</i>	18
Naprawdę warto trzymać się faktów – <i>Jakub Gismatulin</i>	19
Nowi profesorowie	23

ROZMOWA FORUM

Obecność romantyzmu – rozmowa z prof. Andrzejem Wašką, pracownikiem Wydziału Polonistyki UJ, redaktorem naczelnym dwumiesięcznika „Arcana”, doradcą Prezydenta RP Andrzeja Dudy	20
---	----

ROMANTYZM NA NOWO ODCZYTANY

Współczesna refleksja nad romantyzmem – <i>Arkadiusz Baglajewski</i>	24
Rozum romantyczny i gorączka pozytywistyczna – <i>Tomasz Kłusek</i>	28
Romantyczne style zachowań – <i>Marcin Lutomiński</i>	32

ŻYCIE NAUKOWE

Moje przygody z NCN – <i>Zbigniew Zembaty</i>	36
Nowe kierunki badań społecznych Od metodologii normatywnej do rekonstrukcyjnej – <i>Danuta Urbaniak-Zajac</i>	39
Z archiwum nieuczciwości naukowej (189) Plagiaty w polskiej sinologii – <i>Marek Wroński</i>	42

ŻYCIE AKADEMICKIE

Chcą zmian w stypendiach – <i>Konrad Pfeiffer</i>	46
Uczony i wiara – <i>Zbigniew Drozdowicz</i>	48
Pomiędzy sztuką a ekonomią – rozmowa z prof. dr. hab. Wojciechem Horą, rektorem UA w Poznaniu	51
Czytelnia czasopism – <i>Aneta Zawadzka</i>	60

Publikuj lub giń

Podzielmy to na trzy połowy – <i>Marek Misiak</i>	57
--	----

Z LABORATORIÓW

Upodmiotowienie fanów czy utowarowienie metafor – <i>Agnieszka Urbańczyk</i>	61
Wojny i epidemie w dziejach Rzeczypospolitej – <i>Renata Paliga</i>	65

W STRONĘ HISTORII

Kartki z dziejów nauki w Polsce (248)

Podręczniki – <i>Piotr Hübner</i>	68
--------------------------------------	----

OKOLICE NAUKI

Portrety nauki polskiej

Fotografie uczonych z przeszłości – <i>Marcelina Smużewska</i>	72
---	----

Książki

Propedeutyka Słowackiego – <i>Tomasz Kłusek</i>	77
Słucham, więc czuję? – <i>Aneta Zawadzka</i>	77
Romantyki i racjonalista – <i>Bogdan Bernat</i>	78
Demony wojny – <i>Jacek Hnidiuk</i>	78
O genezie kultury szlacheckiej – <i>Juliusz Gałkowski</i>	79
Książki nadestane	79

FELIETONY

Szkiełko w oku

O czytaniu (2) – <i>Piotr Müldner-Nieckowski</i>	76
---	----

Na marginesach nauki

Casus belli – <i>Leszek Szaruga</i>	80
Projekt okładki – <i>Sławomir Makal</i>	

Copernicus za badania holokaustu

WARSZAWA Prof. Krystyna Radziszewska z Uniwersytetu Łódzkiego i prof. Sascha Feuchert z Uniwersytetu w Gießen zostali laureatami Polsko-Niemieckiej Nagrody Naukowej COPERNICUS 2022. Otrzymali do podziału 200 tys. zł. Ich badania nad świadectwami literackimi z getta żydowskiego w Łodzi – drugiego największego getta w Polsce pod niemiecką okupacją – znacząco przyczyniły się do rekonstrukcji obrazów życia codziennego i kultury żydowskiej w getcie. Jury szczególnie doceniło pięciotomową publikację *Kronika Getta*, opracowaną przy współudziale innych pracowników naukowych, jak również *Encyklopedię Getta*. Publikacje te, opatrzone komentarzami i przypisami, to zapiski tworzone wspólnie przez mieszkańców żydowskiego getta, które służą zarówno dokumentacji wydarzeń historycznych, takich jak deportacje, ale też zachowaniu historii kultury żydowskiej. COPERNICUS przyznawany jest przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej i niemiecką fundację badawczą DFG (Deutsche Forschungsgemeinschaft).



Fot. Archiwum



Prezesa PAN z Palmami

WARSZAWA Prof. Jerzy Duszyński, prezes Polskiej Akademii Nauk, i prof. Roman Słowiński, wiceprezes PAN, zostali wyróżnieni Orderem Palm Akademickich. Doceniono ich wkład w promowanie francuskiej myśli nauko-



Fot. Ambasada Francji

wej w Polsce. Uroczyste wręczenie insygniów odbyło się w Ambasadzie Republiki Francuskiej w Warszawie. Dekoracji dokonał ambasador Francji w Polsce Frédéric Billet. Prof. Duszyński prowadził w Laboratorium Biologii Medycznej CEA w Grenoble badania z zakresu biologii molekularnej metabolizmu mitochondrialnego. Dzięki jego zaangażowaniu CNRS jest pierwszą zagraniczną instytucją publikującą wspólnie z PAN na poziomie międzynarodowym. Prof. Słowiński przez 10 lat wykładał w Katedrze Europejskiej na Uniwersytecie Paris-Dauphine. Kierowany przez niego Zakład Inteligentnych Systemów Wspomagania Decyzji na Politechnice Poznańskiej to efekt współpracy z Uniwersytetem Paris-Dauphine. Godność L'Ordre des Palmes Académiques to jedno z najstarszych cywilnych francuskich odznaczeń. Przyznawane jest wybitnym naukowcom oraz postaciom świata kultury i szkolnictwa.

Obrazy EUA w Polsce

BUDAPEST Gdańsk będzie w kwietniu 2023 r. miejscem kolejnej konferencji European University Association – poinformowano na zakończenie tegorocznej EUA Annual Conference, która odbywała się w Budapeszcie. W roli gospodarza wystąpi Politechnika Gdańska. Uczelnia miała gościć uczestników już w 2020 roku, ale wówczas z uwagi na pandemię koronawirusa zmieniono formułę wydarzenia, które ostatecznie odbyło się online. Wcześniej jego organizatorami były m.in. Bergen, Paryż, Zurich i Galway. EUA to największa organizacja reprezentująca europejskie uniwersytety. Powstała w 2001 roku. Zrzesza ponad 850 uniwersytetów i krajowych konferencji rektorów z 48 krajów. W tym gronie jest 36 pol-

skich uczelni i Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich. Na wszystkich uniwersytetach należących do EUA studiuje 19 mln osób. W Zarządzie EUA zasiada dr hab. Marcin Pałus, prof. UW, były rektor Uniwersytetu Warszawskiego i obecny przewodniczący Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Powstaje Klaster Metrologiczny

KIELCE Sześć uczelni znalazło się w gronie sygnatariuszy deklaracji o współpracy w celu utworzenia Klastra Metrologicznego. Będzie on adresowany głównie do przedsiębiorców, ale w jego działalność zaangażują się też organizacje pozarządowe i instytucje naukowe. Wśród 32 podmiotów popierających inicjatywę są: Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie, Politechnika Opolska, Politechnika Poznańska, Politechnika Świętokrzyska w Kielcach, Politechnika Warszawska, Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach i Główny Urząd Miar. Celem klastra jest aktywność na rzecz szeroko pojętej innowacyjności, tworzenie nowoczesnych rozwiązań w sektorze metrologii i wyznaczanie nowych trendów metrologicznych, które będą służyły polskiej gospodarce.



Fot. PSK

gają się też organizacje pozarządowe i instytucje naukowe. Wśród 32 podmiotów popierających inicjatywę są: Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie, Politechnika Opolska, Politechnika Poznańska, Politechnika Świętokrzyska w Kielcach, Politechnika Warszawska, Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach i Główny Urząd Miar. Celem klastra jest aktywność na rzecz szeroko pojętej innowacyjności, tworzenie nowoczesnych rozwiązań w sektorze metrologii i wyznaczanie nowych trendów metrologicznych, które będą służyły polskiej gospodarce.

Akademicki „wywiad”

WROCŁAW Centrum Badań nad Handlem Ludźmi powstanie na Wydziale Prawa Administracji i Ekonomii Uniwersytetu Wrocławskiego. Uczelnia będzie je prowadzić wspólnie z holenderską policją. Holandia jest często krajem docelowym lub stanowi kanał przerzutowy ofiar takich przestępstw. Dolnośląska jednostka ma być elementem sieci skupiającej badaczy i praktyków z różnych krajów, którzy mają zbierać i opracowywać informacje o tendencjach i zjawiskach związanych z handlem ludźmi na wczesnym etapie ich występowania. Z uwagi na to, że przestępcy działają w międzynarodowych sieciach, dane te będą przydatne dla służb wielu krajów. Na ich podstawie policja będzie mogła dostosować swoje strategie zwalczania tego typu handlu i politykę stawiania dopuszczających się go sprawców przed organami sprawiedliwości.

Więźniowie z indeksem

LUBLIN Centrum Studiów KUL dla Osadzonych ma umożliwić skazanym z całej Polski kształcenie na poziomie wyższym. To pierwsza tego typu agenda uniwersytecka w Europie. Ruszy w październiku. Będzie współfinansowana przez dwa ministerstwa: Sprawiedliwości oraz Edukacji i Nauki. Na jej prowadzenie uczelnia otrzyma zwiększenie subwencji o ok. 2 mln zł. Oferta obejmie na początku kierunek nauki o rodzinie



Fot. KUL

ze specjalizacją asystent osoby niesamodzielnej. KUL podjął się realizacji innowacyjnego projektu w zakresie resocjalizacji przez edukację już w 2013 r. Na kierunku praca socjalna kształcenie rozpoczęło wówczas 36 osadzonych. Zajęcia prowadzono początkowo w Areszcie Śledczym w Lublinie, a od II roku także w kampusie KUL. Studia I stopnia ukończyło dotychczas 18 osób, a cztery uzyskały dyplom magistra. Obecnie na KUL studiuje 26 osadzonych.

Medal dla byłej prezes UPRP

KRAKÓW Dr Alicja Adamczak, prezes Urzędu Patentowego RP w latach 2002–2019, otrzymała medal „Plus Ratio Quam Vis”. Wyróżnienie to przyznawane jest osobom szczególnie zasłużonym za działalność i dokona-



Fot. Anna Wojnar

nia dla dobra wspólnoty akademickiej oraz wyjątkowe zaangażowanie w sprawy Uniwersytetu Jagiellońskiego, a tym samym wcielającym w życie maksymę „Więcej znaczy rozum niż siła”. Dr Adamczak została uhonorowana za zasługi na polu prawa własności intelektualnej, zarówno na gruncie naukowym, jak i w działalności publicznej, m.in. za działania na rzecz rozwoju współpracy naukowej w zakresie prawa własności intelektualnej oraz podejmowanie inicjatyw legislacyjnych i promowanie rozwiązań prawnych w tej dziedzinie. Wraz z polskim środowiskiem naukowym przygotowała standardy i dobre praktyki nauczania prawa własności intelektualnej, wspierała także uruchomienie na Wydziale Prawa i Administracji UJ studiów magisterskich „Intellectual Property and New Technologies”.

Kosmiczne obserwacje

RZESZÓW Na terenie Akademickiego Ośrodka Szybowcowego Politechniki Rzeszowskiej w Bezmiechowej powstanie obserwatorium przestrzeni kosmicznej. Porozumienie w tej sprawie uczelnia zawarła z Polską Agencją Kosmiczną. Na jego mocy POLSA zapewni przeprowadzenie prac budowlanych oraz instalację, obsługę i utrzymanie infrastruktury przeznaczonej do obserwacji przestrzeni kosmicznej. Głównym celem obserwatorium będzie wyszukiwanie i śledzenie na niebie sztucznych satelitów Ziemi. Przy ciągle rosnącej ich liczbie staje się to konieczne dla uniknięcia zderzeń i zapewnienia bezpieczeństwa kosmicznego. Jednostka umożliwi także testowanie nowych rozwiązań technologicznych, szkolenie personelu w zakresie obserwacji SST (ang. Space surveillance and tracking), testowanie i doskonalenie procedur operacyjnych, realizację projektów przy współpracy z innymi instytucjami w Polsce.

Z duchem uczelni

WARSZAWA Po raz 10 rozdano statuetki Genius Universitatis za najlepsze działania reklamowe polskich uczelni. Uniwersytet SWPS nagrodzono za promocję nowego Systemu Identyfikacji Wizualnej oraz „Projekt Azja”, czyli cykl webinarów i podcastów Strefy Kultur, skierowany do osób zafascynowanych Azją. Politechnikę Wrocławską doceniono za miniserialem dokumentalnym *Nauka do potęgi* z udziałem pracujących na uczelni badaczy. Wydział Architektury Politechniki Białostockiej otrzymał statuetkę za East Design Days – imprezę, której misją jest prezentacja znaczących dokonań powstających na styku designu, technologii i biznesu. Uniwersytet Wrocławski dostał nagrodę za kampanię rekru-



Fot. UPRP

cyjną „Good to know”, a Uniwersytet Medyczny w Łodzi za serwis rekrutacyjny. Specjalna jubileuszowa statuetka Best Genius trafiła do Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu za uczelniany mural (na fot.), który jest nie tylko dziełem sztuki, ale także hotelem dla pszczoł murarek. Konkurs organizują: magazyn edukacyjny „Perspektywy” oraz portal Marketing przy Kawie.

Rośnie grono Polaków w EASA

LUBLIN Prof. Adam Biela z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II dołączył do grona członków Europejskiej Akademii Nauki i Sztuki. Jest 40 reprezentantem Polski w EASA. Kieruje Zakładem Psychologii Organizacji i Zarządzania w Instytucie Psychologii KUL oraz Katedrą Analizy Decyzyjnej w Instytucie Zarządzania i Marketingu KUL. Specjalizuje się w naukach o zarządzaniu, psychologii eksperymentalnej, przemysłowej i środowiskowej miejsca pracy. Zdefiniował w swoich badaniach pojęcie szopopsychologii (jako nauki o psychospołecznych uwarunkowaniach oraz konsekwencjach degradacji środowiska naturalnego przez struktury przemysłowe). Opracował też teorię zgrupowań agoralnych. W latach 1993–98 pełnił funkcję dziekana Wydziału Nauk Społecznych KUL. European Academy of Sciences and Arts powstała w 1990 roku. Jej celem jest promowanie nauki oraz naukowców i artystycznej wolności w poszukiwaniu prawdy. Skupia ponad 2 tys. naukowców, ludzi kultury i religii, w tym 34 noblistów.



Fot. KUL

Wirtualnie na miejscu zbrodni

SZCZECIN Salę symulacji wirtualnej rzeczywistości wyposażoną w symulatory ograniczeń osób ze szczególnymi potrzebami oraz wirtualnego miejsca zbrodni otwarto na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersy-



Fot. Filip Kacalski

tetu Szczecińskiego. Inwestycja kosztowała blisko 1 mln zł. Studenci prawa i kryminalistyki będą się uczyć, jak badać i analizować ślady pozostawione na miejscu przestępstwa. Zakupiono też symulator wad wzroku, symulator wózka inwalidzkiego, symulator barier utrudniających aktywność osób niesłyszących oraz symulator ograniczeń geriatrycznych, dzięki którym przyszli architekci zaprojektują budynki i prze-

strzeń miejską z uwzględnieniem potrzeb osób z niepełnosprawnościami. Wydział, realizując strategię dostępności, korzysta już m.in. z pomocy tłumacza języka migowego.

Przestrzeń dla innowacji

RZESZÓW Jeszcze w tym roku Podkarpackie Centrum Innowacji otworzy pierwszy w regionie tzw. makerspace. To specjalna przestrzeń, w której studenci zrealizują swoje innowacyjne pomysły, stworzą prototypy, nagrają profesjonalne filmy i zdobędą nowe umiejętności podczas szkoleń. Do ich dyspozycji oddanych będzie sześć laboratoriów. W pracowni szybkiego prototypowania skorzystają z profesjonalnych ploterów i drukarek 3D. Wyposażenie warsztatu umożliwi obróbkę drewna, materiałów drewnopodobnych i metali miękkich. Z kolei sprzęt w pracowni elektronicznej pozwoli na projektowanie i prace nad zaawansowanymi układami sterowania. W powstającym właśnie obiekcie będzie też pracownia tekstylna, pracownia biogreen z eksperymentarium ekologiczno-roślinnym oraz laboratorium roślinno-materiałowym i obserwacyjnym dla zielonych innowacji. Studenci skorzystają też na miejscu ze wsparcia specjalistów.

Doktorat h.c. – prof. Hubert Orłowski

WROCŁAW Światowej sławy germanista został uhonorowany tytułem doktora honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego. To jeden z naszych najwybitniejszych znawców polsko-niemieckich stosunków kulturowych. Był pomysłodawcą Poznańskiej Biblioteki Niemieckiej, której 50 tomów



Fot. Alina Mierczyńska

pod dewizą „Sąsiedztwo zobowiązuje” wydał w latach 1996–2019. Obecnie pełni funkcję rektora Wyższej Szkoły Języków Obcych im. Samuela Bogumiła Lindego w Poznaniu. Wcześniej pracował w Instytucie Filologii Germańskiej UAM (był jego dyrektorem w latach 1975–1984). Wśród jego zainteresowań naukowych są: semantyka historyczna i badania nad stereotypami, literatura i kultura niemiecka XIX i XX w., złaszcza

okresu III Rzeszy, teoria narracji, polsko-niemieckie stosunki literackie. Jest autorem 20 monografii, blisko pięciuset artykułów naukowych, redaktorem 22 tomów zbiorowych i 16 antologii.

Via Carpatia łączy uczelnie

LUBLIN Wspieranie szkolnictwa zawodowego w technikach, organizacja wizyt studyjnych oraz staży badawczych, tworzenie innowacyjnych kierunków studiów, budowanie międzyuczelnianych zespołów badawczych oraz powstanie inteligentnej chmury mapy kompetencji – to tylko kilka



Fot. Piotr Kieraciński

z założeń zainaugurowanej 11 kwietnia Politechnicznej Sieci Via Carpatia im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Projekt nawiązuje do szlaku Via Carpatia. Biorą w nim udział trzy politechniki: Białostocka, Lubelska i Rzeszowska. Inicjatywa jest otwarta również na inne uczelnie. Sieć będzie

prowadzić wspólne działania w trzech obszarach: kształcenie, nauka i komercjalizacja. Wśród planowanych projektów jest m.in. NAUKOLA-TEK adresowany do młodzieży ze szkół średnich, która będzie mogła doświadczyć pracy badawczej w uczelnianych laboratoriach. Przewidziano także cykliczny konkurs na granty. Na realizację działań MEiN przekaże trzem politechnikom 10 mln zł rocznie przez 3 lata.

Wspierają rozwój energetyki jądrowej

WARSZAWA Politechnika Warszawska i Uniwersytet Warszawski podpisały porozumienie z Międzynarodowym Instytutem Energii Jądrowej. Współpraca ma na celu zwiększenie liczby studentów na kierunkach związanych z energetyką jądrową, którzy później podejmą pracę w sek-



Fot. Ambasada Francji

torze badawczym, w organach regulacyjnych lub w przemyśle jądrowym. Przewidywane działania obejmą wsparcie w tworzeniu specjalistycznych kursów z dziedziny energetyki jądrowej, programów podwójnego dyplomu, wymiany z francuskimi uniwersytetami i uczelniami technicznymi oraz organizację seminariów dla studentów, podczas których zaprezentowane zostaną możliwości rozwoju zawodowego w sektorze energii jądrowej. Kształcenie odpowiednich kadr ma zapewnić powodzenie polskiego programu jądrowego. MIEJ został utworzony w 2010 roku. Jest organizacją branżową, która reprezentuje i koordynuje francuski sektor jądrowy. Zrzesza 15 partnerów i 35 członków stowarzyszonych (uczelnie, producenci, organizacje badawcze oraz agencje i ministerstwa).

Jubileusz chórzystów

SZCZECIN Chór Kameralny Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego świętuje 30-lecie istnienia. Tworzą go głównie studenci



Fot. ZUT

oraz uczniowie szczecińskich szkół średnich. Mają za sobą występy w niemal całej Europie oraz w Kanadzie. Dali w sumie 394 koncertów w Polsce i 224 poza granicami. Przez ostatnich 17 lat wzięli udział w 105 konkursach i festiwalach chóralnych. Otrzymali łącznie 69 nagród – ogólnopolskich, europejskich i światowych. W repertuarze znajdują się dzieła Vivaldiego, Schuberta, Mozarta, Beethovena, kompozycje współczesne oraz opracowania przebojów muzyki rozrywkowej i filmowej – łącznie około 300 utworów. Dorobek artystyczny chóru, którym od początku kieruje prof. Iwona Wiśniewska-Salamon, absolwentka Akademii Muzycznej im. Ignacego Jana Paderewskiego w Poznaniu, został utrwalony na 15 płytach.

Przeprowadzka pedagogów UMCS

LUBLIN W Kampusie Zachodnim UMCS oddano do użytku nowy 5-kondygnacyjny gmach Instytutu Pedagogiki. Inwestycja pochłonęła blisko 46 mln zł. Powstała w sąsiedztwie oddanych do użytku w 2020 r. obiektów



For. Bartosz Proff

Wydziału Politologii i Dziennikarstwa oraz Instytutu Psychologii. Na powierzchni 6,2 tys. m² umieszczono m.in. dwie aule wykładowe (na ok. 200 i 100 miejsc), sale wykładowe i ćwiczeniowe, izbę pamięci, pracownie komputerowe oraz specjalistyczne: wielofunkcyjną pracownię Montessori, pomieszczenie do diagnozy neuropedagogicznej, a także profesjonalnie wyposażone pracownie: plastyczną, teatralno-muzyczną i taneczną. Na dachu usytuowano platformę pod urządzenia stacji meteo. W Instytucie kształcą się obecnie 1330 studentów, słuchaczy studiów podyplomowych i doktorantów.

„Zielony” sposób na brudną wodę

KRAKÓW Oczyszczanie wody z myjni samochodowych z nieprzyjemnego zapachu i zanieczyszczeń za pomocą żelazianu potasu zaproponował międzynarodowy, polsko-indyjski zespół naukowców pod kie-



runkiem dr. inż. Macieja Thomasa z Politechniki Krakowskiej. Żelazian potasu skutecznie usuwa zawiesiny, metale ciężkie i inne zanieczyszczenia występujące w wodach, redukując się przy tym do nieszkodliwego dla środowiska wodorotlenku żelaza(III). Zastosowanie tej paramagnetycznej soli żelaza spowodowało nie tylko usunięcie z wody bakterii gnilnych, a w konsekwencji nieprzyjemnych zapachów, ale również innych zanieczyszczeń i poprawę wielu istotnych parametrów jakościowych zanieczyszczonej wody. Dzięki temu będzie ona mogła być powtórnie wykorzystana, np. do tzw. wstępnego mycia aut, albo bezpiecznie wprowadzona do urządzeń kanalizacyjnych.

Bobot wspomże medyków

BIAŁYSTOK Naukowcy z Politechniki Białostockiej skonstruowali zdalnie sterowanego robota, który ma wspierać pacjentów oraz personel medyczny. Bobot 2.0 komunikuje się, zapewnia rozrywkę, ale potrafi też wykonać drobne badania diagnostyczne. Powstał z myślą o ciężko chorych pacjentach, pozostających w izolacji ze względu na koronawirusa. Na jego pokładzie znajduje się m.in. sprzęt multimedialny,

kamera termowizyjna oraz aparatura umożliwiająca zdalną transmisję obrazu i dźwięku. Dzięki temu pielęgniarka i lekarze mogą przeprowadzić wywiad z pacjentem, a także wykonać pomiar pulsu czy zdjęcie termograficzne. Robotowi nadano cechy ludzkie. Widać to zarówno w wyglądzie, jak i prostym wyrażaniu emocji poprzez wyświetlanie zabawnych emotikonów, a także syntezę mowy. Może wypowiedzieć dowolną kwestię, którą mu się zaprogramuje, w kilku językach. Przeszedł już próby na oddziale szpitalnym. Naukowcy z PB pracują także nad bezobsługową rejestracją w szpitalu oraz robotem, który dezynfekuje powierzchnie i powietrze za pomocą promieniowania UV-C.



For. Paweł Janikowski

VR pomaga w leczeniu traumy

ŁÓDŹ Naukowcy z Politechniki Łódzkiej i Uniwersytetu Łódzkiego pomagają uchodźcom z Ukrainy w uporaniu się z wojenną traumą. Wykorzystują do tego celu wirtualną rzeczywistość. Sesja trwa 20 minut. Uczest-



nik jest zapraszany do górskiego apartamentu, w którym znajduje się część wypoczynkowa, kominek, a za oknem piękna panorama z bardzo dużą głębią. Spokojny głos przewodnika opowiada o otoczeniu. Ćwiczenie w VR ma na celu skierować myśli na przyjemne lub neutralne tematy. Badania nad tą metodą leczenia prowadzone są w PL od lat. Specjalnie z myślą o uchodźcach z Ukrainy ścieżka dźwiękowa została w pełni przetłumaczona na ich język ojczysty. Wykorzystano klasyczne techniki relaksacji, takie jak wizualizacja i techniki oddechow, które wspierane są tzw. stymulacją bilateralną. Polega ona na śledzeniu wzrokiem pewnego punktu, z lewej do prawej strony, po skrajach pola widzenia. Działa podobnie do fazy REM snu i przyspiesza procesy, które naukowcy chcą zainicjować.

Opracował Konrad Pfeiffer

Współpraca: Aneta Adamska, Ewa Chojnacka, Iwona Czajkowska-Deneka, Damian Gębarowski, Magdalena Grzęda-Zajkowska, Mateusz Lipka, Agnieszka Lizak, Anna Modzelewska, Tomasz Sikora, Monika Stojowska, Małgorzata Syrdak-Sława, Katarzyna Uczkiewicz, Dominika Wojtyśiak-Łańska

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku

i na Twitterze



Ewaluacja i kategoryzacja 2022 – I etap

Komisja Ewaluacji Nauki, działając na podstawie przepisów zawartych w art. 274 ust. 1 pkt 1 ustawy z dnia 20 lipca 2018 r. Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce (Dz. U. z 2022 r. poz. 574 z późn. zm.) oraz § 26 ust. 1-3 rozporządzenia Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego z dnia 22 lutego 2019 r. w sprawie ewaluacji jakości działalności naukowej (Dz. U. z 2022 r. poz. 661), przygotowała dla każdej dyscypliny naukowej i artystycznej propozycje zestawów wartości referencyjnych dla kategorii naukowych A, B+ i B. Każdy zestaw składa się z określonych dla podstawowych kryteriów ewaluacji, o których mowa w art. 267 ust. 1 ww. ustawy, wartości referencyjnych służących kwalifikacji działalności naukowej ewaluowanych podmiotów prowadzonej w ramach danej dyscypliny naukowej albo artystycznej do kategorii naukowych A, B+, B albo C.

Komisja przyjęła za podstawę zapisy rozporządzenia ministra nauki i szkolnictwa wyższego z dnia 22 lutego 2019 r. w sprawie ewaluacji jakości działalności naukowej, a w szczególności § 26 ust. 2, który stanowi, iż Komisja przygotowuje propozycje zestawów wartości referencyjnych, o których mowa w ust. 1, biorąc pod uwagę:

- 1) osiągnięcia ewaluowanych podmiotów w poszczególnych dyscyplinach naukowych i artystycznych w zakresie podstawowych kryteriów uzyskane w okresie objętym ewaluacją;
- 2) pozycję nauki polskiej w skali międzynarodowej w poszczególnych dyscyplinach naukowych i artystycznych, przy czym w dyscyplinach naukowych pozycję tę określa się na podstawie informacji pochodzących z międzynarodowych baz danych bibliometrycznych.

Komisja przypisała zatem podmiotom reprezentujące daną dyscyplinę nauki do grupy wspólnej oceny i zastosowała w każdym z trzech kryteriów (K1, K2, K3) opracowany przez KEN algorytm wyznaczania wartości referencyjnych. Na podstawie tego algorytmu, został wyznaczony najpierw zestaw wartości wzorcowych, a następnie trzy zestawy wartości referencyjnych, odpowiednio do kategorii A, B+ oraz B. Każdy zestaw wartości referencyjnych zawiera 3 wartości progowe, odpowiadające kryteriom K1, K2 oraz K3, które stano-

wią określoną frakcją wartości wzorcowych i jest wyznaczany w sposób algorytmiczny.

Następnie Komisja przystąpiła do określenia pozycji nauki polskiej na arenie międzynarodowej w poszczególnych dyscyplinach naukowych i artystycznych. Zrobiono to posługując się powszechnie dostępną bazą Scimago Journal and Country Rank (SJR). W przypadku dyscyplin nie mających swojego bezpośredniego odpowiednika w bazie SJR, wyznaczono pozycję polskiej nauki w subdyscyplinach wchodzących w skład danej dyscypliny, a następnie określono ostateczną pozycję całej dyscypliny. Z uwagi na dostępność danych, pozycję nauki polskiej w poszczególnych dyscyplinach określono na podstawie danych z okresu 2017-2021.

Pozycja nauki polskiej w skali międzynarodowej została uwzględniona w określeniu zestawów wartości referencyjnych do kategorii A, B+ oraz B, zgodnie z zapisami rozporządzenia w sprawie ewaluacji jakości działalności naukowej.

KEN opracowała cztery modele wyznaczania zestawów wartości referencyjnych:

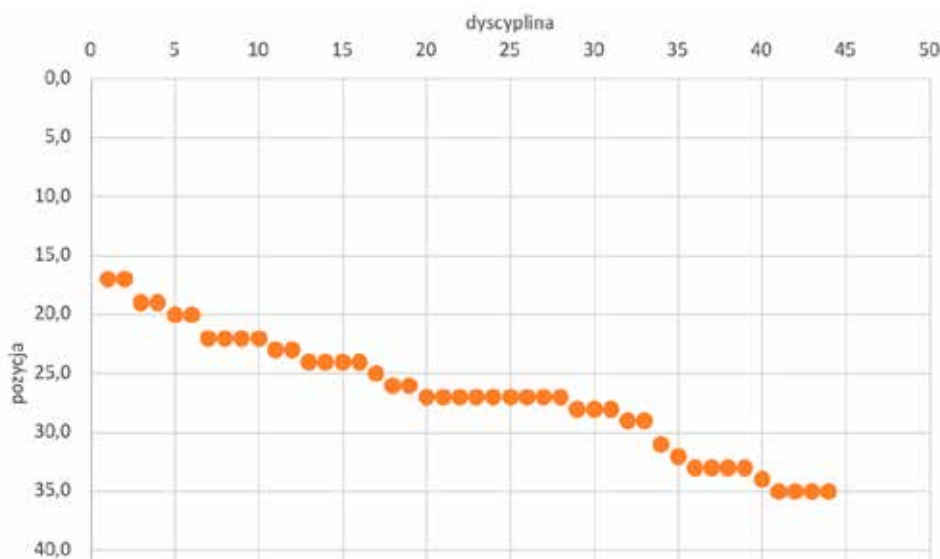
- model uniwersalny zawierający jeden wspólny zestaw parametrów dla wszystkich dyscyplin naukowych i artystycznych;
- model dziedzinowy zawierający jeden zestaw parametrów dla wszystkich dyscyplin w obrębie każdej dziedziny nauki lub sztuki, przy czym zestaw parametrów był dobierany w taki sposób, aby sumaryczny odsetek podmiotów w kategoriach A i B+ w danej dziedzinie odzwierciedlał pozycję nauki polskiej w skali międzynarodowej w tej dziedzinie;
- model dyscyplinowy, w którym zestaw parametrów był różny dla każdej dyscypliny nauki lub sztuki, a kolejne zestawy wynikały z interpolacji liniowej pomiędzy skrajnymi zestawami dla najsłabszej i najmocniejszej dyscypliny;
- model dyscyplinowy, w którym zestawy parametrów były dobierane w taki sposób, aby sumaryczny odsetek podmiotów w kategoriach A i B+ w danej dyscyplinie odpowiadał pozycji nauki polskiej w skali międzynarodowej w tej dyscyplinie.

W wyniku dyskusji i porównania modeli, zdecydowano o przyjęciu modelu 4 z korektą ustalającą proporcje pomiędzy odsetkiem podmiotów w kategorii A i odsetkiem podmiotów w kategorii B+ w zależności od pozycji nauki polskiej w skali międzynarodowej w danej dyscyplinie. Dla każdej dyscypliny Komisja przeprowadziła szczegółową analizę wartości funkcji $V(X,R)$, o której mowa w załączniku 2 do rozporządzenia w sprawie ewaluacji jakości działalności naukowej, obliczonej z zastosowaniem wyznaczonych algorytmicznie wartości referencyjnych. W kilkunastu dyscyplinach Komisja dokonała nieznacznych korekt wartości referencyjnych wynikających z przyjętego algorytmu, tak aby kolejne kategorie odpowiadały istotnym zmianom wartości tej funkcji.

Opracowując procedurę kategoryzacji podmiotów w dyscyplinach nauki i sztuki, na podstawie ust. 2 pkt 1 załącznika nr 2 do rozporządzenia ministra nauki i szkolnictwa wyż-



Fot. Jan Zych



Rys. 1 Pozycja nauki polskiej w skali międzynarodowej na podstawie bazy Scimago Journal and Country Rank

szego z dnia 22 lutego 2019 r. w sprawie ewaluacji jakości działalności naukowej, Komisja Ewaluacji Nauki ustaliła próg pełnego przewyższenia G w wysokości 0.3. Służy on do porównania przyznanych ewaluowanemu podmiotowi ocen w ramach podstawowych kryteriów ewaluacji z wartościami referencyjnymi dla kategorii naukowych A, B+ i B, w danej dyscyplinie naukowej albo artystycznej. Suma-

ryczny odsetek podmioto-dyscyplin w kategoriach A i B+ wyznaczony przez Komisję Ewaluacji Nauki wynosi 80%, w stosunku do 20% w kategoriach B i C. Obecnie Komisja Ewaluacji Nauki przystępuje do oceny podmiotów – kandydatów do kategorii A+ (II etap ewaluacji).

Prof. dr hab. Błażej Skoczeń, przewodniczący KEN

Wciąż znaczny dystans do liderów

O pozycji nauki polskiej w skali międzynarodowej w poszczególnych dyscyplinach naukowych i artystycznych pisze prof. Zbigniew Kąkol, AGH, KEN.

W przeprowadzanej aktualnie ewaluacji jakości działalności naukowej Komisja Ewaluacji Nauki stanęła przed zadaniem określenia pozycji nauki polskiej w skali międzynarodowej w poszczególnych dyscyplinach naukowych i artystycznych. Ta potrzeba wynika bezpośrednio z rozporządzenia ministra nauki i szkolnictwa wyższego w sprawie ewaluacji jakości działalności naukowej. Znajdujemy w nim dwa odniesienia do pozycji nauki polskiej. Pierwsze i kluczowe dla wyników ewaluacji dotyczy wyznaczania wartości referencyjnych dla kategorii naukowych A, B+ i B. To porównanie z tymi wartościami referencyjnymi, w zakresie poszczególnych podstawowych kryteriów, decyduje o uzyskanej kategorii. W rozporządzeniu w tym punkcie czytamy m.in.: „Komisja przygotowuje propozycje zestawów wartości referencyjnych biorąc pod uwagę: pozycję nauki polskiej w skali międzynarodowej w poszczególnych dyscyplinach naukowych i artystycznych, przy czym w dyscyplinach naukowych pozycję tę określa się na podstawie informacji pochodzących z międzynarodowych baz danych bibliometrycznych”. Oznacza to, że dyscypliny naukowe, które mają wysoką pozycję międzynarodową, będą premiiowane w postaci niższych wartości jednostek referencyjnych, co skutkuje większą liczbą podmiotów w wyższych kategoriach.

Drugie odniesienie dotyczy wyłaniania podmiotów, których działalność naukowa zostanie zaliczona do kategorii naukowej A+. Przy ustalaniu progu kwalifikującego brana jest pod uwagę w szczególności pozycja nauki polskiej w danej dyscyplinie, określona na podstawie wskaźników bibliometrycznych w międzynarodowych bazach o największym zasięgu. Dyscypliny naukowe, które mają wysoką pozycję międzynarodową, będą premiiowane w postaci niższego progu kwalifikującego do grona kandydatów do A+, co potencjalnie skutkuje większą liczbą kandydatów do tej grupy dyscyplin.

KEN stanęła więc przed zadaniem wyboru bazy danych oraz określenia parametrów/wskaźników, które zostaną uwzględnione przy wyznaczaniu pozycji międzynarodowej dla poszczególnych dyscyplin. Za najważniejsze uznano przyjęcie takiej procedury, która byłaby całkowicie transparentna i jednoznaczna, aby zainteresowane jednostki mogły ją sprawdzić/powtórzyć. W tym kontekście zdecydowano się na wybór portalu Scimago Journal & Country Rank, który prezentuje dane z bazy Scopus. Co ważne, dostęp do Scimago jest bezpłatny, a portal udostępnia różne zestawienia, w tym interesujące nas „Country Ranking”.

W bazie Scimago dane są przedstawiane według dyscyplin (Subject areas) i subdyscyplin (Subject categories) wchodzących w skład dyscyplin. W pierwszej kolejności poproszono więc ekspertów o wybór/zaakceptowanie subdyscyplin przypisanych do danej dyscypliny. Liczby subdyscyplin były bardzo różne. Rekordzistami, co zro-

zumiały, są nauki medyczne, gdzie na wynik końcowy złożyły się osiągnięcia z aż 35 subdyscyplin (przykładowo takich jak Anatomia, Hematologia, Onkologia, Pediatria, Perinatologia and Child Health itd.). Dla większości dyscyplin liczba subdyscyplin oscylowała w przedziale 2-3, choć mieliśmy także do czynienia z takimi, które były reprezentowane w bazie tylko przez jedną subdyscyplinę. Łącznie uwzględniono ponad 200 subdyscyplin.

Dla każdej z subdyscyplin nauki polskiej ustalono jej międzynarodową pozycję na podstawie dwóch wskaźników: „Citations” oraz „H-index”. Dodatkowo pobrano również dane dotyczące liczby autocytowań „Self-Citations”, przy czym wskaźnik ten dotyczy wszystkich polskich autocytowań, pozwalając tym samym określić liczbę cytowań prac naszych naukowców przez autorów z innych krajów. Okazało się, że wynik uzyskany w oparciu o to kryterium jest z dokładnością do jednej pozycji taki sam, jak wynik osiągnięty, gdy odejmiemy autocytowania. Uwzględniono te wskaźniki dla lat 2017-2020 r. według stanu na 31 grudnia 2022. Międzynarodową pozycję poszczególnych dyscyplin nauki polskiej ustalono jako średnią z wyników dla poszczególnych subdyscyplin wchodzących w jej skład.

Wyniki pokazały, że w skali międzynarodowej dyscypliny nauki polskiej lokują się na miejscach od 17 do 35. Najwyższą pozycję zajmują nauki ścisłe z naukami chemicznymi, fizycznymi i astronomią na czele. Nie jest to zaskoczeniem, bo te dyscypliny zajmują też najwyższe lokaty w międzynarodowych rankingach.

Można również przedstawić zestawienie dla całej nauki polskiej, która uzyskuje w takim rankingu 23-24 międzynarodową pozycję wśród ponad 230 krajów. Co ciekawe, ta wartość jest bliska pozycji polskiej gospodarki, która pod względem wielkości PKB na koniec 2021 roku znalazła się na 23 miejscu na świecie i 6 w UE.

Przy takiej ocenie nauki polskiej trzeba jednak pamiętać, że 23-24 pozycja na świecie nie odzwierciedla jej efektywności. Trzeba ją bowiem odnieść do nakładów na naukę, a te, chociaż rosnące, są wciąż niższe niż w wiodących gospodarkach europejskich i światowych. W 2018 r. Polska ze wskaźnikiem GERD/PKB (nakłady krajowe brutto na działalność B+R) równym 1,21% znalazła się na 17 pozycji wśród państw UE (w porównaniu do szóstego PKB w UE), ex aequo z Luksemburgiem, notując największy awans (o trzy miejsca) w porównaniu z rokiem wcześniejszym. Mimo tego pozytywnego sygnału, porównanie wyniku Polski z wynikami pozostałych państw członkowskich UE uwidacznia znaczny dystans wciąż dzielący nas od liderów zestawienia. Wnioski nasuwają się same: konieczne jest stałe podnoszenie nakładów na naukę, aby nadrobić ten dystans, a warto to robić, bo efektywność polskiej nauki jest dobra.



Fot. AGH

Etap I po raz pierwszy

Po raz pierwszy w historii polskich ewaluacji działalności badawczej ministerstwo nauki zdecydowało się ujawnić pewne elementy pierwotnej oceny dokonanej przez zespół doradczy powołany do tego celu, w tym wypadku Komisję Ewaluacji Nauki. Poprzednio oficjalnie do wiadomości publicznej podawano dopiero wyniki kategoryzacji dokonanej przez ministra nauki, a zatem po ewentualnych korektach wartości referencyjnych i innych zmianach dokonanych przez ministra (a wiadomo, że takowe były dokonywane).

Statystyki I etapu ewaluacji 2022 ministrowie Przemysław Czarnek i Włodzimierz Bernacki przedstawili podczas konferencji prasowej niemal natychmiast po przekazaniu ministerstwu przez KEN wyliczonych wartości referencyjnych i określonych na ich podstawie pozycji 1145 dyscyplin naukowych w poszczególnych instytucjach. Na czym polegała praca KEN i ekspertów przedstawiciele Komisji wyjaśniali kilkakrotnie w artykułach i wywiadach na łamach FA, w tym na dwóch poprzednich stronach tego numeru miesięcznika.

Ewaluacji poddano 1145 dyscyplin naukowych uprawianych w 283 podmiotach, w tym 103 uczelniach publicznych, 29 niepublicznych, 5 kościelnych, 2 federacjach, 69 instytutach naukowych PAN, 64 instytutach badawczych, 1 instytucji międzynarodowym i 10 innych podmiotach. Eksperti wzięli pod uwagę dorobek zgłoszony przez instytucje, czyli 700 tys. publikacji, 1 tys. patentów, 18 tys. projektów, 54 tys. osiągnięć artystycznych, a także przychody z komercjalizacji wyników badań naukowych o wartości ponad 1 mld zł i przychody z usług badawczych w wysokości ponad 5 mld zł. Dość szczegółowe omówienie ewaluowanych dyscyplin przedstawiliśmy w FA 4/2022.

W wyniku tegorocznej ewaluacji wg wartości referencyjnych opracowanych przez KEN 32,6% dyscyplin znalazło się w kat. A, 47,6% w kat. B+, 15,8% w kat B i tylko 4% w kat. C. Oznacza to, że gdyby przyjąć tę ocenę za ostateczną, 80,2% dyscyplin zachowa uprawnienia do nadawania stopni naukowych, a tylko niecałe 18,8% je utraci. Wyniki te oznaczają, że 211 podmiotów zachowuje 747 uprawnień do doktoryzowania, 102 podmioty zyskują 168 nowych uprawnień, a tylko 56 podmiotów traci zaledwie 98 praw do nadawania stopnia naukowego doktora. Bilans jest zatem wyraźnie dodatni (+ 70 uprawnień). Bardzo niski jest też w 2022 r. odsetek dyscyplin w kategorii C, znacząco niższy niż w poprzednich dwóch oficjalnie ogłoszonych wynikach kategoryzacji przed uwzględnieniem odwołań, ale już po zatwierdzeniu przez ministra nauki (a zatem jest już kat. A+) oraz po korektach dokonanych przez ministra.

W 2013 r. ewaluacji poddały się 963 jednostki naukowe, a zatem o 182 mniej niż obecnie. Kategorię C otrzymało wówczas 77 jednostek, czyli 8%. Kat. B otrzymało 541 jednostek (56%), kat. A 308 (32%), a kat. A+ 37 (4%). Zatem jednostek A i A+ było razem 36%, porównywalnie, choć nieco więcej niż obecnie w kat. A. Ewaluowano 756 jednostek uczelni, 70 instytutów PAN, 115 instytutów badawczych i 22 inne jednostki naukowe.

W roku 2017 ewaluacji poddały się 993 jednostki, czyli o 152 mniej niż w 2022 r. Kategorię C otrzymało 147 jednostek (14,8%), kat. B 467 (47%), kat. A 332 (33,5%), a kat. A+ 47 jednostek (4,7%). Także wtedy w kat. A i A+ mieliśmy 38,2% jednostek, czyli porównywalna

wielkość z tegoroczną oceną w I etapie. Ewaluowano 781 jednostek uczelnianych, 69 instytutów PAN, 114 instytutów badawczych i 29 innych jednostek.

Obecna ewaluacja różni się od poprzednich nie tylko tym, że dotyczy dyscyplin naukowych, ale także tym, że ma znacznie większy wpływ na przyszłość podmiotów naukowych. Poprzednio kategoria C, która oznaczała kłopoty z finansowaniem, nie oznaczała utraty uprawnień akademickich. Chciałem też raz jeszcze podkreślić (bo lubimy o tym zapominać), że każdy z ówczesnych ministrów w różny sposób wpływał na końcowe wyniki kategoryzacji (bo nie oceny, dokonywanej przez ekspertów KEJN), zmieniając bądź to wartości referencyjne, bądź zaproponowane przez KEJN kategorie poszczególnych jednostek. Zmiany te bywały znaczące, ale dokonywane były po cichu, nie ujawniano ich i nie dyskutowano nad nimi.

Min. Czarnek zapowiedział możliwość ingerencji w wyniki ewaluacji, a właściwie kategoryzacji oraz przygotował pod to grunt prawny (choć on i tak istniał i, moim zdaniem, te akurat zmiany w rozporządzeniu nie były konieczne). Zatem występuje z otwartą przyłbicą. Po uzyskaniu od KEN wyników I etapu ewaluacji, minister podczas konferencji prasowej pokazał w nich kilka absurdów. Gdyby rezultaty oceny zostały zaakceptowane przez niego w tym kształcie, uprawnienia do doktoryzowania utraciłoby m.in. nauki farmaceutyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, weterynaria w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego oraz ekonomia i finanse w Szkole Głównej Handlowej. Wszystkie one cieszą się uznaniem w kraju, a często także estymą za granicą, a przynajmniej są międzynarodowo rozpoznawalne. Postaramy się w przyszłości wyjaśnić, jak do tego doszło.

Min. Czarnek przypomniał krytykę zmian, które wprowadzał, zarówno dotyczących list i punktacji czasopism i wydawnictw, w szczególności humanistycznych i społecznych, jak i zmian legislacyjnych, jak to określił – korygujących błędy ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Przypomniał też zmarłego niedawno prof. Waldemara Parucha, swojego głównego doradcę w tym zakresie, a wcześniej twórcę i dyrektora Centrum Analiz Strategicznych.

– Robimy to wszystko po to, aby uniknąć różnych absurdów, ale też szkód w szkolnictwie wyższym w Polsce. Szkodą jest sytuacja, gdy uczelnia w Zielonej Górze, Szczecinie czy Krakowie traci uprawnienia do nadawania stopni naukowych wbrew ewidentnym osiągnięciom czy pozycji na rynku edukacyjnym w Polsce i Europie – mówił minister. – Po długich naradach i wielu dyskusjach doszliśmy do wniosku, że musimy skorygować zestawy wartości referencyjnych, bo gdybyśmy pozostali przy tych, które zaproponowała Komisja Ewaluacji Nauki, nawet okrutne flagowe traciłyby uprawnienia. Wszystko dlatego, że mieliśmy pokretną ścieżkę ewaluacyjną, która nie uwzględniała specyfiki dyscyplin i uczelni. Musimy to skorygować tak, aby tych absurdów nie było. W wyniku działań, które podjęliśmy, dobrze wypadły uczelnie średnie: w Zielonej Górze, Szczecinie, Lublinie czy Białymstoku. Takie było nasze zadanie: przenieść politykę zrównoważonego rozwoju na rynek edukacji wyższej. Nic tak dobrze nie robi tej edukacji, jak zdrowa konkurencja – konstatował minister Czarnek.

- **211** podmiotów **zachowuje 747** uprawnień do nadawania stopnia doktora
- **56** podmiotów **traci 98** uprawnień do nadawania stopnia doktora
- **102** podmioty **zyskują łącznie 168** nowych uprawnień

Zapowiedział też dalsze kalendarium ewaluacji: – Przekażemy zmienione zestawy wartości referencyjnych, ratujące flagowe okręty polskiego szkolnictwa wyższego. Następnie do połowy czerwca KEN w oparciu o nasze zestawy wartości referencyjnych wyda uchwały, w których przyzna dyscyplinom kategorie. Na tej podstawie wydamy w lipcu decyzje, od których uczelnie będą mogły składać odwołania.

Min. Włodzimierz Bernacki tłumaczył, że gdybyśmy trzymali się istotnie rozwiązań czysto ilościowych, uśredniających, uczelnie, które zatrudniają wielu pracowników, także flagowe, miałyby zaniżony wynik ewaluacyjny.

– Nasza korekta punktacji list i punktacji czasopism sprawiła, że wynik mniejszych uczelni jest decydująco lepszy – mówił min. Bernacki. Podkreślił, że przygotowana została nowelizacja PWSN, która zabezpiecza kształcenie doktoranckie przed skutkami słabego wyniku ewaluacyjnego. Uczelnie, które utracą uprawnienia do nadawania doktoratów, będą mogły prowadzić szkoły do czasu wypromowania ich uczestników. I na ten czas zachowają uprawnienia – mówił. – Gwarantujemy doktorantom, że będą mogli dokończyć

badania i dysertacje. Nie można im będzie narzucić miejsca, gdzie ewentualnie musieliby dokończyć doktorat. Poza tym będą mogli uzyskać zadośćuczynienie od nierzetelnego instytutu czy uczelni – tłumaczył W. Bernacki. Ustawa została już podpisana przez prezydenta RP.

Zapowiedział też zmiany w przyszłej ewaluacji. Pracuje nad nimi powołany kilka miesięcy temu zespół.

– Chcielibyśmy stworzyć taki kształt przyszłej ewaluacji, który zabezpieczy uczelnie i instytuty przed tak absurdalnymi sytuacjami, do których doszło w obecnej ewaluacji. Uważamy, że nie tylko analiza czysto ilościowa, ale specyfika przestrzeni szkolnictwa wyższego powinna decydować o ocenie uczelni – mówił. – Ciężar kosztów studiowania nie powinien być przerzucany na barki studentów i doktorantów – mówił minister, podkreślając rolę mniejszych ośrodków akademickich. Minister wskazywał na znaczenie równomiernego rozwoju kształcenia wyższego w całym kraju.

Piotr Kieraciński

Jakość, a nie punkty

Dr hab. Agnieszka Chłoń-Domińczak, dyrektor Instytutu Statystyki i Demografii Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie i prorektor SGH ds. nauki komentuje ujawnione przez ministra nauki wyniki pierwszego etapu ewaluacji, w wyniku którego jej uczelnia mogłaby utracić uprawnienia do nadawania stopni naukowych w dyscyplinie ekonomia i finanse - jednej z najbardziej rozpoznawalnych w Polsce.

Duże uczelnie publiczne, takie jak SGH, czy inne uniwersytety ekonomiczne, zatrudniają duże zespoły nauczycieli akademickich. W SGH poddaliśmy ewaluacji nieco ponad 330 osób (przeliczonych według udziału) w dyscyplinie ekonomia i finanse i prawie 120 w dyscyplinie nauki o zarządzaniu i jakości. Przy tak licznych zespołach bardzo trudno nam stosować szczególnie, jak się czasami mówi - „kreatywne”, rozwiązania „pro ewaluacyjne”; nie chcemy zresztą tego robić. Nie wykupujemy numerów specjalnych wysoko punktowanych czasopism o szybkiej ścieżce publikowania, ale przyjmujemy, że naszym celem jest dbanie o jakość nauki, o publikowanie w bardzo dobrych czasopismach, publikowanie monografii, które w tych dyscyplinach są bardzo ważne, szczególnie w prestiżowych wydawnictwach. Nie patrzymy jedynie na liczbę punktów ministerialnych, ale przede wszystkim na rzeczywistą wartość i znaczenie periodyków i wydawnictw, w których publikujemy nasz dorobek. Niemniej, jeśli spojrzemy na potencjał naukowy naszej uczelni, na to, ile nauczyciele akademicy z SGH opublikowali, jakie monografie napisali i jaki jest ich odbiór na świecie, widać znaczenie naszego dorobku i uczelni jako ośrodka naukowego. Wysoką pozycję SGH pokazują to także różne międzynarodowe zestawienia, a poświadcza ją co najmniej dobra rozpoznawalność uczelni za granicą. To oznacza, że mamy zdolność kształcenia doktorów i nadawania kolejnych stopni awansu naukowego. W naszej pracy skupiamy się na jakości badań i publikacji, a także jakości dydaktyki, a nie zdobywaniu punktów – to nie jest główne zadanie naukowców. Smutne jest, że może to skutkować słabym wynikiem ewaluacyjnym.

Zawczasu zwracaliśmy uwagę na problemy związane z ewaluacją. Ujawniają się one szczególnie w przypadku niehomogenicznych dyscyplin, jak ekonomia i finanse czy nauki o zarządzaniu i jakości, w których na dodatek było ewaluowanych najwięcej jednostek. Są

to zarówno bardzo małe, liczące kilkanaście osób wyselekcjonowane pod kątem ewaluacji zespoły, jak i bardzo duże zespoły, nawet dwudziestokrotnie większe od tych pierwszych, ogarniające całość zagadnień danej dyscypliny, ewaluowane zwykle w uczelniach publicznych. Właśnie rozległość zainteresowań naukowych i liczebność zespołów, ważna z punktu widzenia nie tylko nauki, ale i dydaktyki, stanowi problem w kontekście ewaluacji. Porównywanie tak odmiennych podmiotów jest dość karkołomne, zwłaszcza przy pomocy algorytmów, stosowanych w taki sam sposób bez uwzględnienia chociażby liczby ewaluowanych osób. Teraz przychodzi czas na to, aby dokonać nie tylko krytycznej analizy wyników ewaluacji, ale i sposobu jej prowadzenia.

Chciałam podkreślić, że nowe zasady ewaluacji przyniosły pewne pozytywne skutki - zdynamizowały środowisko naukowe, zachęciły pracowników badawczych i badawczo-dydaktycznych do prowadzenia badań i regularnego publikowania ich wyników. Uczelnie publiczne, mam takie wrażenie, skupiły się na poszukiwaniu i podnoszeniu jakości całości zespołów. Nie szukaliśmy optymalizacji przez przenoszenie części pracowników na etaty dydaktyczne i czy budowanie dla potrzeb oceny wyselekcjonowanych grupy o formalnie najwyższych parametrach mierzonych liczbą punktów za publikacje, niezależnie od tego, w jaki sposób zostały one zdobyte.

Te działania pro jakościowe są kontynuowane. Uniwersytet Ekonomiczny w Poznaniu już podjął decyzję, że ze środków do dyspozycji prorektora ds. nauki, czyli także z subwencji, nie finansuje publikacji w czasopismach w otwartym dostępie o szybkiej ścieżce publikacji za spore opłaty, ale nie zawsze z należytą kontrolą jakości. Rozmawiamy o podobnym ruchu na SGH, a wiem, że pozostałe uniwersytety ekonomiczne myślą o podobnych rozwiązaniach. Robimy to, bo stawiamy na jakość, a nie liczbę punktów.



Horyzontalny bilans

W połowie ubiegłego roku ruszyły pierwsze konkursy w programie Horyzont Europa. To największy w historii europejski program wspierający badania naukowe i innowacje. Jego budżet na lata 2021–2027 wynosi ponad 95 mld euro. W poprzedniej perspektywie finansowej (2014–2020) w programie ramowym Horyzont 2020 polskie podmioty otrzymały w 877 konkursach w sumie 748,01 mln euro. Stanowi to 1/5 środków, jakie trafiły do 13 państw członkowskich UE przystępujących do Wspólnoty wraz z Polską (2004 r.) i w kolejnych latach. Z kolei na tle całej UE nasz udział wyniósł 1,21%, podczas, gdy wkład jest wielokrotnie większy. Program Horyzont 2020 polscy naukowcy i przedsiębiorcy zamknęli na 15 miejscu wśród wszystkich beneficjentów ze 176 krajów, zostając liderem w grupie UE13.

Wskaźnik sukcesu polskich beneficjentów w H2020 wynosi 13,86%. Jest niższy od średniej europejskiej (15,96%) i nieznacznie wyższy od osiągniętego przez nowe państwa członkowskie (13,64%). Pomimo stosunkowo dużego zaangażowania „nowej trzynastki” przy składaniu wniosków (10,01% wszystkich uczestnictw), wynik końcowy finansowego udziału w realizowanych projektach jest bardzo niski – 5,80%. Polskie podmioty uczestniczyły w 20 537 wnioskach na łączną kwotę 8,2 mld euro. Do finansowania skierowano 2846 projektów z udziałem naszych naukowców. W realizacji tych projektów brały (lub wciąż jeszcze biorą) udział 894 polskie instytucje.

Polska koordynuje 333 (1,03%) projekty H2020, we wszystkich 33 obszarach tematycznych programu. Najwięcej, bo aż 82 (24,62%) koordynacje przypadają na działania Marie Skłodowska Curie Action, 66 (19,82%) to prowadzone głównie przez małe i średnie przedsiębiorstwa projekty INNOSUPME – Innowacje w MŚP, 34 (10,21%) – projekty ICT – Technologii informacyjnych i komunikacyjnych, 30 (9,01%) to najbardziej prestiżowe granty naukowe European Research Council, 19 (5,71%) – projekty typu Twinning.

Mimo że największe dofinansowanie w programie zdobyły instytucje badawcze i instytucje PAN (ich udział w budżecie UE13 wynosi 27,05%, a w całej UE 1,35%), to jeśli chodzi o liczbę koordynowanych projektów prym wiodą uczelnie. Są one liderami 117 projektów, zde-

cydowanie dystansując instytucje – 64. Pierwsze miejsce wśród polskich jednostek naukowych zajmuje Uniwersytet Warszawski, który bierze udział w 121 projektach, z czego w 26 jako koordynator. Ogółem naukowcy UW pozyskali ponad 39 mln euro, co stanowi 5,26% środków, jakie przypadły Polsce w H2020 i 18,97% budżetu polskich uczelni w tym programie. W pierwszej dziesiątce zestawienia krajowych instytucji znalazły się jeszcze dwie krakowskie szkoły wyższe: Akademia Górniczo-Hutnicza (17,8 mln euro, 61 przedsięwzięć, 3 koordynacje) i Uniwersytet Jagielloński (17,3 mln euro/66/9) oraz Politechnika Warszawska (14,4 mln euro/58/5).

Wśród instytucji bryluje Instytut Chemii Bioorganicznej PAN z dofinansowaniem w wysokości 34 mln euro (4,64%). Stanowi to aż 15,93% w budżecie, jaki przypadł wszystkim tego typu jednostkom. Badacze z IChB PAN realizują 82 projekty, w tym 5 koordynują. W czołówce są jeszcze dwa instytucje: Narodowe Centrum Badań Jądrowych (18,8 mln euro, 31 projektów, 6 koordynacji) oraz Centrum Astronomiczne im. Mikołaja Kopernika PAN (13 mln euro/8/5).

W obszarze administracji publicznej zdecydowany prym wiodą Narodowe Centrum Nauki i Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, którym łącznie przypadło ponad 55% środków pozyskanych przez tę grupę organizacji. Dofinansowanie polskiej administracji stanowi 24,67% środków uzyskanych przez UE13, a udział tych podmiotów w całym budżecie programu wynosi 2,92%.

Spośród krajów, z którymi współpracują polskie instytucje w projektach H2020, najwięcej przedsięwzięć realizowanych jest wspólnie z instytucjami z Niemiec (1297), Włoch (1184) i Hiszpanii (1150). Liderem pod tym względem jest niemiecki Instytut Fraunhofera, który jest partnerem w 82 projektach z udziałem Polaków.

Polska bierze udział w 33 z 38 obszarów tematycznych H2020, jednak większość (ponad 51%) zdobytego dofinansowania przypada na 6 z nich: 16,29% – ICT (Technologie informacyjne i komunikacyjne), 11,17% – MSCA (Działania Marii Skłodowskiej-Curie), 6,43% – ERC, 6,20% – ENERGY (Bezpieczna, czysta i efektywna energia), 5,86% – INFRA (Infrastruktura badawcza), 5,46% – TPT (Inteligentny, zielony i zintegrowany transport).

Instytucje badawcze i instytucje PAN	Liczba koordynacji	Liczba uczestnictw	Dofinansowanie (euro)	% budżetu PL
Instytut Chemii Bioorganicznej PAN	5	81	34,7 mln	15,93%
Narodowe Centrum Badań Jądrowych	6	31	18,8 mln	8,64%
Centrum Astronomiczne im. M. Kopernika PAN	5	8	13 mln	6,01%
Instytut Chemii Fizycznej PAN	5	9	8,3 mln	4,01%
Polska Agencja Kosmiczna	-	6	6,4 mln	2,94%
Instytut Podstawowych Problemów Techniki PAN	4	38	5,6 mln	2,57%
Instytut Fizyki Plazmy i Laserowej Mikrosyntezy	-	2	5,6 mln	2,57%
Instytut Maszyn Przepływowych PAN	3	15	5,2 mln	2,40%
Instytut Biologii Doświadczalnej im. Nenckiego PAN	3	8	5 mln	2,32%

Uczelnie	Liczba koordynacji	Liczba uczestnictw	Dofinansowanie (euro)	% budżetu PL
Uniwersytet Warszawski	26	121	39,3 mln	18,97%
Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie	3	61	17,9 mln	8,60%
Uniwersytet Jagielloński	9	66	17,2 mln	8,32%
Politechnika Warszawska	5	58	14,4 mln	6,93%
Politechnika Śląska	5	19	8,1 mln	3,92%
Politechnika Poznańska	8	19	6,1 mln	2,94%
Uniwersytet Gdański	3	19	5,9 mln	2,84%
Politechnika Wrocławska	9	35	5,8 mln	2,81%
Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu	7	37	5,3 mln	2,54%

Filar Doskonała baza naukowa (Excellent Science) jest trzecim z największą skutecznością w pozyskiwaniu przez polskich beneficjentów funduszy z H2020 (po Wyzwaniach Społecznych i Wiodącej Pozycji w Przemysle). Suma 197,13 mln euro stanowi 26,5% całkowitego budżetu przypadającego Polsce. Polskie jednostki (214) stanowią dość liczną grupę na tle UE13 – aż 21,42% uczestników w tym gronie. Realizują one 474 projekty (116 jako liderzy), co oznacza, że prawie co trzeci przyznany nowym państwowym członkowskim trafił do Polski.

Celem tego filaru było wzmocnienie jakości bazy naukowej UE i podniesienie konkurencyjności badań naukowych i innowacji Unii Europejskiej w skali globalnej. Obejmuje takie przedsięwzięcia, jak m.in. MSCA, INFRA, ERC. Okazuje się, że najmniej skorzystaliśmy z ERC. Kwota 48,1 mln euro, którą otrzymaliśmy na 31 grantów (29 w roli lidera), stanowi zaledwie 0,42% budżetu skierowanego na te konkursy. Nieco lepiej jest w MSCA (255 projektów, 81 koordynacji), gdzie pozyskaliśmy 83,5 mln euro, tj. 1,39% środków z tego przedsięwzięcia. Najlepsze procentowo wyniki finansowe osiągnęliśmy w INFRA, skąd do Polski popłynęło 43,8 mln euro (132 projekty, 2 koordynacje), czyli 2% budżetu przeznaczanego na ten obszar.

W Excellent Science polskie zespoły złożyły najwięcej wniosków ze wszystkich krajów UE13 (22%) i osiągnęły taki sam wynik uczestnictwa. Ze wszystkich krajów Wspólnoty państwa UE13 najwięcej wniosków złożyły w obszarze Infrastruktury badawczej, równocześnie osiągając największy udział w uczestnictwach – 13%. Polskie podmioty (głów-

nie uniwersytety i instytuty badawcze z dobrym zapleczem, które można udostępnić na arenie międzynarodowej, np. Poznańskie Centrum Superkomputerowo-Sieciowe afiliowane przy IChB PAN, Centrum Badań Kosmicznych czy NCBJ) złożyły 24% wszystkich wniosków nadesłanych z UE13 i pozyskały 21% uczestnictw w projektach. Największą aktywnością wykazaliśmy się jednak w staraniach o granty ERC. Co czwarty wniosek z UE13 pochodził z Polski, a nasze granty stanowią 15% wszystkich pozyskanych przez „nową trzynastkę”.

Liderem w tym filarze jest UW, który zdobył 14,08% polskiego budżetu (28,8 mln euro), koordynując (21) i uczestnicząc w największej liczbie projektów (63). Pod względem dofinansowania tuż za nim plasują się IChB PAN (22,5 mln euro) oraz NCN (16,2 mln euro).

W filarze Wyzwania Społeczne (Societal Challenges), który stanowi 32,82% polskiego budżetu (244,25 mln euro), uczestniczy 512 podmiotów, które realizują 859 projektów. Wśród organizacji realizujących projekty główną grupę stanowią instytuty. Liderem jest Sieć Badawcza Łukasiewicz – Instytut Lotnictwa (7,6 mln euro).

Z kolei w Wiodącej Pozycji w Przemysle (Industrial Leadership) 323 polskie instytucje biorą udział w 471 projektach opiewających na sumę 215,67 mln euro. Z podmiotów naukowych na czele są: IChB PAN (8 mln euro), Polska Agencja Kosmiczna (6,4 mln euro; PAK jest klasyfikowana w UE jako podmiot naukowy, choć w kraju pełni inną funkcję), Politechnika Warszawska (4,4 mln euro).

Konrad Pfeiffer

Ogólnopolsko czy bliżej studentów?

Mateusz Grochowski, przewodniczący Parlamentu Studentów RP, na prośbę redakcji „Forum Akademickiego” przedstawia stanowisko studentów wobec propozycji zmiany systemu stypendialnego i przeniesienia stypendiów socjalnych z uczelni do ośrodków pomocy społecznej.

Podczas XXVII Krajowej Konferencji Parlamentu Studentów RP podnosiliśmy m.in. kwestie pomocy materialnej dla studentów.

W trakcie panelu z udziałem ministra edukacji i nauki Przemysława Czarńka oraz przedstawicieli resortu nauki przedstawiono propozycje zmian w tym zakresie. Według zapowiedzi zapomogi i stypendia rektora mają pozostać w gestii uczelni, jednak planuje się wprowadzenie ujednoliconych na poziomie krajowym zasad przyznawania stypendiów socjalnych. Ministerstwo we współpracy z innymi instytucjami przygotowuje także narzędzia informatyczne do tworzenia wniosków o takie stypendia. Podkreślono, że ostateczne decyzje dotyczące zmian w systemie pomocy materialnej nie zostały jeszcze podjęte, a projekt jest na etapie konsultacji.

Parlament Studentów RP sprzeciwia się przeniesieniu rozwiązań dotyczących stypendium socjalnego na grunt ogólnopolski. Rodzi się bowiem pytanie, czy będą za tym szły identyczne w całym kraju kwoty stypendium, niezależnie od miejsca studiowania? Inaczej przecież wygląda miesięczny budżet studenta i koszty utrzymania w Warszawie, a inaczej choćby w Tarnowie. Ponadto komisje stypendialne z udziałem studentów, działające dotąd na uczelniach, służyły wsparciem osobom składającym wnioski. Jak będzie to wyglądać w urzędach, w których przedstawiciele studentów nie mają nic do powiedzenia? Na ile podejście urzędników z MOPS-ów do studentów będzie zindywidualizowane, a na ile całkowicie rutynowe? Tego drugiego przypadku się obawiamy.

Zwracam także uwagę na wcześniej zgłaszane przez nas postulaty związane z systemem pomocy materialnej. Przede wszystkim

chodzi o podniesienie maksymalnej kwoty dochodu na jedną osobę w rodzinie uprawniającej do otrzymywania stypendium socjalnego.

Jest ona stała od kilku lat i wynosi 1057,1 zł. Biorąc pod uwagę wzrost minimalnego wynagrodzenia w ostatnich latach oraz rosnące ceny i inflację, niezbędne jest podniesienie tej kwoty.

Dyskutujemy także o przepisie, który narzuca uczelniom wykorzystanie puli przyznanej na stypendia w proporcji maksymalnie 60% środków na stypendia rektora. Uczelnia, nawet jeśli nie ma studentów potrzebujących wsparcia socjalnego, nie może przeznaczyć większych środków na stypendium rektora ze względu na wymaganą ustawowo proporcję pomiędzy poszczególnymi rodzajami stypendiów. Sprawia to, że uczelnie czasem sztucznie, niezależnie od rzeczywistych potrzeb muszą wykorzystywać środki na zapomogi bądź inne stypendia, by w kolejnym roku nie ponieść konsekwencji w postaci zmniejszenia ogólnej puli środków na stypendia.

Temat stypendiów jest żywy w środowisku studenckim. Środki te powinny umożliwiać młodym, zdolnym osobom uczenie się oraz być nagrodą za wyniki w nauce i dodatkowe osiągnięcia. W Parlamencie Studentów analizujemy, jakie propozycje ustawowe najlepiej odpowiedzą na potrzeby studentów w tym zakresie. Jednocześnie zachęcamy samych zainteresowanych do tego, by zabierali głos w tej sprawie, np. kontaktując się z przedstawicielami studentów na swojej uczelni.

Notował MK

Polski „rodzynek”

Prof. Wojciech Knap, szef Międzynarodowej Agencji Badawczej CENTERA działającej w Instytucie Wysokich Ciśnień PAN, otrzymał ERC Advanced Grant. Jest jedynym laureatem z Polski w tym konkursie. Prawie 2 mln euro przeznaczy na pionierskie badania w dziedzinie promieniowania terahercowego w projekcie „Towards On-Chip Plasmonic Amplifiers of THz Radiation”.

Fale THz umiejscowione są w zakresie leżącym pomiędzy mikrofalami a promieniowaniem podczerwonym. Ze względu na częstotliwości nawet tysiąckrotnie wyższe niż stosowane obecnie w telefonii komórkowej i WiFi mogłyby być stosowane w systemach obrazowania do jeszcze szybszego przekazywania danych, wykrywania i monitorowania obiektów, struktur czy nawet substancji chemicznych. Ich potencjał aplikacyjny wynika m.in. z łatwości przenikania przez większość materiałów niemetalicznych. W przeciwieństwie do promieniowania rentgenowskiego i ultrafioletowego nie są szkodliwe dla ludzi i zwierząt.

Do wzmocnienia (a docelowo do wytwarzania) drgań terahercowych mają posłużyć tzw. materiały dwuwymiarowe (m.in. grafen) oraz sprzężenia dwóch takich silnie oddziałujących między sobą materiałów. Podczas przepływu prądu powstaną w nich turbulencje, które doprowadzą do generacji teraherców. Badacze spodziewają się zaobserwować nowe zjawiska fizyczne, co pozwoli opracować ich modele teoretyczne, a także rozwinąć technologie w kierunku zastosowań mikroelektronicznych.

– Wcześniejsze eksperymentalne próby zrealizowania wzmocniaczy lub źródeł promieniowania THz opartych na oscylacji plazmonów i pracujących w temperaturze pokojowej kończyły się niepowodzeniem: intensywność promieniowania okazywała się zbyt niska lub konieczne było zastosowanie temperatur kriogenicznych. Jednak pojawienie się układów opartych na grafenie, oferujących świetne właściwości elektryczne i optyczne w temperaturze pokojowej na nowo rozbudziło zainteresowanie tą tematyką – tłumaczy prof. Knap, który od wielu lat rozwija fizykę wysokich częstotliwości. Wraz z prof. Thomasem Skotnickim jest od 2018 r. liderem między-

narodowego projektu badawczego CENTERA (Centrum Badań i Zastosowań Teraherców).

W tegorocznym konkursie AdG 253 uczonych otrzymało 624,6 mln euro. IWC PAN jest 20 polską jednostką z grantem ERC. Od 2007 r. do krajowych instytucji trafiło już 58 grantów wszystkich kategorii, w tym tylko 6 Advanced Grants. Ostatni grant dla doświadczonych naukowców o uznanym już dorobku otrzymał dwa lata temu



One HD

prof. Stefan Dziembowski z Uniwersytetu Warszawskiego na realizację projektu „Smart-Contract Protocols: Theory for Applications”. Wcześniej laureatami zostawali: w 2015 roku Grzegorz Pietrzyński z Centrum Astronomicznego im. Mikołaja Kopernika PAN („A sub-percent distance scale from binaries and Cepheids”), w 2011 prof. Ryszard Horodecki z Uniwersytetu Gdańskiego („Quantum resources: conceptuals and applications”), w 2009 prof. Andrzej Udalski z Uniwersytetu Warszawskiego („Optical Gravitational Lensing Experiment: New Frontiers in Observational Astronomy”) i w 2008 prof. Tomasz Dietl z Instytutu Fizyki PAN („Functionalisation of Diluted Magnetic Semiconductors”).

Adam Surowski

W elicie naukowej Europy

Wyniki polskich badaczy w konkursach Advanced Grants komentuje dla Czytelników „Forum Akademickiego” prof. Andrzej Jajszyk z AGH, wiceprzewodniczący Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych.

W ostatnim konkursie ERC dla naukowców o ugruntowanym dorobku (Advanced Grants) sukces odniósł prof. Wojciech Knap z Instytutu Wysokich Ciśnień Polskiej Akademii Nauk, którego projekt TERAPLASM dotyczy fal elektromagnetycznych o bardzo wysokiej częstotliwości. W konkursie przyznano 253 granty. Nie było łatwo je zdobyć, ponieważ współczynnik sukcesu wyniósł tylko 14,6%. Sukces naukowca z Polski potwierdza jego obecność w elicie naukowej Europy.

Niestety, w skali naszego kraju wynik konkursu nie jest zadowalający. Naukowcy z mniejszej Słowenii zdobyli w nim 3 granty tego typu, podobnie jak uczeni z mniejszej od Polski i podobnie zamożnej Portugalii. Nie wspominając już o krajach, co prawda od nas mniejszych, ale znacznie bogatszych, jak Austria (11 grantów AdG) czy Holandia (27 grantów AdG). Jeszcze gorzej wygląda porównanie liczby grantów dla doświadczonych naukowców od początku istnienia ERC, czyli od

2007 roku. Naukowcy z naszego kraju zdobyli dotychczas tylko 6 grantów, wszystkie z obszaru nauk fizycznych i technicznych (3 z fizyki, 2 z astronomii i 1 z informatyki). Dla porównania, Słowenia zdobyła ich 11, Portugalia – 19, a Holandia – 288. Nieco zaskakujące jest to, że żadnego grantu typu Advanced dotychczas nie zdobyli polscy naukowcy z obszarów nauk o życiu czy nauk humanistycznych i społecznych.

Przytoczone wyżej wyniki mogą wskazywać na relatywną słabość starszej generacji naukowców z naszego kraju. Jest to zapewne spowodowane przestarzałą czy mało ambitną tematyką badań, złymi zwyczajami publikacyjnymi, zamknięciem się wyłącznie w krajowym środowisku naukowym, a być może i zanikiem ambicji prowadzenia odważnych badań naukowych po uzyskaniu statusu akademickiego dającego gwarancję zatrudnienia. Nadzieję pozostają więc młodzi naukowcy, którzy w ostatnim rozstrzygniętym konkursie ERC na Starting Grants zdobyli finansowanie dla dziesięciu projektów.

Wsparcie dla Ukraińców

Jak szacuje prof. Jerzy Duszyński, prezes PAN, spośród 35 tysięcy ukraińskich naukowców, którzy pracowali w swojej ojczyźnie przed wojną, około 3–6 tys. przybyło do naszego kraju po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji. Część z nich znalazła już w Polsce nowe miejsce pracy.

Z programów wsparcia oferowanych przez Polską Akademię Nauk skorzystało dotąd 189 badaczek i badaczy. Pierwszy, we współpracy z Narodową Akademią Nauk Ukrainy (NANU), uruchomiono już na początku marca. O trzymiesięczne pobyty naukowe w instytutach PAN starało się 117 osób, z których 64 otrzymały dofinansowanie (część wniosków nie spełniała warunków formalnych, inne były wycofywane w związku z uzyskaniem przez Ukraińców funduszy z innych źródeł). Wsparcie obejmuje koszt podróży do Polski (jednorazowo do 1500 zł) oraz wyżywienie i zakwaterowanie (5 tys. zł miesięcznie).

Drugi program, realizowany wraz z Narodową Akademią Nauk Stanów Zjednoczonych (NAS), spotkał się z jeszcze większym zainteresowaniem. Ze 133 złożonych wniosków akceptację uzyskało 125. Beneficjenci otrzymają łącznie na cały kwartał do 4100 dolarów, w tym za pierwszy miesiąc do 1700 USD, za kolejne dwa do 2400 USD, a w przypadku przedłużenia pobytu do 1200 USD za każdy następny.

Jak podkreśla dr Anna Plater Zyberk, dyrektor Biura Współpracy z Zagranicą PAN, ukraińscy badacze tymczasowo przebywający w polskich instytutach zachowują afiliację swoich macierzystych jednostek naukowych. W przeważającej liczbie wywodzą się z instytutów NANU. Najliczniej reprezentowane są nauki społeczne i humanistyczne (w tym ekonomiczne, polityczne i prawne) – 86 osób, fizyka – 21 i chemia – 14. Ukraińcy trafili m.in. do Instytutu Sławistyki PAN (17), Instytutu Nauk Ekonomicznych PAN (13), Instytutu Studiów Politycznych PAN (9), Instytutu Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych PAN (8) oraz Instytutu Fizyki PAN (7).

– Obecnie kończymy podpisywanie umów o współpracę na rzecz ukraińskich badaczy z Leopoldiną, Elsevierem i tajwańskim National Cheng Kung University. W tym ostatnim przypadku planowane jest przyznanie 20 stypendiów dla najwybitniejszych ukraińskich badaczy, którzy swoje badania realizować będą w jednostkach naukowych PAN lub w polskich uniwersytetach współpracujących z Tajwańczykami. Te stypendia mają umożliwić zaproszenie do współpracy także studentów lub doktorantów z Ukrainy, z którymi główni beneficjenci finansowania będą współpracować podczas swoich pobytów w Polsce. Taka forma wsparcia umożliwi chociaż częściową kontynuację prac badawczych prowadzonych w ramach zespołów, które funkcjonowały w Ukrainie przed wybuchem wojny – tłumaczy dr Anna Plater-Zyberk.

Specjalny program rozstrzygnęło Narodowe Centrum Nauki. Skierowany był do Ukraińców oraz wszystkich innych badaczek i badaczy, bez względu na obywatelstwo, którzy schronili się w Polsce. NCN sfinansuje ich roczny pobyt w polskich ośrodkach, zapewniając środki na wynagrodzenia (100 tys. zł) i badania (do 30 tys. zł). Budżet programu obejmującego zarówno badania podstawowe, jak i aplikacyjne, wynosi 6 mln zł.

Do składania wniosków uprawnione były uczelnie i inne jednostki naukowe. Od 28 marca do 26 kwietnia, gdy prowadzony był nabór, wpłynęło 213 wniosków (157 od badaczek i 56 od badaczy): 103 z nauk humanistycznych i społecznych, 72 z nauk ścisłych i technicznych oraz 38 z nauk o Ziemi. W wyniku oceny dokonanej przez koordynatorów NCN wyłoniono 51 beneficjentów (38 badaczek i 13 badaczy), którzy znajdą zatrudnienie w Polsce. Największą grupę (19 osób) stanowią reprezentanci nauk o Ziemi. Oprócz nich jest 17 przedstawicieli nauk ścisłych i technicznych oraz 15 prowadzących badania humanistyczne i społeczne. To głównie mieszkańcy Kijowa (ze stolicy przy-

jechało lub przyjedzie ponad 30 osób), Charkowa i Lwowa, ale także m.in. Odessy, Ługańska i Sum.

– Grono instytucji goszczących liczy 38 uczelni i instytutów, w większości z Warszawy, Krakowa, Wrocławia i Lublina, ale także z mniejszych ośrodków, jak Opole, Olsztyn czy Zabrze. Niemal połowa laureatów konkursu pracowała dotąd w Narodowej Akademii Nauk Ukrainy. Trafia do instytutów PAN – informuje Anna Korzekwa-Józefowicz, rzeczniczka NCN.

Najwięcej laureatów będzie kontynuować swoje badania w Instytucie Agrofizyki im. Bohdana Dobrzańskiego PAN w Lublinie, Uniwersytecie Gdańskim i Instytucie Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych im. Włodzimierza Trzebiatowskiego PAN we Wrocławiu (po 3). Po dwóch naukowców znajdzie się w: Instytucie Geografii i Przemysłowego Zagospodarowania im. S. Leszczyckiego PAN, Instytucie Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN oraz uniwersytetach: Opolskim, Jagiellońskim, Rzeszowskim, Przyrodniczym w Lublinie i Ekonomicznym w Krakowie.

Naukowców zza wschodniej granicy przyjmie też Uniwersytet Łódzki. Konkurs, w którym zaoferowano stypendia na okres 3–6 miesięcy, był odpowiedzią na apel ukraińskich uniwersytetów o wsparcie dla tamtejszego środowiska akademickiego. Nabór trwał w drugiej połowie marca, wpłynęło blisko 50 zgłoszeń. Wyłoniono 28 stypendystów, których łódzka uczelnia przyjmie do pracy na dziewięciu (z dwunastu) wydziałach. Najwięcej, bo aż 6 osób, trafi na Wydział Ekonomiczno-Socjologiczny, dwóch mniej wzmocni Wydział Biologii i Ochrony Środowiska. Ponadto pojawią się na wydziałach: Filozoficzno-Historycznym (3), Prawa i Administracji (3), Nauk o Wychowaniu (2), Zarządzania (4), Filologicznym (3), Nauk Geograficznych (2) oraz Chemii (1). Ich stypendia zostały sfinansowane ze zwiększonej o 2% subwencji dla Uniwersytetu Łódzkiego za udział w konkursie Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza. Profesor otrzyma co miesiąc 7200 zł brutto, dr hab. – 5600 zł, dr – 5000 zł, zaś młody naukowiec – 4500 zł.

Ponad 70 zgłoszeń wpłynęło do rozpatrzenia w pierwszym konkursie Programu Współpracy Polsko-Ukraińskiej, który został zainicjowany przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej. W tym roku FNP planuje sfinansować do 6 projektów, realizowanych przez pary naukowców z Polski i Ukrainy w zakresie nauk humanistycznych i społecznych. Roczny budżet jednego przedsięwzięcia określono na 268 800 zł. Obejmuje on zarówno środki na pokrycie wynagrodzenia dwóch wnioskodawców, jak i kosztów związanych z prowadzeniem badań (np. sprzęt, podróże, dostęp do baz danych, archiwów, tłumaczenia, promocję, wynagrodzenia dla studentów, etc.). Trwa ocena formalna nadesłanych aplikacji.

Ponad 23,3 mln zł skierowała do 98 uczelni i instytutów Narodowa Agencja Wymiany Akademickiej, koordynująca program „Solidarni z Ukrainą”. To środki na zapewnienie ciągłości kształcenia studentów i doktorantów, którzy po 24 lutego pojawili się w Polsce jako wojenni uciekinierzy, i którym uniemożliwiono studia czy prowadzenie prac naukowych w ich ojczyźnie. Finansowanie otrzymała każda z aplikujących jednostek. Pieniądze pochodzą z budżetów dwóch resortów. Ponad 19 mln zł trafiło do uczelni, nad którymi nadzór sprawuje Ministerstwo Edukacji i Nauki, zaś 4,28 mln zł do podmiotów nadzorowanych przez Ministerstwo Zdrowia. Na podstawie deklaracji złożonych przez wnioskodawców szacuje się, że środki te pozwolą na kształcenie 1947 osób, które będą mogły kontynuować naukę, przygotować rozprawę doktorską, odbyć kursy językowe lub przygotować.

Konrad Pfeiffer

Jeśli nie MDPI, to co?

Prof. Grażyna Lewandowicz z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu w polemice z wypowiedzią prof. Elżbiety Gołaty (FA 4/2022) pokazuje zalety systemu publikacyjnego w otwartym dostępie i porównuje koszty dwóch typów publikacji prac naukowych. Zastanawia się także nad systemem recenzenckim.

Decyzja Pani Rektor Elżbiety Gołaty z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu o niefinansowaniu z puli prorektora na wsparcie badań naukowych artykułów publikowanych w czasopiśmie wydawanych przez grupę MDPI, a właściwie uzasadnienie podjęcia tej decyzji, zainspirowało mnie do włączenia się do dyskusji o tego typu publikacjach. Aby określić ich status, należy zdefiniować pojęcie „predatory”. Okazało się to niezwykle trudne i jak dotąd nie ma powszechnie przyjętej definicji. Generalnie zwraca się uwagę, że drapieżne czasopisma i wydawcy przedkładają swój zysk nad poziom publikacji naukowych. Wskazuje się również na odstępstwo od dobrych praktyk redakcyjnych, brak przejrzystości, a wręcz praktyki oszukańcze. Próby oceny wydawnictwa MDPI opierają się wyłącznie na parametrach bibliometrycznych, ponieważ uznaje się, że jakość recenzowania jest zbyt trudna do oceny, albowiem jest to proces subiektywny. Z braku lepszych kryteriów podnosi się kwestię jego szybkości jako przyczyny niskiego poziomu recenzji. Pogląd jakoby dłużej trwające przygotowanie opinii gwarantowało jej wysoki poziom, jest, delikatnie mówiąc, chybiony. Jeżeli recenzuję artykuł z dziedziny, w której jestem ekspertem, z reguły nie potrzebuję więcej niż 3 dni na przygotowanie dobrze uzasadnionej opinii. Czytanie manuskryptu zabiera mi nie więcej niż jeden dzień, a opracowanie recenzji kolejny dzień. Zatem dziesięciodniowy termin na przygotowanie recenzji nie jest zbyt krótki, **o ile proszę skierowano do eksperta w dziedzinie, której dotyczy praca**. Proszę dla porównania pomyśleć, ile czasu pracownicy naukowo-dydaktyczni mają na przygotowanie recenzji prac magisterskich. Są one znacznie obszerniejsze od typowej publikacji, a zależą od nich dalsze losy dyplomantów.

Podkreśla się często, że wydawnictwo MDPI nagradza recenzentów voucherami (w wysokości 100 CHF) dopiero po opublikowaniu pracy, co sugeruje, że konieczne jest nadesłanie pozytywnej recenzji, aby uzyskać voucher. Otóż jest to nieprawda. Wielokrotnie rekomendowałam odrzucenie (niepublikowanie) recenzowanej przeze mnie pracy, a mimo to uzyskałam voucher. Poza tym należy zauważyć, że procedurę nagradzania zniżkami publikacyjnymi stosują także czasopisma innych wydawców, np. „Reviews in Analytical Chemistry” (wyd. De Gruyter). Czy na tym tle bardziej uczciwie jawią się praktyki „tradycyjnych” wydawnictw naukowych, które w ogóle nie nagradzają recenzentów? Przejrzystość procedur stosowanych przez „tradycyjne” wydawnictwa budzi wątpliwości również z innych powodów. Często bowiem praca nie jest w ogóle kierowana do recenzji pod pretekstem, że jej przedmiot leży poza zakresem tematycznym czasopisma, mimo iż de facto pokrywa się on z głównym nurtem periodyku. Co gorsza, takie traktowanie spotyka niejednokrotnie zasłużonych dla wydawnictwa recenzentów. Mam nieodparte wrażenie, że praktyki te przypominają raczej neokolonialny wyzysk niż dobre praktyki publikacyjne. Pomijając już nawet kwestię nieuczciwości takiej procedury, na pewno nie przyczynia się ona do podniesienia poziomu „tradycyjnych” wydawnictw.

Międzynarodowa społeczność naukowa coraz częściej uświadamia sobie, że bariery finansowe uniemożliwiają dostęp do wyników

badania zarówno naukowcom, jak i społeczeństwu, które te badania finansuje. Monetyzacja dostępu do nowych i istniejących wyników badań jest głęboko sprzeczna z etosem nauki. W XXI w. wydawcy naukowcy powinni świadczyć usługi pomagające badaczom w rozpowszechnianiu ich wyników i być opłacani według wartości odpowiadającej świadczonym usługom, a tworzenie finansowych barier jest niedopuszczalne. W rezultacie gremia europejskie działające na rzecz nauki podjęły konkretne działania. W 2003 roku przyjęto tzw. Deklarację Berlińską (*Berlin Declaration on Open Access to Knowledge in the Sciences and Humanities*). W 2013 roku uzgodniono zasady otwartego dostępu do publikacji naukowych (<https://www.science-europe.org/our-resources/principles-on-open-access-to-research-publications/>). W 2016 roku opracowano tzw. Plan S, do implementacji którego w 2018 roku podjęto inicjatywę cOAlition.

W tym kontekście należy widzieć koszty publikacji w MDPI. Wydawnictwo to publikuje wyłącznie w otwartym dostępie, a koszt artykułu to ok. 2 tys. franków. Czy jest on adekwatny do wartości świadczonej usługi? Zgodnie z Planem S, firmowanym przez cOAlition S i szeroko przyjętym na całym świecie, również tradycyjne czasopisma

coraz częściej przyjmują prace do publikacji w trybie Open Access, a nawet wydają czasopisma wyłącznie w otwartym dostępie.

Spójrzmy na koszty publikacji w „tradycyjnych” wydawnictwach w systemie OA. W wydawnictwie Elsevier: „LWT” 2250 dolarów, „Journal of Functional Foods” 2160, a „Food Chemistry”: 1950 dolarów. U Springera: „Agricultural and Food Economics” 1030 euro, „Chemical and Biological Technologies in Agriculture” 1990, a w „Applied Biological Chemistry” 1225 euro. W Taylor & Francis: „All Life” 1,545 dolarów, „Cogent Food & Agriculture” 1,200, a w „International Journal of Food Properties” 2320 dolarów. Koszty publikacji w czasopiśmie hybrydowych są znacznie wyższe. U Elseviera: „Food Chemistry” 3900 dolarów, „Journal of Plant Physiology” 3170, a w „Journal of Power Sources” 3760 dolarów. Springer życzy sobie po 3390 dolarów za artykuły w „European Journal of Plant Pathology”, „European Food Research and Technology” i „Journal of Food Science and Technology”. Taylor & Francis chce 3190 euro za tekst w „Critical Reviews in Plant Sciences”, a 3010 za pracę w „Journal of Environmental Science and Health, Part B”.

Jak widać, uczelnia pragnąc realizować politykę otwartego dostępu, publikując w czasopiśmie wydawanych przez tradycyjne wydawnictwa, nie ponosi niższych kosztów, a wręcz przeciwnie. Tutaj należy dodać, iż polityka voucherów, rutynowo stosowana przez MDPI, umożliwia **pracowitym** naukowcom publikowanie za darmo. Nie jest to moja fantazja. Współpracuję z młodymi naukowcami publikującymi bezkosztowo w MDPI, właśnie ze względu na wybitną aktywność recenzyjną.

Dyskutując o kosztach publikacji w czasopiśmie OA nie można abstrahować od cen prenumeraty, czyli dostępu do źródeł informacji. Wszyscy zdają sobie sprawę z faktu, że nie ma czegoś takiego jak „darmowe” czasopismo, ale chyba za ogólną wiedzę nie idzie w parze świadomość szczegółów. Żadne czasopismo prowadzone przez wiel-



kie korporacje, jak Elsevier czy Springer, nie jest organizacją non-profit i nie działa pro publico bono. Każde tradycyjne wydawnictwo jest nastawione na osiąganie korzyści finansowych z publikowania artykułów naukowych. Jak podaje w sprawozdaniu finansowym Elsevier, w roku 2021 osiągnął przychód 7 244 mln GBP (!). Część z tych pieniędzy pochodzi z wnoszonych przez autorów opłat za publikacje Open Access, ale gargantuiczna kwota pochodzi z subskrypcji czasopism przez uczelnie i instytucje związane z nauką, które w ten sposób umożliwiają dostęp swym pracownikom do tych rzekomo bezpłatnych czasopism. W Polsce podpisywane są krajowe umowy subskrypcyjne, które koordynuje Wirtualna Biblioteka Nauki. Ministerstwo Edukacji i Nauki płaci Elsevierowi czy Springerowi gigantyczne kwoty za dostęp do czasopism tradycyjnych. Niestety, koszty subskrypcji wszystkich periodyków są tak duże, że nie stać nas na zakup wszystkiego, czego potrzebujemy i w rezultacie uczelnie w Polsce nie mają dostępu do wielu ważnych pozycji, w mojej dyscyplinie choćby „Journal of Cereal Science”, „Journal of Food Engineering” czy „Food Hydrocolloids” (o ile uczelnia nie wykupi subskrypcji do tych czasopism z własnych środków). W konsekwencji, trzeba wydawnictwu

tradycyjnemu zapłacić za opcję Open Access, co często jest znacznie droższe niż publikacje w otwartych czasopismach (np. wspomniane „Food Chemistry” to koszt 3900 dolarów netto).

Społeczność akademicka musi w przyszłości dać odpowiedź na kilka pytań. Jaki model wydawniczy należy promować i jaki się obroni? Czy kosztowne otwarte publikacje Open Access, czy też bezkosztowy proces publikacyjny i ograniczony dostęp ze względu na koszty prenumeraty? Odpowiedź została już do pewnego stopnia udzielona w drodze międzynarodowych ustaleń. Osobiście opowiadam się za modelem Open Access i ponoszenie przez społeczność naukową kosztów na etapie publikacji. Jeśli naprawdę zależy nam, aby przekazać wyniki naszych badań i przemyśleń szerszej społeczności, powinniśmy ponieść koszty nie tylko na etapie eksperymentu, ale również publikacji. Wartościowe recenzje kosztują i nie ma przesłanki, aby sądzić, iż niewynagradzany wysiłek recenzentów gwarantowałyby wyższy poziom ich pracy. Uważam, że osią naszej dyskusji nie powinno być „czy” Open Access, ale w jaki sposób zapewnić wysoki poziom recenzji. Czy sposobem na to mogłoby być np. upublicznianie ich treści?

Ewaluacja i awanse

Jedną z przewidzianych w ustawie Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce konsekwencji uzyskania przez dyscyplinę naukową w instytucji kategorii niższej niż B+ miała być utrata uprawnień akademickich przez ten podmiot. Wiązałyby się to z dużymi zmianami zarówno dla uczelni i instytutów naukowych, jak i samych doktorantów czy habilitantów. Minister edukacji i nauki postanowił złagodzić tego typu skutki tegorocznej parametryzacji w obszarze awansów naukowych, odpowiednio nowelizując PSWN. Celem nowelizacji jest „zabezpieczenie interesów doktorantów, jak również podmiotów prowadzących szkoły doktorskie, które podejmowały decyzje o tworzeniu pierwszych takich szkół w warunkach niepewności związanej z istotną zmianą zasad”. Ustawę z dnia 7 kwietnia 2022 r. o zmianie ustawy – Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce oraz ustawy – Przepisy wprowadzające ustawę – Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce podpisał 10 maja prezydent RP Andrzej Duda.

Nowelizacja stwierdza, że doktorant nie może ponosić konsekwencji utraty uprawnień akademickich przez jednostkę naukową w wyniku uzyskania przez nią kategorii naukowej niższej niż B+. To instytucja prowadząca dotychczas szkołę doktorską, a trąca uprawnienia, ma pokryć „koszty postępowania w sprawie nadania (koszty uzyskania) stopnia doktora w trybie eksternistycznym” w sytuacji „braku zgody doktoranta na przeniesienie do innej szkoły doktorskiej lub braku możliwości podjęcia kształcenia przez doktoranta w innej szkole doktorskiej”. Gdyby uczelnia lub instytut nie wywiązał się z tego obowiązku, „minister właściwy do spraw szkolnictwa wyższego i nauki będzie mógł nałożyć na prowadzącego szkołę doktorską administracyjną karę pieniężną.”

Dalej ustawa reguluje „sposób kontynuowania postępowania o nadanie stopnia doktora habilitowanego w przypadku utraty przez podmiot habilitujący uprawnień do nadawania tego stopnia.” Będzie on zależał „od momentu, w którym nastąpi utrata uprawnienia.” Jeżeli stanie się to przed powołaniem komisji habilitacyjnej to „postępowanie zostanie przekazane do prowadze-

nia (innemu – red.) podmiotowi wskazanemu przez Radę Doskonałości Naukowej.” Gdyby instytucja straciła uprawnienia akademickie już po powołaniu komisji habilitacyjnej – „komisja ta będzie kontynuowała swoje prace, a podjęta przez nią uchwała wraz z pozostałą dokumentacją postępowania w sprawie nadania stopnia doktora habilitowanego zostanie przekazana podmiotowi wyznaczonemu przez Radę Doskonałości Naukowej.” To rada odpowiedniej dyscypliny naukowej tej instytucji na podstawie przekazanych informacji podejmie decyzję o nadaniu (lub odmowie nadania) habilitacji.

Nowelizacja doprecyzowuje też kwestie związane z wydłużeniem do 31 grudnia 2023 r. „terminu ostatecznego zakończenia przewodów doktorskich wszczętych na podstawie ustawy z dnia 14 marca 2003 r. o stopniach naukowych i tytułach naukowych oraz o stopniach i tytułach w zakresie sztuki.” Umorzenie albo zamknięcie postępowania wszczętego na podstawie dotychczasowych przepisów „nastąpi jedynie w odniesieniu do postępowań, które we wskazanych terminach będą niezakończone w pierwszej instancji”, a w przypadku gdy podmiot prowadzący postępowanie uzyska „w tej dyscyplinie kategorię naukową C”, przewody doktorskie tam prowadzone będą mogły być kontynuowane przez inną instytucję wskazaną przez RDN. „W okresie przejściowym (od dnia uzyskania wyników pierwszej ewaluacji do dnia przyznania kategorii naukowych w wyniku kolejnej ewaluacji) podmioty, które uzyskają w poszczególnych dyscyplinach kategorię naukową B, będą mogły nadal kształcić doktorantów w tych dyscyplinach w prowadzonych przez nie szkołach doktorskich.”, co stanowi znaczne złagodzenie pierwotnych zapisów ustawy PSWN. Nowelizacja określa też szczegółowe warunki, na jakich podmiot prowadzący szkołę doktorską będzie mógł w tym przypadku kontynuować kształcenie doktorantów oraz będzie skutkować uzyskanie kategorii naukowej nie niższej niż B+ przez podmiot prowadzący szkołę doktorską.

(rat)

Obecną nazwę nosi dopiero 17 lat, ale program wspierania młodych naukowców przez przyznawanie im indywidualnego stypendium Fundacja na Rzecz Nauki Polskiej realizuje niemal od początku swojego istnienia, czyli od 1993 roku. Początkowo nosił nazwę Stypendia dla młodych naukowców. To, obok Nagrody FNP, najdłużej – już 30 lat – funkcjonujący i nie tracący nic ze swej aktualności program Fundacji. To także pierwszy w Polsce program grantowy skierowany specjalnie do młodych badaczy. Fundacja na tym polu, jak i na wielu innych, przetrwała i wyznaczyła szlaki różnym instytucjom; pokazała kierunki działań, które w wielu formach realizowane są przez ministerstwo nauki i rządowe agencja grantowe, a także szereg prywatnych fundacji, wspierających grantami młodych naukowców. Od trzydziestu lat laureaci programu START FNP otrzymują roczne stypendium, które mogą przeznaczyć na dowolny cel.

- Tegoroczny konkurs jest dla nas wyjątkowy, gdyż w tym roku świętujemy jubileusz programu START – przyznaliśmy stypendia po raz trzydziesty. Od 1993 r. nagrodziliśmy ponad 3 300 obiecujących młodych naukowców i naukowczyń, przekazując im łącznie ponad 90 milionów złotych dofinansowania. Laureatami STARTu zostają badacze, którzy, mimo że dopiero zaczynają karierę naukową, już mogą się pochwalić imponującymi osiągnięciami badawczymi. Zadaniem Fundacji na rzecz Nauki Polskiej jest im pomóc, wesprzeć ich potencjał, aby mogli rozwinąć skrzydła – mówi prof. Maciej Żylicz, prezes FNP.

Stypendyści programu START są wybierani w drodze wieloetapowego konkursu, w którym oceniana jest jakość ich dotychczasowego dorobku naukowego. Setka nagrodzonych w tym roku badaczy została wybrana z grona 794 kandydatów. Oznacza to, że współczynnik sukcesu wyniósł 12,6%. To znacznie mniej niż w grantach NCN, raczej bliżej konkursom ERC. Mimo to, jak pokazują twarde statystyki, chętnych na stypendia STAR FNP nie brakuje. W gronie tegorocznych beneficjentów jest 55 mężczyzn i 45 kobiet. Aż 54% wszystkich nagrodzonych posiada stopień doktora (w Polsce przeciętny wiek uzyskiwania doktoratu wynosi około 35 lat), w tym 23 kobiety i 31 mężczyzn. Łączna kwota przeznaczona przez FNP na stypendia w 30. konkursie programu START to 3 mln zł. Każdy laureat otrzymał stypendium w wysokości 28 tys. zł. Dorobek sześciorga laureatów – 4 kobiet i 2 mężczyzn – został szczególnie wyróżniony przez recenzentów oceniających wnioski.

Od 2009 r. Fundacja przyznaje w programie START wyróżnienia beneficjentom, których osiągnięcia badawcze zostały ocenione przez recenzentów jako wybitne. Ich stypendia wynoszą 36 tys. zł. W tym roku wyróżniono w ten sposób: mgr Aleksandrę Kopacz z Wydziału Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, dr. Dariusza Kosza z Wydziału Matematyki Politechniki Wrocławskiej i dr Joannę Mazur z Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego.

W ramach programu START przyznawane jest również Stypendium im. Barbary Skargi dla osoby, której badania wyróżniają się odważnym przekraczaniem granic pomiędzy różnymi dziedzinami nauki, otwierają nowe perspektywy badawcze i tworzą nowe wartości w nauce. Tegorocznym laureatem został mgr inż. Sylwester Swat z Wydziału Informatyki i Telekomunikacji Politechniki Poznańskiej.

Od roku 2015 r. FNP w programie START przyznaje wyróżnienie im. prof. Adama Sobiczewskiego dla laureata prowadzącego badania naukowe w dziedzinie matematyki, fizyki teoretycznej bądź astronomii. Głównym kryterium wyboru laureata jest wyjątkowo wysoka jakość dorobku naukowego. W tym roku otrzymała je mgr Aleksandra Olejak z Centrum Astronomicznego im. Mikołaja Kopernika PAN w Warszawie.

W tegorocznym konkursie po raz pierwszy przyznano stypendium z wyróżnieniem im. prof. Wacława Szybalskiego, które otrzymać może wybitny młody naukowiec prowadzący badania w dziedzinach nauki uprawianych przez fundatora, czyli biotechnologii, genetyce lub biologii molekularnej. Jego beneficjentką została mgr Aleksandra Synowiec z Małopolskiego Centrum Biotechnologii przy Uniwersytecie Jagiellońskim.

Wśród nagrodzonych w tym roku badaczy najliczniejsi są reprezentanci nauk biologicznych i medycznych – 31 stypendyistów. Na kolejnych pozycjach są przedstawiciele nauk technicznych (28 stypendyistów), humanistycznych i społecznych (20 stypendyistów), fizycznych i matematycznych (11 stypendyistów) oraz chemicznych (10 stypendyistów). Na czele rankingu instytucji, z których pochodzi największa liczba laureatów uplasował się ponownie Uniwersytet Warszawski (12 stypendyistów), na drugim miejscu znalazł się Uniwersytet Jagielloński (10 stypendyistów), na trzecim Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica (9 stypendyistów), a na kolejnych Politechnika Poznańska (7 stypendyistów) i Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (6 stypendyistów). Najwięcej stypendyistów związanych jest zawodowo z Warszawą – 30, Krakowem – 23, Poznaniem – 18 i Wrocławiem – 13. Uczelnie reprezentuje 80 beneficjentów, z których aż 30 związanych jest z uczelniami technicznymi, a instytuty PAN – 16. Tylko 4 związanych jest z innymi instytucjami:

W ciągu 30 lat FNP w programie START 3,3 tys. młodych naukowców przyznała 3 936 stypendiów (w latach 2002-2015 istniała możliwość otrzymania stypendium dwukrotnie) o łącznej wartości 90,5 mln zł.

- Program START trwa już 30 lat, a jego popularność i prestiż niezmiennie rosną. Dla młodych naukowców to ważne wyróżnienie, które ma wymierną wartość, przede wszystkim naukową. Wielu laureatów i lauratek nagrodzonych w ciągu tych 30 lat to dziś wybitni naukowcy i naukowczynie, autorytety cieszące się uznaniem nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Z pewnością również o tegorocznych beneficjentach STARTu nie raz jeszcze w przyszłości usłyszymy – mówi Justyna Motrenko, kierowniczka Zespołu ds. Nagród i Stypendiów w FNP.



Fot. FNP

Stypendia w konkursie START 2022 zostaną sfinansowane zarówno z budżetu fundacji, jak i ze środków przekazanych przez partnera programu - Narodowy Bank Polski (w ramach programu edukacji ekonomicznej) oraz prywatnych darczyńców i z wpłat 1% podatku

dochodowego. Nabór wniosków do kolejnego konkursu rozpocznie się jesienią br.

(mit)

MDPI a sprawa polska

Zamiłowanie polskich naukowców do publikowania w czasopiśmie wydawanych przez MDPI jest fascynującym zjawiskiem wymagającym dogłębnego zbadania. Na przykład z radością powitałbym zapowiadane na czerwiec wyniki ministerialnej ewaluacji w dwóch wersjach: z uwzględnieniem czasopism wydawanych przez MDPI i po ich pominięciu. W ten sposób dowiedzielibyśmy się, jak wzmózone publikowanie w czasopiśmie wydawanych przez MDPI w latach 2020 i 2021 wpłynęło na wyniki ewaluacji i ile jednostek „obroniło” dzięki MDPI prawo do doktoryzowania.

Preferencje publikacyjne polskich naukowców wykazują niezwykłą dynamikę przedstawioną w tabeli 1.

Tabela 1. Polskie publikacje w MDPI (WoS Core Collection)

rok	Liczba publikacji			
	razem	MDPI	inni wydawcy	% MDPI
2017	49603	749	48854	2
2018	52776	1841	50935	3
2019	54709	4147	50562	8
2020	56534	9848	46686	17
2021	59089	15153	43936	26
2022	16040	4908	11132	31

W ostatnich 6 latach nastąpił niemalże wykładniczy wzrost liczby polskich publikacji w czasopiśmie wydawanych przez MDPI przy jednoczesnym spadku łącznej liczby polskich publikacji w czasopiśmie innych wydawców. Tam liczba polskich publikacji osiągnęła swoje maksimum w 2018 roku i odtąd systematycznie spada. Udział procentowy polskich publikacji w czasopiśmie wydawanych przez MDPI w ogólnej liczbie polskich publikacji w 2022 roku (do połowy maja) jest jeszcze wyższy niż w roku ubiegłym i prawdopodobnie w bieżącym roku padnie kolejny rekord. Tabela 1 dowodzi, że liczne krytyczne wypowiedzi (m.in. w FA) na temat MDPI, zwłaszcza dotyczące wydawania publicznych pieniędzy na publikacje open access, nie odniosły zamierzonego skutku i zainteresowanie polskich naukowców publikowaniem w czasopiśmie wydawanych przez MDPI nadal rośnie. Ponieważ mamy do czynienia ze zjawiskiem szybkozmennym, kolejne zestawienia dotyczą wyłącznie roku 2021.

Stosunek naukowców z różnych państw do publikowania w czasopiśmie wydawanych przez MDPI (tylko rok 2021) przedstawia tabela 2.

Tabela 2. Publikacje z różnych państw w MDPI w 2021 roku (WoS Core Collection)

kraj	Liczba publikacji		
	MDPI	razem	% MDPI
Polska	15153	59089	26
USA	29520	836708	4
Chiny	38129	764551	5
Rumunia	4151	17879	23

W liczbach bezwzględnych Polska nie jest liderem pod względem publikowania w czasopiśmie wydawanych przez MDPI. Zdecydowanie wyprzedzają nas Chiny, USA i parę innych państw. Jednakże Chiny i USA publikują po kilkanaście razy więcej artykułów niż Polska w cza-

soπισmach innych wydawców, zaś pod względem publikowania w czasopiśmie wydawanych przez MDPI ich przewaga nad Polską jest zaledwie dwukrotna. Z drugiej strony, pod względem udziału procentowego publikacji w MDPI Polska nie ma sobie równych. Z dużych państw tylko Rumunia ma podobny do nas udział procentowy publikacji w MDPI w stosunku do innych wydawców. Pod względem udziału procentowego publikacji w MDPI Polska przewyższa Chiny i USA pięciokrotnie. W zestawieniu państw pod względem udziału procentowego publikacji w MDPI czołówkę (obok Polski i Rumunii) stanowią inne państwa dawnego obozu socjalistycznego. Te państwa mają wiele wspólnych cech: położenie geograficzne w środkowej Europie, zbliżony PKB per capita, język (w żadnym z nich angielski nie jest językiem ojczystym), najnowszą historię, które to cechy mogą warunkować szczególne upodobanie do MDPI. Powyższe korelacje mają swoje racjonalne uzasadnienie. Na przykład naukowcy z państw, w których angielski jest językiem ojczystym, publikują znacznie więcej w najbardziej prestiżowych czasopiśmie („Science”, „Nature”) niż naukowcy z innych państw o podobnym potencjale gospodarczym i nie muszą poszukiwać nowych czasopism, by publikować swoje wyniki. Z kolei naukowców z bardzo ubogich państw nie stać na opłaty za publikowanie open access.

Słonność polskich naukowców do publikowania w MDPI nie jest zjawiskiem jednorodnym. Preferencje publikacyjne przedstawicieli różnych uczelni zestawiono w tabeli 3.

Tabela 3. Publikacje z różnych uczelni w MDPI w 2021 roku (WoS Core Collection)

uczelnia	Liczba publikacji		
	MDPI	razem	% MDPI
UJ	766	4591	17
UW	338	3234	10
AGH	779	2458	32
PW	658	2118	31
WUM	558	2334	24
SGGW	652	1365	48

Naukowcy z Uniwersytetu Warszawskiego wykazali dużą powściągliwość w publikowaniu w MDPI (udział procentowy o połowę niższy niż średnia krajowa, ale nadal dwukrotnie wyższy niż w Chinach i w USA). Z kolei naukowcy z SGGW opublikowali w czasopiśmie wydawanych przez MDPI prawie połowę swoich prac. Wydaje się, że szczególnym upodobaniem darzą MDPI naukowcy z polskich uczelni rolniczych i technicznych (w stosunku do ich kolegów z uniwersytetów).

Jeszcze bardziej zróżnicowana jest fascynacja polskich naukowców poszczególnymi czasopiśmami wydawanymi przez MDPI. W „Energies” polscy autorzy opublikowali znacznie więcej prac niż naukowcy z jakiegokolwiek innego państwa (w tym z Chin i z USA). W „Materials” zajmujemy pod względem liczby opublikowanych prac drugie miejsce tuż za Chinami, znacznie wyprzedzając USA i inne światowe potęgi. Do tego stanu rzeczy przyczyniło się prawdopodobnie wyjątkowo hojne obdarzenie tych czasopism punktami ministerialnymi (po 140, pomimo skromnych wartości IF).

Marek Kosmowski

Zatem przejdźmy do faktów

Uwagi do polemiki prof. Wiszewskiego pt. *Należy trzymać się faktów*

Zwolniony adiunkt

Z dokumentów udostępnionych mi przez poszkodowanego pracownika, który bezpodstawnie został zwolniony z pracy przez prof. Przemysława Wiszewskiego, jednoznacznie wynika, że zwolniony nie naruszył ustawowych regulacji dotyczących zatrudnienia u dwóch różnych pracodawców, u których naprzemiennie świadczył pracę. Wniosek o rozwiązanie z pracownikiem umowy o pracę wystosował do rektora prof. Tomasz Jurdziński, dziekan Wydziału Matematyki i Informatyki UWr. Pracownik wytłumaczył, zarówno rektorowi, jak i dziekanowi, że zarzucane mu okoliczności „podwójnego zatrudnienia bez zgody pracodawcy nie mają miejsca”. Przedstawił też stosowne dokumenty. Kiedy nie wpłynęło to na zmianę decyzji o rozwiązaniu z nim stosunku pracy, zwrócił się z prośbą o pomoc do Związku Nauczycieli Akademickich UWr. W trakcie podjętych czynności wyjaśniających, przewodniczący związku dr Tomasz Krawczyk zwrócił się do mnie o pomoc jako do Zakładowego Społecznego Inspektora Pracy.

Korespondowaliśmy w tej sprawie z dyrektorem ds. personalnych Uniwersytetu Wrocławskiego, dostarczając przy tym stosowne dokumenty oraz wskazując regulacje prawne, z których jednoznacznie wynikało, że rozwiązanie umowy o pracę na podstawie zarzutów stawianych poszkodowanemu pracownikowi było bezzasadne. W korespondencji zamieściliśmy także wezwanie do wycofania się pracodawcy z bezpodstawnej decyzji i szybkiego zakończenia sprawy. W odpowiedzi dyrektor ds. personalnych podtrzymała stanowisko uniwersytetu, stwierdzając że: „Działania były podjęte zgodnie ze stanem faktycznym i obowiązującymi przepisami prawa. Dołożyliśmy wszelkich możliwych starań, aby sprawa została rozpoznana w sposób wnikliwy i prawidłowy. Niemniej jednak, Pan dr (...) ma prawo do odwołania się od decyzji pracodawcy do sądu pracy”.

W tej sytuacji poszkodowany pracownik wynajął adwokata, który w jego imieniu wniósł pozew do Sądu Rejonowego dla Wrocławia Śródmieście. Sprawa otrzymała sygnaturę IV P 1140/21. Odpis pozwu otrzymał Uniwersytet Wrocławski.

Dopiero po otrzymaniu odpisu pozwu prof. P. Wiszewski 6 kwietnia 2021 r. anulował rozwiązanie umowy o pracę, a sąd osobnym postanowieniem zakończył sprawę, obciążając uniwersytet opłatami wynikającymi z procedur na rzecz pracownika. Prof. Przemysław Wiszewski nie trzyma się zatem faktów, twierdząc że anulowanie rozwiązania umowy nastąpiło wyłącznie w ramach procedur UWr, bez udziału instytucji trzecich. Trudno bowiem przypuszczać, że nie przeczytał odpisu pozwu adresowanego do niego, jako pracodawcy.

Reprezentacja

Wszystkie związki zawodowe funkcjonujące na uczelni działają zgodnie ze statutami swoich organizacji i zgodnie z ustawą o związkach zawodowych. Organy wykonawcze związków zawodowych działają w imieniu swoich organizacji na podstawie przyznanych im w statutach uprawnień. W NSZZ „Solidarność” najwyższym organem związku jest Walne Zebranie Delegatów, organami wykonawczymi są Komisja Zakładowa i kierujący nią przewodniczący. Komisja podejmuje stosowne uchwały, które są realizowane przez przewodniczą-

cego i jego zastępców. Podobnie funkcjonują pozostałe organizacje związkowe.

Prawo nie zobowiązuje związków zawodowych do konsultowania ich działań, a w szczególności treści korespondencji z organami państwa, z pracodawcą. W przypadku UWr takie konsultacje byłyby zresztą wyjątkowo trudne do przeprowadzenia, ponieważ władze uczelni nie współpracują ze związkami zawodowymi. Dobitnie świadczy o tym fakt, że Uniwersytet Wrocławski jest prawdopodobnie jedną z dwóch tylko uczelni w Polsce, które nie mają uzgodnionych regulaminów wynagrodzenia, zaś od 2019 r. trwa spór zbiorowy dotyczący wynagrodzeń.

Na marginesie trzeba dodać, że to nie „zgłoszenie przez związki zawodowe umożliwiło ministrowi ogłoszenie wygaśnięcia mandatu rektora”, a podejmowanie przez ówczesnego rektora UWr, prof. P. Wiszewskiego, działań zarobkowych bez zgody Rady Uczelni.

Wynagrodzenia

Dla zobrazowania tego jak pod względem wynagrodzeń na tle innych uczelni w Polsce wypada Uniwersytet Wrocławski, związki zawodowe wystąpiły z wnioskami o udostępnienie infor-

macji publicznej do większości krajowych uczelni. Zdecydowana większość z nich takich informacji udzieliła. Na tej podstawie opracowaliśmy dane przedstawione podczas spotkania z pracownikami w grudniu 2021 r. Wynikały z nich podane przez nas miejsca naszej uczelni w zestawieniu z innymi uczelniami w kraju. Różnice w wysokości średniej podawanej przez GUS, o których wspomina Pan prof. Przemysław Wiszewski, wynikają zapewne z wliczania do średniej naszego uniwersytetu wynagrodzenia rektora i kadry zarządzającej, które znacznie tą średnią zawyżają.

Płaca rektora

Rada Uniwersytetu Wrocławskiego w kadencji 2019-2020 podjęła trzy uchwały dotyczące wynagrodzenia prof. Przemysława Wiszewskiego. Były to uchwały nr 6/2020 – w sprawie wniosku do ministra nauki i szkolnictwa wyższego o ustalenie wynagrodzenia zasadniczego i dodatku funkcyjnego rektora Uniwersytetu Wrocławskiego, nr 7/2020 – w sprawie przyznania dodatku zadaniowego rektorowi Uniwersytetu Wrocławskiego na kadencję 2020-2024 oraz nr 8/2020 – w sprawie wniosku do ministra nauki i szkolnictwa wyższego o ponowne ustalenie wynagrodzenia zasadniczego i dodatku funkcyjnego rektora Uniwersytetu Wrocławskiego.

Uniwersytet i Fundacja

Związek Uniwersytetu Wrocławskiego i jego rektora z Fundacją dla Uniwersytetu w sposób oczywisty wynika z jej statutu. Zgodnie z nim członków Rady Fundacji, liczącej do 15 osób, powołuje Senat UWr na wniosek rektora. W skład Rady wchodzi także Rektor UWr oraz przedstawiciel fundatora, którym obecnie jest KGHM. Co więcej, członków Zarządu Fundacji powołuje i odwołuje Rada Fundacji na wniosek rektora UWr.

Twierdzenie prof. Wiszewskiego, że „Fundacja dla UWr jest ciałem niezależnym od uczelni”, nie bardzo więc trzyma się faktów, zwłaszcza że w kolejnym swoim zdaniu potwierdza on, że jest ona personal-



nie i merytorycznie związana z uniwersytetem. Dziwna byłaby więc ta „niezależność” wynikająca z personalnych i merytorycznych związków.

Jeśli zgodnie z zapisami Krajowego Rejestru Sądowego w ostatniej Radzie Fundacji zasiadali m.in. obecny dziekan Wydziału Prawa, Administracji i Ekonomii prof. Karol Kiczka, wiceprezesem Zarządu Fundacji był obecny członek Senatu UWr prof. Mariusz Jabłoński, a prezesem były rektor UWr prof. Marek Bojarski, to chyba związki z Wydziałem Prawa UWr nie wymagają uzasadnienia.

Jest także sprawą zrozumiałą, że w wypadku prowadzenia postępowań wyjaśniających dotyczących takich stowarzyszeń i fundacji miejscowe organy prokuratorskie zwykle same wyłączają się od ich prowadzenia, aby nie zostać posądzonymi o stronniczość, a Ministerstwo Sprawiedliwości zleca prowadzenie takich spraw innym miejscowo prokuraturom.

Prof. Wiszewski twierdzi, że nowe władze podjęły niezbędne działania redukujące straty w działalności Fundacji. Ze stanowiących niewątpliwym fakt zapisów Krajowego Rejestru Sądowego wynika jednak, że kadencja ostatniej wybranej przez Senat UWr Rady Fundacji upłynęła z końcem roku 2020. Oznacza to, że od początku roku 2021 nie istnieją statutowe organy Fundacji. Senat UWr nie powołał Rady

Fundacji na kadencję 2021-2024. Tylko taka nowa Rada byłaby uprawniona do powołania nowego Zarządu Fundacji oraz Komisji Rewizyjnej. W tym świetle niezrozumiałym jest twierdzenie prof. Wiszewskiego o podjęciu przez niego rozmów z fundatorem, które miałyby zaowocować pokryciem przez fundatora wszystkich zobowiązań Fundacji, w tym także wobec niektórych jednostek UWr, a w nieodległej przyszłości także wobec firm, które przeprowadziły remont Auli Leopoldyńskiej. Okazało się bowiem, że wykonawcy tego remontu z niejasnych, z punktu widzenia interesu UWr, powodów wpłacali środki stanowiące zabezpieczenie gwarancji jakości wykonanych prac na konto Fundacji, a nie, jak ma to miejsce w przypadku innych prac remontowych, na konto uniwersytetu. Na jakiej bowiem formalnej podstawie prof. Wiszewski mógłby to uczynić, skoro, jak twierdzi, on sam oraz UWr są od Fundacji niezależne? Zgodnie ze statutem Fundacji do reprezentowania jej na zewnątrz jest uprawniony jej Zarząd.

W pełni zgadzam się z poglądem prof. Wiszewskiego, że nadrzędnym wymogiem rzetelnej dyskusji jest trzymanie się faktów.

Andrzej Jabłoński, przewodniczący NSZZ „Solidarność” UWr

Naprawdę warto trzymać się faktów

Z zainteresowaniem przeczytałem na łamach Forum Akademickiego nr 4/2022 krótką wypowiedź prof. Przemysława Wiszewskiego, byłego rektora Uniwersytetu Wrocławskiego, z tytułowaną Należy trzymać się faktów, a związaną z wygaśnięciem jego mandatu rektorskiego i stanowiącą polemikę do wypowiedzi Andrzeja Jabłońskiego, szefa uniwersyteckiej „Solidarności” (FA 3/2022). Uwaga moja była tym większa, że jestem anonimowym bohaterem tej wypowiedzi. Zatem ujawniam się i – wywołany do tablicy – przytaczam kilka faktów dotyczących działań prof. Wiszewskiego w sprawie mojego zwolnienia z pracy.

Od 2009 r. jestem pracownikiem naukowo-dydaktycznym w Instytucie Matematycznym Uniwersytetu Wrocławskiego. W 2015 r. zostałem też zatrudniony w Instytucie Matematycznym PAN. W dniu 12 stycznia 2021 roku dyrektor Instytutu Matematycznego UWr, w którym pracuję, w dziekanacie Wydziału Matematyki i Informatyki osobiście oskarżył mnie o oszustwo – dodatkowe zatrudnienie w Instytucie Matematycznym Polskiej Akademii Nauk bez zgody JM Rektora UWr, czyli o sprzeniewierzenie się artykułowi 123. ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Na jego podstawie (ust. 1. punkt 2.) „rektor może rozwiązać za wypowiedzeniem stosunek pracy z nauczycielem akademickim w przypadku (...) podjęcia lub wykonywania dodatkowego zatrudnienia bez zgody rektora, o której mowa w art. 125 ust. 1”.

Po odmowie poddania się woli dyrektora, która miała polegać na moim dobrowolnym odejściu z UWr, 25 lutego 2021 r. rektor P. Wiszewski, w obecności m.in. dziekana Wydziału Matematyki i Informatyki, wręczył mi wypowiedzenie z pracy. Nie chciałem przy tym słuchać moich wyjaśnień odnoszących się do art. 125 PSWN, w którym jest mowa o współpracy pomiędzy jednostkami. W ustępie 3. napisano, że zgoda rektora nie jest wymagana, gdy pracownik podejmuje dodatkowe zatrudnienie „w podmiotach, z którymi uczelnia nawiązała współpracę na podstawie umowy lub porozumienia albo dla których jest organem prowadzącym, założycielem albo udziałowcem”. Instytut Matematyczny UWr, w którym jestem zatrudniony,

nawiązał i od wielu lat realizuje formalną współpracę z Instytutem Matematycznym PAN, dlatego wypowiedzenie wręczone mi tego dnia było bezzasadne. Przyznał to także prof. Wiszewski w trakcie posiedzenia Rady Uniwersytetu Wrocławskiego 28 stycznia 2022 r., czyli rok po wręczeniu mi wypowiedzenia, co potwierdza protokół z tegoż posiedzenia. Nawet gdyby nie zachodziła okoliczność współpracy obu jednostek, co ustawowo zapewnia pracownikowi prawo do podjęcia zatrudnienia w obu instytucjach bez specjalnej zgody rektora, art. 123 PSWN stwierdza, że rektor „może rozwiązać za wypowiedzeniem stosunek pracy”. „Może”, a nie – „musi”. Zatem prof. Wiszewski wcale nie był zobligowany do wręczenia mi wypowiedzenia. Było to wynikiem decyzji ówczesnego rektora UWr, a nie wynikało z ustawowej konieczności.

Prof. P. Wiszewski mija się też z prawdą stwierdzając, że „całe postępowanie przywracania mnie do pracy było realizowane bez udziału instytucji trzecich”. W dniu 23 marca 2021 r. za pośrednictwem adwokata złożyłem do Sądu dla Wrocławia-Śródmieścia, IV Wydział Pracy i Ubezpieczeń

Społecznych, pozew przeciwko UWr w sprawie bezprawnego zwolnienia mnie z pracy. Otrzymał on sygnaturę akt IV P 1140/21 (sędzia Piotr Broy). Władze uniwersytetu zostały poinformowane o sprawie sądowej. Wiedziały o niej tym bardziej, że tenże sąd wysłał w tej sprawie kilka pism do uniwersytetu, np. w dniach 1 kwietnia 2021 r. i 21 kwietnia 2021 r. Fragment wypowiedzi prof. Wiszewskiego, że to dopiero dane z ZUS ukazały moje „podwójne oblicze bezwzględnego dwuetatowca” jest co najmniej nieprecyzyjny. Fakt, że pracowałem w IM PAN nie był tajemnicą. Informacja o tym widniała na mojej stronie internetowej oraz w systemie ORCID. Ponadto dane z ZUS są tajne i ich przekazanie pracodawcy byłoby nielegalne. Możliwe, że chodzi o system POLON, a nie ZUS.

Prawdopodobnie powody prób zwolnienia mnie z UWr były inne niż dodatkowa praca w IM PAN. Ale to jest materiał na osobny artykuł.

Jakub Gismatullin, Instytut Matematyczny UWr



Rozmowa z prof. Andrzejem Waską, pracownikiem Wydziału Polonistyki UJ, redaktorem naczelnym dwumiesięcznika „Arcana” oraz doradcą Prezydenta RP Andrzeja Dudy

Obecność romantyzmu

Musimy romantyzm odczytywać na nowo, żeby w pełni zreprodukować potencjał kulturowy, jaki wypracowały poprzednie pokolenia. Reprodukacja potencjału kulturowego jest pierwszym warunkiem do tworzenia nowych wartości.

Recenzując pracę *Literatura i polityczność*, nazwałem pana profesora kontynuatorem tego nurtu w polskim literaturoznawstwie, któremu patronował Stanisław Pigoń. Już tylko choćby przez to, że był pan seminarzystą i doktorantem Juliana Maślanki, bezpośredniego ucznia Pigoń. Ale przecież nie tylko o związki personalne w tym wypadku chodzi. Czy miałem rację, mówiąc o powinowactwie intelektualnym z Pigońcem?

Trudno mnie samemu to oceniać. Pigoń był wielką osobowością i potęgą naukową, ale raczej nie był dla mnie bezpośrednim wzorem w latach młodości. Także profesor Maślanka nie formował mnie w jakimś ortodoksyjnym duchu „szkoły Pigoń”, jak ktoś z boku mógłby sądzić. Może i dlatego, że przeczuwał u mnie takie powinowactwo intelektualne? Jest faktem, że sam przyszedłem na jego seminarium z pomysłami dotyczącymi *Pana Tadeusza*. Również moje książki sprzed lat były zamierzoną polemiką w stosunku do marksistowskiej i postmodernistycznej wykładni romantyzmu. Romantyzm polski nie był ani forpczą rewolucji październikowej, do czego sprowadzały się jego interpretacje socrealistyczne, ani nie był wyłącznie „chorobą wieku”, przeżywaną przez różnego rodzaju odmieńców. Owszem – i tu pojawia się Pigoń, który nas swoimi poglądami naprowadza na właściwą ścieżkę – romantyzm bywał u nas, jak w całej Europie, „chorobą wieku”. Ale największe dzieła naszych romantyków w losach swoich bohaterów ukazują właśnie proces wychodzenia jednostki z egotycznego indywidualizmu i zapatrzenia w siebie. Jest to proces dojrzewania osobowości i odkrywania obiektywnego porządku wartości poza własnym ego. Na pierwszym miejscu wśród tych wartości w Polsce jest oczywiście ojczyzna. Pigoń w latach studenckich chodził po Krakowie w młodopolskiej pelerynie, działał w stowarzyszeniu Eleuzis na rzecz formacji moralnej i patriotycznej ówczesnej młodzieży, zwłaszcza robotniczej. Już wtedy widział w romantyzmie, a zwłaszcza u Mickiewicza, wartości wychowawcze. Potem zmienił się, ale to mu pozostało. Miał rację. Nie dlatego, że Gustaw, Konrad, Jacek Soplica, Kordian i inni stanowią galerię wzorów osobowych dla dzisiejszej młodzieży, ale dlatego, że ich perypetie w mistrzowski sposób ukazują różne trudne doświadczenia ludzkie, jednostkowe i zbiorowe, przeżyte i przemyślane głęboko, do dna, a zrozumienie tego w lekturze formuje charakter i pomaga w życiu. Pigoń na pewno cieszyłby się też, że Sejm ogłosił rok 2022, w dwusetną rocznicę *Ballad i romansów*, Rokiem Romantyzmu Polskiego, bo pielęgnowanie intelektualnego spadku po epoce Mickiewicza uważał za sprawę narodową.

Podzielił się teraz refleksją natury osobistej. Otóż wyniosłem z liceum przeświadczenie, że romantyzm polski to prąd strasznie rewolucyjny i awangardowy. Rozmowy na uniwersytecie z kolegami i później studentami, z którymi prowadziłem zajęcia, upewniły mnie, że nie tylko ja wyniosłem owo przeświadczenie. Według niego nasz romantyzm to produkt niemal całkowicie importowany z Zachodu w celu rozprawienia się z tradycją, ponieważ religią czy wcześniejszą sztuką, w tym literaturą. A przecież to tylko co najwyżej jedna strona medalu. Tę drugą pokazuje pan w swoich książkach, choćby w *Romantycznym sarmatyzmie czy Historii według poetów*. Czy można powiedzieć, że romantyzm polski był w tej samej mierze konserwatywny co rewolucyjny, tradycjonalistyczny co awangardowy?

W podręcznikach szkolnych w PRL straszycielskie widmo Złego Pana z II części *Dziadów*, a wybrane elementy romantyzmu wpisywano w ramy ówczesnej religii postępu. Dzisiaj bywa podobnie. Możemy się np. dowiedzieć od Mai Kleczewskiej, że „Konrad był kobietą”, a od innych, że Słowacki i Krasiński byli, owszem, ważni, ale w ramach homobiografii. Musimy mieć w związku z tym świadomość, że współczesny rynek kulturowy zalany jest różnymi podróbkami interpretacji.

Znaczenie romantyzmu w kulturze Zachodu polega jednak na tym, że jest on pierwszą negatywną, a zarazem systemową reakcją na wszechogarniający proces racjonalizacji życia (pojęcie pożyczam od Maxa Webera). Proces, który w filozofii zaczął się w XVII stuleciu, a potem stopniowo zagarniał kolejne dziedziny myślenia i organizacji społecznej. Od czasów romantyzmu takie fale rewizji nowożytnej cywilizacji rozumu są stałym elementem kultury Zachodu, a od czasu do czasu powracają z większą intensywnością. A więc romantyzm to jest swego rodzaju bunt, ale przede wszystkim bunt przeciwko oświeceniowi, z jego mechanistycznym światopoglądem i z różnorodnymi konsekwencjami tego światopoglądu. Do tych konsekwencji jedni zaliczali absolutyzm (zwany oświeconym), inni – jak Edmund Burke – jakobińską rewolucję i stąd związek romantyzmu z konserwatyzmem. Bywali oczywiście romantycy radykalni i postępowi, u nas np. młody Goszczyński, ale bywali też w tym pokoleniu rewolucjoniści i konserwatyści antyromantycy. Mickiewicz, którego nie sposób jednoznacznie zakwalifikować, uważał, że skutkiem racjonalizmu politycznego były rozbiory Polski, spełnione rękami przyjaciół Woltera: Katarzyny II i Fryderyka pruskiego. Jeśli dodamy do tego powszechne wśród romantyków przekonanie o upadku poezji

w wieku światła, to zrozumiemy, że romantyczna „awangardowość” zaczynała się od rehabilitacji tradycji: starych ballad, podań ludowych, średniowiecza; tego wszystkiego co się zrodziło w organicznym procesie społecznym i z czym ludzie od pokoleń związani byli niemi przekazem ustnym, uczuć i wiary. Szło z tym w parze odkrywanie lokalnego, narodowego wymiaru kultury. W I połowie XIX wieku zaczęło się też, jak panu doskonale wiadomo, po długim okresie oświeceniowego indyferentyzmu, odrodzenie religijne, oczywiście nie zawsze ortodoksyjne.

Mówi pan, że dla niektórych „polski romantyzm to produkt całkowicie importowany z Zachodu”. Gdyby jednak tych samych ludzi zapytać, czy nie dlatego ten nasz „importowany” romantyzm jest tak mało znany na Zachodzie, że jest całkowicie „skupiony na sytuacji Polski i na jej historii, której Zachód nie zna”, to też by się z tym zgodzili... Mysząc w taki sprzeczny wewnętrznie sposób, nie dojdziemy jednak do niczego. Co najwyżej zniechęcimy się do epoki, która była prawdziwym złotym wiekiem przede wszystkim naszej literatury, ale i filozofii.

Maria Janion w latach siedemdziesiątych toczyła boje o romantyzm ze Stefanem Bratkowskim, później, jesienią 1980, z Konstantym Puzyną, nie tyle o romantyzm, co raczej o tradycję romantyczną. Sam polemista upierał się przy tym rozróżnieniu. W wystąpieniu podczas Kongresu Kultury Polskiej, w przededniu ogłoszenia stanu wojennego, Janion twierdziła, że duch romantyzmu wcielił się w robotniczy bunt. Czy nie nazbyt pochopnie ogłosiła po 1989 roku zmierzch paradygmatu romantycznego? Oczywiście w jego wersji tyrzejskiej. Czy jednak w ogóle w przypadku romantyzmu polskiego dopuszczalna jest dystynkcja: tyrzeizm – orfizm?

Ciekawym i wiele mówiącym zjawiskiem są powroty do i odwroty od romantyzmu w wieku XX. Na przykład pokolenie „Współczesności” po roku 1956 i strukturaliści lat sześćdziesiątych w ogóle się romantyzmem nie interesowali; podobnie Nowa Fala – romantyzm ich nudził i drażnił. Natomiast wyraźne ożywienie zainteresowania romantyzmem pojawiło się w latach siedemdziesiątych na przedpolu Sierpnia 1980 i krótko potem. *Listopadowy wieczór* Andrzeja Kijowskiego, *Bić się czy nie bić?* i inne książki Tomasza Łubiewskiego, a później Jarosława Marka Rymkiewicza są tego trwałym śladem (także dyskusyjne w wielu punktach książki Marcina Króla i Wojciecha Karpińskiego). Oddaliliśmy się jednak od tamtej epoki i obecnie romantyzm nie powróci już na fali nastrojów społecznych, jak przed 40 laty. Z drugiej strony modne kiedyś gombrowiczowskie rewizje romantyzmu dzisiaj byłyby już gestem epigońskim. Wbrew owym rewizjom, miejsce romantyzmu powinno się znaleźć w centrum narodowego kanonu literatury polskiej, zarówno w badaniach, jak i w szeroko rozumianej edukacji. Wynika to z rangi tego dziedzictwa u nas i ze szczególnej pozycji I połowy XIX wieku (a szerzej stulecia 1764-1863) w polskich dziejach. Jest to bowiem epoka przejściowa pomiędzy Polską dawną a nowoczesną, która z jednej strony miała jeszcze bezpośredni kontakt z Rzeczpospolitą przedrozbiorową i kultuwała jej liczne tradycje, a z drugiej strony była już nowoczesna i określiła kształt naszej kultury na sto lat do przodu. To była swoista przełęcz dziejów, która zarazem dzieli i łączy dwie wielkie epoki naszego narodowego bytowania, i z której jest najlepszy widok na obie strony. Dlatego, jeśli dzisiaj chcemy oprzeć polską wspólnotę na jej własnej kulturze, to musimy zapewnić romantyzmowi miejsce centralne w programach akademickich i szkolnych. Dotyczy to również formacji przyszłych elit. Kto chce być w Polsce intelektualistą, nie może nie mieć za sobą lektury listów Zygmunta Krasińskiego, publicystyki Maurycego Mochnackiego, nie może znać Mickiewicza i Norwida z dru-



Prof. dr hab. **Andrzej Waśko** (ur. w 1961 r.) jest historykiem literatury, kulturoznawcą, krytykiem literackim i publicystą. Od 1986 zawodowo związany z Instytutem Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego (obecnie pracownik Wydziału Polonistyki UJ). Współzałożyciel i od 2015 redaktor naczelny dwumiesięcznika „Arcana”. Doradca Prezydenta RP Andrzeja Dudy. Był koordynatorem sekcji „Edukacja, młode pokolenie, sport” w Narodowej Radzie Rozwoju. Jako historyk literatury specjalizuje się w badaniu romantyzmu polskiego. Opublikował m.in. książki: *Romantyczny sarmatyzm*, *Zygmunt Krasiński. Oblicza poety, Historia według poetów, O edukacji literackiej (nie tylko dla polonistów)*, *Literatura i polityczność*. Ukazały się także zbiory jego publicystyki: *Demokracja bez korzeni* i *Poza systemem*.

giej ręki, musi przynajmniej rozpoznawać utwory Słowackiego i wiedzieć, o co właściwie spierali się nasi wieszczowie, a w czym byli zgodni. Po drugie, Maria Janion postulowała nie bez racji, że mamy iść do Europy, ale z naszymi umarłymi. Inaczej to trzeba sformułować: to właśnie wymienieni tu „umarli poeci” są naszą drogą do Europy. To oni pierwsi do niej weszli intelektualnie, i to nie na kolanach, tylko – mimo tragicznej wówczas sytuacji narodu – jako równorzędni partnerzy. Dlatego powinni być naszymi przewodnikami. Po drugie musimy romantyzm odczytywać na nowo, żeby w pełni zreprodukować potencjał kulturowy, jaki wypracowały poprzednie pokolenia. Reprodukacja potencjału kulturowego jest pierwszym warunkiem do tworzenia nowych wartości. Jeżeli ona nie następuje, lub jest zaburzona – z czym mamy obecnie do czynienia z wielu przyczyn, m.in. z powodu nieszczęsnego hasła o „końcu paradygmatu romantycznego” – to skazani jesteśmy na kulturę imitacyjną, plagiatową, czyli na regres. Obecność romantyzmu dziś i w przyszłości nie zależy więc od koniunktury historycznej, nawet jeśli wydarzenia polityczne wokół Polski zaktualizują nam ponownie „paradygmat tyrzejski”. Należy ona do sfery powinności polskich elit. Tytułem przykładu: po 30 latach niepodległości przydałaby się nam nowa synteza literacka romantyzmu, nowe podręczniki, bo te, które mamy, pisane są in verba magistri – w duchu interpretacji z okresu PRL.

Chciałbym jeszcze na moment zatrzymać się przy cezurze 1989 roku. W pracy *O edukacji literackiej (nie tylko dla polonistów)* przywołuje pan następujący fragment z *Czarnej wiosny Antoniego Słonimskiego*: „Ojczyzna moja wolna, wolna... / Więc zrzucam z ramion płaszcz Konrada”. Jednocześnie sprzeciwia

się pan instrumentalnemu odczytaniu wyrwanych z kontekstu wersów. Owo instrumentalne odczytanie polegałoby na zaprzęgnięciu Słonimskiego do grona tych, którzy twierdzą, że wraz ze zmianą ustrojową nasz kraj odzyskał suwerenność, komunizm znalazł się na śmietniku historii i w związku z tym wszelkie zobowiązania narodowe i społeczne przestały obowiązywać. A już na pewno w ich rozumieniu – powiedzmy – romantycznym. Bardzo szybko okazało się, że huraoptymizm z okresu tuż po transformacji w żaden sposób nie da się utrzymać. Na miejsce starych problemów pojawiły się nowe. I te nowe problemy nie pozwalają zapomnieć o zobowiązaniach narodowych i społecznych. Nie tylko w przywołanej tu pracy, ale w wielu innych wystąpieniach zdecydowanie sprzeciwiał się pan „libertariańskiej narracji o wolności”, która sprowadza się do zwolnienia jednostki z wszelkich obowiązków wobec wspólnoty. Bez Gustawa nie byłoby Konrada, a Konrad nie byłby sobą bez orfickiego buntu Gustawa przeciw szaleństwu oświeceniowego racjonalizmu. Czy zgodzi się pan z twierdzeniem, że paradygmat romantyczny jest syntezą orfizmu oraz tyrteizmu i nie należy go na siłę rozrywać, a już zwłaszcza dziś?

Retoryka literackiego salonu lat dziewięćdziesiątych – „zrzucamy płaszcz Konrada” – sprowadzała się do następującej konkluzji: mamy niepodległość, spełniły się marzenia tych pokoleń, które o nią walczyły, to teraz zapomnijmy o tych pokoleniach, bawmy się, tym bardziej że Fukuyama ogłosił „koniec historii”. Oczywiście po takim „końcu historii” wszystko zaczyna się od początku. I dzisiaj mamy do wyboru: zdekonstruować własne dziedzictwo, zadowolić się produktami Netflixa i w efekcie rozpuścić swoją polskość w globalnej subkulturze albo myśleć z naszymi romantykami, którzy w swoim czasie już się z podobną groźbą kulturowego „znicestwienia narodu” zmierz yli. To znaczy, że ten okropny paradygmat romantyczny nas obowiązuje, jeżeli w ogóle godzimy się na jakieś wspólne, polskie „my”. I ma pan rację, że romantyzmu nie można sztucznie rozrywać na orfizm i tyrteizm, czy na nurt egzystencjalny i narodowy, bo u naszych wieszczów

jedno przechodzi w drugie. A w jaki sposób – to jest właśnie pasjonujące w ich lekturze.

W tak krótkiej rozmowie musimy ograniczyć się do poruszenia niewielkiej ilości tematów, które łączą się z problematyką romantyzmu polskiego w kontekście naszej współczesności. Kończąc, chciałbym, aby pan odniósł się do kwestii, mówiąc za nieprzyjacielem romantyzmu, Aleksandrem Bocheńskim, „jak chować nasze młode?”. Kształcenie i wychowanie to dziedziny przecież panu bardzo bliskie. W stanie wojennym „Tygodnik Powszechny” na pierwszej stronie przedrukował sławny *Sąd nad Don Kichotem* Słonimskiego, pochwałę romantyzmu, z mottem z Norwida. Poza tym istnieje piękny wiersz Słonimskiego pt. *Mickiewicz*. Przytaczam tu ostatnią strofę:

„Więc, młody przyjacielu, nim cię zapał rączy
Porwie do walki z światem, klęknij na tym grobie,
Wiedz, że On się zza grobu z twoją wiarą łączy,
Że On na łożu śmierci myślą był przy tobie”.

Dzisiaj młodzi muszą sami to odkryć dla siebie. Jest w nich taki potencjał. Nie brakuje też zainteresowania, wbrew temu, co się powierzchownie sądzi. Widać to wśród studentów, jeden z problemów polega tylko tym, że młodzi poloniści z takimi zainteresowaniami mają zamkniętą drogę do zatrudnienia na uczelniach, gdzie na ogół królują dziś inne tematy i autorytety. Słyszę jednak, że w Krakowie studenci... prawa i historii wystawiają amatorsko *Fredrę*, i to – niech pan sobie wyobrazi – bez zmian w tekście! Tęsknotę publiczności za odrzuconym paradygmatem kultury dało się też widzieć, obserwując obchody Roku Norwida w 2021. Każda kolejna edycja Narodowego Czytania pod patronatem Pary Prezydenckiej cieszy się coraz większą frekwencją. Jak wiadomo, pewnym problemem jest zachłność się nowymi mediami. Nie wierzę oczywiście w zanik książki papierowej, ale studenci nie powinni poprzestawać na czytaniu arcydzieł ze smartfona, bo to trywializuje zarówno sam proces komunikacji literackiej, jak i treść przekazu. Poza tym młodzi nie mogą być więźniami wirtualnego świata.



Bys. Sławomir Makal

Powinni być bardziej aktywni w przestrzeni realnej. I w tym właśnie romantycy mogą być dla nich wzorem jako niestrudzeni wędrowcy, turyści, pielgrzymi. Jak wiadomo, podróże kształcą, a zwłaszcza podróże romantyczne do źródeł kultury. Wiele lat temu, dzięki ówczesnemu rektorowi UJ, udało mi się zorganizować dwa objazdy naukowe śladami Mickiewicza po Wilnie i Kownie. Uczestniczyli w nich głównie seminarzyści kończący studia, ale ich wniosek był taki, że od podobnych wypraw studia polonistyczne powinny się zaczynać. A przecież można zwiedzać nie tylko Litwę czy Kresy. Na Mazowszu, poza Warszawą, mamy Muzeum Romantyzmu w Opinogórze. W Wielkopolsce, poza Poznaniem, są piękne pałace i romantyczne muzea w Kórniku, Rogalinie, Śmiełowie. We Wrocławiu jest Muzeum Pana Tadeusza. W większości pozostałych regionów muzea literackie, bardziej lub mniej znane, są w bliskim zasięgu każdej szkoły średniej. Wyjazd edukacyjny wymaga pewnej energii i organi-

zacji, ale to jest bardzo wychowawcze, a łączy przyjemne z pożytecznym. W ogóle jednak młodzież powinna się sama organizować, tak jak organizowali się uczniowie gimnazjalni i studenci za czasów Pigionia (i za nowszych czasów). Tym bardziej że średnie i starsze pokolenie jest dzisiaj wyjątkowo zagubione. Może zresztą zawsze tak bywa w pewnym stopniu? Może dlatego kiedyś powstał Filomaci, Filareci, spiskowali podchorążowie? Krytycy romantyzmu, tacy jak Aleksander Bocheński, którego pan wspomina, zawsze to romantyczne liberum conspiro potępiali. Ale ich nauki, pochwalające młodość bez utopii, są przygnębiające, a w wymiarze wychowawczym są tylko wodą na młyn dla młodych filistrów, którzy „goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu”, węższą, jak się w życiu urządzą i nic poza tym ich nie interesuje.

Rozmawiał Tomasz Klusek

Nowi profesorowie

6 kwietnia 2022 Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda wręczył akty nominacyjne nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

NAUKI HUMANISTYCZNE: **Marzena Górecka** (KUL), **Ryszard Nowicki** (UKW), **Witold Sadowski** (UW), **ks. Tomasz Stępień** (UKSW), **Maciej Ząbek** (UW), **Michał Zwierzykowski** (UAM)

NAUKI INŻYNIERYJNO-TECHNICZNE: **Rafał Dańko** (AGH), **Piotr Kiśkała** (PL), **Beata Kowalska** (PL), **Michał Kuciej** (PB), **Piotr Marciniak** (PP), **Mariusz Oleksy** (PRz), **Małgorzata Sterna** (PP), **Andrzej Truty** (PK), **Mateusz Turkowski** (PW), **Katarzyna Zabielska-Adamska** (PB)

NAUKI MEDYCZNE I O ZDROWIU: **Marzena Bartoszewicz** (UMWr), **Andrzej Czamara** (WSF Wrocław), **Alina Gajewska** (IFIŻZ PAN Jabłonna), **Robert Gałązkowski** (WUM), **Lidia Gil** (UMP), **Ewelina Grywalska** (UML), **Andrzej Klejewski** (UMP), **Bogdan Koczy** (SPWScHU Piekary Śląskie), **Dariusz Kowalski** (CO-IMSC Warszawa), **Gabriela Krämer-Marek** (Instytut Badań nad Rakiem, Sutton, Wlk. Brytania), **Beata Pyrzak** (WUM), **Witold Rongies** (WUM), **Mariusz Sacharczuk** (WUM), **Anna Skalska** (UJ), **Marcin Sobczak** (WUM), **Katarzyna Sygit** (AK Kalisz), **Jerzy Świerkot** (UMWr), **Waldemar Wierzbę** (AHE Łódź), **Marzena Wyganowska-Świątkowska** (UMP)

NAUKI ROLNICZE: **Krzysztof Anusz** (SGGW), **Ewa Czarniecka-Skubina** (SGGW), **Magdalena Gryzińska** (UPL), **Dorota Hilszczańska** (IBL Sękocin Stary), **Mirosław Kobierski** (UTP Bydgoszcz), **Krzysztof Niemczuk** (PIW-PIB Puławy), **Anna Rząsa** (UPWr), **Justyna Więcek** (SGGW), **Grzegorz Woźniakowski** (PIW-PIB Puławy)

NAUKI SPOŁECZNE: **Przemysław Dąbrowski** (AP Słupsk), **Szczepan Figiel** (UWM), **Bogdan Grenda** (ASW Warszawa), **Teresa Kraśnicka** (UEK), **Ewa Miklaszewska** (UEKr), **Paweł Miłobędzki** (UG), **Mirosław Minkina** (UPH Siedlce), **Renata Nowakowska-Siuta** (ChAT), **Joanna Paliszkiwicz** (SGGW), **Małgorzata Pańkowska** (UEK), **Andrzej Podraza** (KUL), **Maciej Rogalski** (UŁ Warszawa), **Wojciech Sokół** (UMCS), **Anna Szychta** (UŁ)

NAUKI ŚCISŁE I PRZYRODNICZE: **Monika Fabiańska** (UŚ), **Dariusz Grech** (UWr), **Konrad Kowalski** (UŁ), **Beata Krasnodębska-Ostręga** (UW), **Andrzej Kudelski** (UW), **Bogusława Łęska** (UAM), **Cezary Mitrus** (UPWr), **Andrzej Molak** (UŚ), **Adriana Szmidt-Jaworska** (UMK)

NAUKI TEologiczne: **ks. Marcin Worbs** (UO)

SZTUKA: **Jan Bokszczanin** (UMuz Warszawa), **Laura Kluk-wak-Sobolewska** (AMuz Poznań), **Krzysztof Kuraskiewicz** (UMuz Warszawa), **Izabela Łapińska** (PWSFTviT Łódź), **Aleksandra Nawe** (AMuz Łódź), **Anetta Pasternak** (AMuz Katowice), **Olga Popowicz** (URz), **Krzysztof Sowiński** (AMuz Poznań), **Leszek Szarzyński** (UWM), **Ernest Zawada** (ATH Bielsko-Biała)

20 kwietnia 2022 Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda wręczył akty nominacyjne nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

NAUKI HUMANISTYCZNE: **Dorota Brzozowska** (UO), **Krzysztof Mech** (UJ), **Jacek Perlin** (UW)

NAUKI INŻYNIERYJNO-TECHNICZNE: **Tomasz Brylewski** (AGH), **Aleksander Byrski** (AGH), **Beata Katarzyna Grabowska** (AGH), **Mateusz Gyurkovich** (PK), **Maria Kaszyńska** (ZUT), **Andrzej Kozłyński** (AGH), **Jan Stanisław Kudelko** (PWr), **Jarosław Myśliwiec** (PWr), **Iwona Skoczko** (PB), **Mariusz Sojka** (UPP), **Andrzej Dariusz Tomporowski** (UTP Bydgoszcz), **Adam Wysocki** (UZ)

NAUKI MEDYCZNE I O ZDROWIU: **Grzegorz Marek Brożek** (SUM), **Wiesław Jerzy Cudała** (GUMed), **Marcin Andrzej Hellmann** (GUMed), **Lidia Renata Hirnle** (UMWr), **Dariusz Michał Iżycki** (UMP), **Grzegorz Kopeć** (UJ), **Robert Józef Król** (SUM), **Arkadiusz Przemysław Piotrowski** (GUMed), **Anna Tomaszuk-Kazberuk** (UMB), **Ewa Katarzyna Zuba-Surma** (UJ)

NAUKI ROLNICZE: **Andrzej Aleksander Kalisz** (URK), **Artur Jarosław Niedźwiedz** (UPWr), **Bożena Pawłowska** (URK), **Axel Peter Schwerk** (SGGW), **Iwona Żur** (IFR PAN Kraków)

NAUKI SPOŁECZNE: **Jan Klimek** (SGH), **Piotr Waław Krajewski** (UWM), **Dominika Latusek-Jurczak** (ALK Warszawa), **Maciej Dariusz Marszał** (UWr), **Maciej Tomasz Zastempowski** (UMK)

NAUKI ŚCISŁE I PRZYRODNICZE: **Paweł Bednarek** (IChB PAN Poznań), **Katarzyna Ada Błachowiak-Samołyk** (IO PAN Sopot), **Piotr Cyganik** (UJ), **Jerzy Andrzej Kwela** (UG), **Jacek Andrzej Niemiec** (IFJ PAN Kraków), **Ewa Anna Obłąk** (UWr), **Joanna Skórko-Głonek** (UG), **Jakub Mateusz Włodarczyk** (IBD PAN Warszawa)

SZTUKA: **Agata Zofia Kobierska** (AMuz Katowice), **Waldemar Józef Sutryk** (UŚ)

Współczesna refleksja nad romantyzmem

Kilka syntetycznych uwag

W potocznym odbiorze upowszechnił się dość jednostronny obraz romantyzmu: mesjanistyczno-tyrtejski, wsparty wszakże na głównym nurcie badań arcydzieł akcentujących postrzeganie romantyzmu jako epoki wolnościowych aspiracji, którym literatura nie tylko dawała wyraz, lecz także skutecznie kreśliła pożądane wzory postępowania.

Romantyzm przez dziesięciolecia był najważniejszym punktem odniesienia kultury polskiej. Nie tylko jako inspirujące przesłania wyprowadzane z dzieł wieszczów (przez Sienkiewicza, Żeromskiego, Wyspiańskiego po klasyków nowoczesności), lecz także jako wspólnota obrazowo-symboliczna, w której kolejne pokolenia mogły rozpoznawać swoje aspiracje patriotyczno-wolnościowe. Owa wspólnota wyobrażeń i znaczeń ułożyła się w zwarty kod romantyczno-symboliczny, budowany wokół pojęć tyrtejskich i mesjanistycznych. Wezwania do walki o wolność łączyły się z uzasadnianiem cierpienia, wyprowadzanym z chrześcijańskiej idei ofiary zapowiadającej przyszły porządek zmartwychwstania (z narodowego niebytu do wolnej ojczyzny). W krótkim wstępie staram się zawrzeć kluczowy – jak sądzę – sposób postrzegania romantyzmu w kulturze polskiej do lat 90. XX wieku jako tradycji i jako przedmiotu badań. Mając świadomość konieczności uproszczenia skomplikowanej wewnętrznie problematyki, powiem krótko, że czytano oraz interpretowano w badaniach naukowych romantyzm wieszczów jako szczególny duchowy testament, a romantyzm tyrtejski jako scenariusz stylu zachowań w walce o wolność. Stąd też, poza nielicznymi wyjątkami, w potocznym odbiorze upowszechnił się dość jednostronny obraz romantyzmu: mesjanistyczno-tyrtejski, wsparty wszakże na głównym nurcie badań arcydzieł akcentujących postrzeganie romantyzmu jako epoki wolnościowych aspiracji, którym literatura nie tylko dawała wyraz, lecz także skutecznie kreśliła pożądane wzory postępowania. Oczywiście po monumentalizacji wizerunku wieszczów w pierwszej połowie XX wieku (znacznej wielkimi monografiami Krasińskiego, Słowackiego, Mickiewicza autorstwa Juliusza Kleinera czy pracami mickiewiczowskimi Stanisława Pigionia) w drugim półwieczu stulecia przyszedł czas na problematykę o innym charakterze, jak np. intensyfikacja badań nad Słowackim mistycyzmem

(środowisko IBL PAN), pogłębione prace analityczne nad liryką romantyczną, zwłaszcza Mickiewicza i Słowackiego oraz Norwida (środowisko KUL i UAM). Niemniej na początku lat 90. XX wieku Maria Janion ogłosiła wielce wpływową, jak się okazało, serię szkiców, w których postulowała konieczność zmiany paradygmatu romantycznego wspartego na kanonie tyrtejsko-mesjanistycznym, na romantyzm egzystencji, z jego wewnętrznymi komplikacjami, w tym ironiczną i tragiczną optyką opisu człowieka. Ów „nowo odkrywany” romantyzm miał być „innym” romantyzmem, odpowiadającym czasom, w których postulaty wolnościowe wraz z kodami tyrtejskimi miały okazać się przebrzmiałe. Zarazem ów „inny” romantyzm miał wejść w dialog z kulturą postmodernistycznego zakwestionowania dotychczasowych reguł, stylów i hierarchii.

Wielokrotnie komentowane (także polemicznie) stanowisko Janion niewątpliwie zaważyło na dominującej w ostatnim trzydziestoleciu tendencji badawczej – prywatyzacji romantyzmu. Szczególnie mocno, programowo wybrzmiewało to hasło w kolejnych publikacjach w latach 90.: jak w pokonferencyjnych tomach *Nasze pojedynki o romantyzm*, *Tajemnice Mickiewicza*, *Słowacki współczesny*, w mickiewiczowskim cyklu Jarosława Marka Rymkiewicza, w monografii *Dziadów* Ryszarda Przybylskiego czy pracach Marii Janion i Marii Żmigrodzkiej, które złożyły się na tom *Romantyzm i egzystencja* (będący swoistą kontynuacją i dopełnieniem wcześniejszej publikacji autorek pt. *Romantyzm i historia*). W kolejnych książkach Marii Janion odsłaniany był ów egzystencjalny rys romantyzmu, także obecny w utworach poromantycznych, podejmujących dialogi z dziedzictwem epoki wieszczów; można tu wymienić przykładowo takie prace jak: *Projekt krytyki fantazmatycznej*, *Kobiety i duch inności*, *Żyjąc tracimy życie*, *Niesamowita Słowiańszczyzna*.

Rewaloryzacja zapomnianego wieszca

Warto zwrócić uwagę, że jakkolwiek dominował i nadal dominuje w badaniach literackich ów aspekt prywatyzacji romantyzmu, to w ostatnich dziesięcioleciach wrócono także do tematów zaniedbanych, między innymi związanych z religijnym oraz politycznym wymiarem dziedzictwa romantycznego. Z jednej więc strony pogłębiało badania nad skomplikowaną religijnością twórców, jak Mickiewicz (przykładowo wymienić można prace Krzysztofa Rutkowskiego, łączącego narrację eseistyczną i literacką z dociekaniem naukowymi, czego efektem były takie książki jak: *Zabijanie Mickiewicza w Kole Sprawy Bożej, Stos dla Adama* czy wydana niedawno summa problematyki w książce *Bóg Adama*), Słowacki (np. w *Rozhukanim koniu* Ryszarda Przybylskiego), w nowatorski sposób zwrócono uwagę na fenomen towiańczyków i towianizmu (w pracach Aliny Witkowskiej, Doroty Siwickiej, Danuty Sosnowskiej i Rutkowskiego). Z drugiej strony dokonał się proces rewoloryzacji zapomnianego wieszca (zapomnianego z uwagi na cenzuralne zapisy w PRL na część jego twórczości, zwłaszcza dotyczącej Rosji), jakim był Krasiński. Pojawiły się pierwsze od dekad całościowe propozycje interpretacyjne, zawarte w książkach Andrzeja Waśki (*Zygmunt Krasiński. Oblicza poety*), Jerzego Fiecki (*Rosja Krasińskiego; Krasiński przeciw Mickiewiczowi*), Arkadiusza Bałajewskiego (*Poezja „trzeciej epoki”*), odpominające światopoglądowy, polityczny, religijny wymiar dzieła autora *Przedświt*. Zarazem ostatnie dekady to ważne wydania edytorskie dotyczące Krasińskiego. W latach 90. została domknięta edycja zachowanych listów poety (warto wskazać, że w większości w opracowaniu jednego uczonego, Zbigniewa Sudolskiego), która ujawniła nie tylko wybitny intelektualnie wymiar refleksji zapisywanej na tysiącach stron korespondencji z różnymi adresatami, ale także potwierdziła potencjał romantyzmu egzystencji zapisany w epistolografii (co wpłynęło także na ujęcia badawcze, np. w książce Anny Kubale *Dramat bólu istnienia w listach Zygmunta Krasińskiego*). Najważniejszym wszakże wydarzeniem edytorskim było opublikowanie w 8 tomach (12 woluminach) edycji całościowej – pod red. Mirosława Strzyżewskiego – Z. Krasiński, *Dzieła zebrane. Nowe wydanie*, Toruń 2017. Edycja ta nie tylko zastąpiła trudno dostępne wydanie Jana Czubka z roku 1912, lecz pokazała także szeroki obraz twórczości autora *Irydiona*: jako pisarza egzystencji (w utworach genewskich), autora francuskojęzycznego, pisarza prowadzącego różnego rodzaju eksperymenty estetyczne (3 tomy prozy poetyckiej), gatunkowe (powieść), filozoficzne i światopoglądowe (2 tomy *Pism dyskursywnych*).

Obecnie kontynuowana jest staranna edycja naukowa *Dzieł wszystkich* Cypriana Norwida (mająca w zamierzeniu zastąpić wydanie Gomulickiego), realizowana w środowisku KUL-owskim (redaktorem naczelnym jest Stefan Sawicki). Z całości planowanej na 17 tomów dotąd ukazało się 8 (poematy, dramaty, proza i listy). Jesteśmy więc w połowie ambitnej naukowej edycji. Nieco wcześniej, w latach 1993-2005, ukazały się *Dzieła. Wydanie Rocznikowe* Adama Mickiewicza w 17 tomach, grupujących całość dorobku wieszca w opracowaniu naukowo-krytycznym najlepszych znawców; jako dopełnienie tej edycji niedawno ukazały się w 5 tomach *Listy do Adama Mickiewicza*, pod red. Marii Prussak. Na tym tle „nieobecny” wydaje się Słowacki, którego twórczość została co prawda wydana w edycji krytycznej (pod red. Juliusza Kleinera i Władysława Floryana 1952-1976), lecz jest ona w dużej części już przestarzała (nowych ustaleń edytorskich, często idących wbrew dotychczasowym lekcjom, domaga się zwłaszcza twórczość mistyczna). Niemniej można i w odniesieniu do Słowackiego dostrzec nowe ustalenia edytorskie w wydaniach Jacka Brzozowskiego i Zbigniewa Przychodniaka: *Wiersze. Nowe wydanie krytyczne* (2005), *Poematy*

(2009), Beniowski (2014). Intrygującą edycję *Samuela Zborowskiego* jako nowej konstelacji tekstowej, odchodząc od wcześniejszych arbitralnych decyzji edytorskich, przedstawił Marek Troszyński w wydaniu *Alchemia rękopisu. „Samuel Zborowski” Juliusza Słowackiego* (2017); ten sam autor w książce *Słowacki. Poza kanonem* (2013) szerzej nakreślił nową koncepcję wydawania późnych dzieł autora *Króla-Ducha* jako hipertekstów, czyli „gniazd tekstów połączonych wzajemnymi odnośnikami”, co m.in. pozwoliłoby odejść od tekstów ustalonych przez wydawców, których Słowacki w takiej postaci nie napisał. Prawdziwym wydarzeniem edytorskim było odnalezienie po 70 latach w Moskwie autografu *Raptularza wschodniego* Słowackiego. Relacja poety z podróży do Ziemi Świętej została starannie wydana w r. 2019 – oprócz podobizny autografu, transliteracji z komentarzem edytorskim zgromadzono w publikacji studia i interpretacje tego dzieła, będącego szczególną formą zapisu intymistycznego z podróży romantycznej.

Przełamać stereotypowy wizerunek epoki

Skoro mowa o najnowszych wydaniach pism wieszczów, warto wskazać, ograniczając się do XXI wieku, że doszło do szeregu inicjatyw wydawniczych, które skutecznie mogą przełamać, właśnie dzięki dostępności tekstów, stereotypowy wizerunek epoki, budowany na grupie tekstów kanonicznych. Okazuje się, że dzieła zapoznane poszerzają znacząco wizerunek epoki. Wspomnę o wydaniach popularnonaukowych w serii Universitas „Klasyka mniej znana” z początku stulecia: przypomniano tu niewznawiane od lat utwory pisarzy niegdyś ważnych i poczytnych, jak Ignacy Chodźko, Michał Czajkowski, Tomasz August Olizarowski, Józef Dzierzkowski, Zygmunt Kaczkowski, Władysław Syrokomla i inni. Warto zwrócić uwagę na białostocką serię „Czarny Romantyzm”, ukazującą się od lat 90. minionego stulecia, która w ostatnich latach podlega znamienitemu przeformułowaniu. Wcześniej ukazywały się tu – opatrywane instruktywnymi wstępami – reedycje utworów „czarnego romantyzmu”, czyli dzieła wyobraźni frenetycznej, eksponujące symbolikę lucyferyczną, często w ścisłym związku z doświadczeniem śmierci, samobójstwa (*Zamek kaniowski* Goszczyńskiego, *Maria* Malczewskiego, *Agaj-Han* Krasińskiego, niewznawiane od XIX wieku: *Lesław* Zmorzkiego czy *Edmund* Witwickiego). Edycjom tekstów towarzyszyły w ramach serii tomy zbiorowe, budujące nowy wizerunek romantyzmu jako formacji i estetyki pytań granicznych, transgresyjnych. Można wymienić przykładowo: *Noc. Symbol – Temat – Metafora* (2011-2012) czy *Nihilizm i historia* (2009). W ostatnich latach opublikowano, po stu z górą latach, nieznaną szerzej pisma romantyków, których można nazwać pisarzami pogranicza kulturowego: Zenona Fisza *Opowiadania i krajobrazy. Szkice z wędrówek po Ukrainie*, wyklętego (gdyż wybrał karierę pisarza rosyjskiego) Józefa Sękowskiego jako autora *Fantastycznych podróży barona Brambeusa*, polsko-białoruskiego Jana Barszczewskiego (*Szlachcic Zawalmia*), piszącego w językach polskim i ukraińskim Paulina Świącickiego (*Opowieści stepowe*). Jeśli do tej listy dodamy przypomnienia m.in. dzieł pisarzy „szkoły ukraińskiej” w krakowskiej serii „Biblioteka Sarmacka” (Michała Grabowskiego pisma krytyczne oraz *Stanica hulajpolska*, Michała Czajkowskiego *Wernyhora*, a także m.in. Henryka Rzewuskiego *Nie-bajki*), to zauważymy, że możliwa stała się jeszcze inna historia literatury romantyzmu – zawarta np. w książce Iwony Węgrzyn *Wyczerpana tradycja* (2021) – w tym ujęciu wielojęzycznego pogranicza kulturowego jako starcia rozbieżnych racji narodowości zamieszkujących tereny dawnej Rzeczypospolitej. Utwory pisane w językach polskim, ukraińskim, białoruskim łączy eksploracja fantastyczności, ludowości, ale przedstawiane są odmienne stanowiska

emancypujących się literatur słowiańskich w opozycji do stanowiska polskich pisarzy kresowych, zwłaszcza konserwatywistów (jak Rzewuski). Zarazem utwory te mogą stać się wraz z innymi, słabo dotąd rozpoznanymi badawczo, podwaliną pod nową konstrukcję romantyzmu już nie polonocentrycznego, lecz otwartego na inne głosy emancypujących się kultur narodowości żyjących na terenach przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Ten głos nie był dotąd słyszalny, gdyż został usunięty na margines kultury polskiej, która konsolidowała się w czasach zaborów wokół tematów wolnościowo-patriotycznych sprawy polskiej. Jeśli już mowa o tematach słabo dotąd obecnych, to warto też wspomnieć – na innym biegunie rozpoznania interpretacyjnych romantyzmu – o odzyskiwaniu pisarzy konserwatywnych, takich jak Krasiński czy Rzewuski (książka Tomasa Kłuska poświęcona tym pisarzom).

Z nowych prac o charakterze edytorskim na uwagę zasługuje ciekawie pomyślana seria „Nowa Biblioteka Romantyczna” (pod red. Marty Zielińskiej, ukazująca się w l. 2015-2021). Nazwa przedsięwzięcia nawiązuje do serii pod red. Marii Janion „Biblioteka Romantyczna”, wydawanej w latach 70. i 80. XX wieku. W tamtej serii szczególnie miejsce znalazły teksty roman-

tyczne, np. tworzące kanon patriotyczny w słynnej antologii *Reduta. Romantyczna poezja niepodległościowa*, choć przyglądano się także m.in. tematowi słowiańskiemu, ogrodom romantyków, szaleństwu, miłości romantycznej, Sybirowi romantyków, podróży Słowackiego na Wschód. Ale romantyzm poznawany był w optyce tekstów, tych znanych i słabiej obecnych w refleksji historycznoliterackiej. Wszakże wszystkie teksty tworzyły uniwersum polskiego romantyzmu (także w kontekście romantyzmów europejskich). W „Nowej Bibliotece Romantycznej” epoka – w dobranych do antologii tekstach niekoniecznie już literackich – „ogląda” siebie w zwyczajnym życiu, w kulturze codzienności. Jak czytamy na skrzydełku każdego z tomów serii, autorów tomów tematycznych interesują przemiany związane z „przejściem od dawnej kultury szlacheckiej” do „nadchodzącej cywilizacji industrialnej”, poprzez prezentację źródeł, co pozwoli oglądać tym razem kulturę romantyczną „od dołu”, od szczegółów, miąższu epoki. W ten sposób zostały ukazane takie aspekty romantycznego życia, jak: pogoda i jej wpływ na ludzi, moda, magnetyzm, edukacja dziewcząt, medycyna, wynalazki techniczne, rozrywki, mapy, katastrofy, rozwój prasy jako znak nowych czasów, zwierzęta. Ten romantyczny misz-masz oddaje

ów pozaoficjalny, codzienny wizerunek epoki, odzyskiwany dziś także w perspektywie zainteresowań literaturą romantycznego dokumentu osobistego, jak listy, dzienniki, pamiętniki, relacje z podróży (te aspekty romantycznego piśmiennictwa znalazły się na warsztatach badawczych, owocując ciekawymi pracami, jak np. Aliny Witkowskiej *Cześć i skandale – o życiu codziennym Wielkiej Emigracji* czy Olgi Płaszczewskiej *Wizja Włoch w polskiej i francuskiej literaturze okresu romantyzmu 1800-1850*).

Różne spojrzenia i szkoły badawcze

Znajdujące oparcie w nowszych ustaleniach filologicznych badania nad romantyzmem rozwijają się w wielu kierunkach. Można byłoby zwrócić uwagę na najbardziej ekspansywne, wsparte na nowych metodologiach, co przekłada się nie tylko na nowe spojrzenia na dzieła romantyczne, lecz powoli buduje zręby pod nowe widzenie epoki.

Szczególnym miejscem spotkania różnych spojrzeń interpretacyjnych, praktyk i szkół badawczych jest seria wydawnicza „Studia Romantyczne”, powołana w 2017 roku pod red. naukową Michała Kuziaka. W ramach serii, a także



Fot. Sławomir Mielki

w pracach publikowanych wcześniej poza nią, daje się zauważyć zainteresowanie kilkoma kręgami problemowymi czytania romantyzmu. To: studia nad podmiotowością, studia postkolonialne, nowe ujęcia historyzmu, gender, komparatystyka, z ujęć dawniejszych dobrze ma się krytyka wyobraźni (np. w pracach Jarosława Ławskiego). Niektóre z tych ujęć postaram się krótko przedstawić.

Studia nad podmiotowością romantyczną wyklarowały się chyba najwcześniej spośród nowszych ujęć, a miało to związek z wpływową propozycją Agaty Bielik-Robson z przełomu stuleci, która proponowała w nowy sposób zdefiniować nowoczesność, poszerzając ją o konteksty romantycznej ekspresji podmiotu. Nie wchodząc szerzej w rozległą problematykę, chciałbym zwrócić uwagę na postulat powrotu do „czującej duszy” romantycznej, czyli podmiotu słabego, rozproszonego, przeciwnego dotąd akcentowanej mocnej, uprzedniej wobec rzeczywistości koncepcji podmiotu romantycznego, zjednoczonego ze światem ideologiami: patriotyczną czy nacjonalistyczną. Romantyzm prze-pisywany to romantyzm słabej podmiotowości, za każdym razem szukającej swego indywidualnego potwierdzenia. Jak zwracał uwagę w jednym ze studiów składających się na ważną książkę *Inny Mickiewicz* Michał Kuziak, w dziele Mickiewicza (co oczywiście można przenieść także na innych twórców) nazbyt szeroko ukazane jest doświadczenie słabości, by można było przejść obok nieusuwalnej ambiwalencji. Nawet w tych dziełach, w których w tradycji interpretacyjnej widziano moc, są liczne przejawy zaniku, rozproszenia, melancholii, kontemplacji śmierci. Człowiek okazuje się bytem przygodnym, tracącym mocny związek z Bogiem, naturą, językiem, oddanym władzy jednostkowości i znajdującym pole działania jedynie w historii, która mogłaby stać się „nową mitologią”. To istota projektu romantycznej nowoczesności, w której spotykają się owe rozbieżne porządki. Jak czytamy w pracy *Romantyzm i nowoczesność*, pod red. M. Kuziaka (2009), polski romantyzm „kształtuje się bowiem jako splot tendencji modernizacyjnych i zarazem radykalnej krytyki modernizacji, apologii tradycji”. Jak można sądzić, przyjęcie takiego założenia pozwala z jednej strony uciec przed radykalną i nieuprawnioną, ahistoryczną modernizacją romantyzmu. Z drugiej strony daje szansę opisu tendencji romantycznych w ich spleśnieniu, niekoherencji, ambiwalencji jako niezbywalnym składniku światopoglądów, indywidualnych projektów i estetyk. Można więc dostrzec – co podkreśla np. w swoich komparatystycznie zorientowanych studiach Magdalena Siwiec (*Romantyzm, czyli inter esse*, 2017; studia o Mickiewiczu i Hugo, Krasińskim i Novalisie) – romantyzm jako rewizję mocnego podmiotu, ukazując te miejsca, w których ujawniają się pęknięcia, szczeliny, będące kryzysową reakcją na uprzedni projekt podmiotu mocnego. Indywidualizm, który sam siebie ogląda w sytuacjach kryzysów, zwątpień – to niewątpliwie argument na rzecz tezy o romantycznej nowoczesności jako sytuacji nam bliższej, niż przedstawiała to klasyczne prace o epoce, a za nimi tradycyjnie składniona edukacja szkolna. Mocne akcentowanie spójnych narracji patriotyczno-narodowościowych okazuje się historycznoliteracką konstrukcją, którą poddaje się relekturze, ujawniającej równoległe procesy budowania i podważania „mocnych” dyskursów.

Tę obserwację, jako uogólnienie, można przenieść na płaszczyznę opisu pewnej całości, jaką jest współczesna refleksja badawcza nad romantyzmem. Dobrze to widać w badaniach postkolonialnych (studia Dariusza Skórczewskiego o romantyzmie z książki *Teoria – literatura – dyskurs*, dwutomowa publikacja zbiorowa *Romantyzm środkowoeuropejski w kontekście postkolonialnym*, pod red. M. Kuziaka i in.), w których dokonano adaptacji narzędzi wypracowanych w innych kontekstach kulturowych, opisując spotkanie „skolonizowanego kolonizatora”

zapisywane w dziełach wieszczów i twórców romantyzmu kresowego. Płynność i niejednoznaczność dyskursów, niepewne tożsamości i wybory narodowościowe, kompensacyjne narodowe mitologie – były one przyporządkowane nadrzędemu dyskursowi wolnościowemu, ale okazywały się nie tak jednoznaczne, jak do tej pory je ujmowano (np. subwersywny projekt Mickiewicza ukazującego konieczność przewyższenia dyskursywnej władzy Zachodu czy hybrydyczne ujęcie postaci o niepewnej tożsamości przez Słowackiego w Śnie srebrnym Salomei).

Te problemy badawcze, jak skrótowo je kreślę, znajdują swoje uzasadnienie w szerszym myśleniu o romantyzmie, takim, w którym konfrontowane są w kontekstualnym przedstawieniu różne porządki, także spoza lokalnych kultur. Pozwala to nie tylko przewyższyć nie zawsze uzasadniony polonocentryzm spojrzenia na romantyzm, otwierając inne perspektywy, niebędące przecież konfrontacyjnymi. Pozwala dostrzec w innym zakresie to, co wspólne, i to, co odróżnia polski romantyzm od romantyzmów europejskich. Coraz szerzej obecna problematyka komparatystyczna umożliwia owo inne spojrzenie na nasze dziedzictwo romantyczne. W ten sposób wpisywana jest polska tradycja w europejski wymiar, ale co ważniejsze – otwierane są niedostrzegane dotąd aspekty przepływów idei, estetyk, spojrzeń, budujące przestrzeń nie naśladownictwa, lecz aktywnego, twórczego pisania „o tym samym” – „nie tak samo”. Kolejne prace wspomnianej już Magdaleny Siwiec (*Sytuacja Norwida – sytuacja Baudelaire’a. Paralele nowoczesności*, 2021; warto wspomnieć o wcześniejszym ujęciu Norwida w kontekście anglosaskiego modernizmu w pracy Arenta van Nieukerken *Ironiczny konceptyzm czy Piotra Śniedziewskiego w książce Mallarmé – Norwid. Milczenie i poetycki modernizm w Polsce i we Francji*, 2008), Piotra Śniedziewskiego (oprócz wspomnianej: *Melancholijne spojrzenie*, 2011, *Czarne słońca romantyków*, 2018), Marii Cieśli-Korytowskiej (synteza podręcznikowa *Pre-romantyzm i Romantyzm europejski*, 2021), Olgi Płaszczewskiej, Marka Bieńczyka (prace o melancholii romantycznej), Magdaleny Bizior-Dombrowskiej (*Romantyczna nuda*, 2016) i wiele innych, zdają się potwierdzać tezę o innym niż dotąd postrzeganiu romantyzmu polskiego wśród romantyzmów europejskich jako dialogu, nawiązaniu i przetworzeniu.

Osobnym wątkiem badawczym są ujęcia romantyzmu po romantyzmie, czyli wieloznaczna recepcja idei i estetyk w nowoczesności i ponowoczesności; przedmiotem oglądu są nawiązania romantyczne w twórczości poszczególnych pisarzy (jak np. u Miłosza w książce Elżbiety Kiślak czy recepcja Norwida w poezji współczesnej w książce Anity Jarzyny), jak również w ramach nurtów, pokoleń (odżywający spór szyderców z dziedzictwem) czy sięgania po klisze, jak w przypadku romantyzmu smoleńskiego, nawiązującego do idei mesjanistycznych (te zjawiska zostały opisane m.in. w książkach Magdaleny Rabizob-Birek *Romantycy i nowocześni*, 2013 i Arkadiusza Bałajewskiego *Obecność romantyzmu*, 2015).

Przedstawiany wywód, z założenia mający charakter syntetycznego przybliżenia problematyki dla czytelnika spoza kręgu badawczego, miał za zadanie ukazać mapę współczesnego zapisywania romantyzmu w relekturze opartej na nowych metodologiach i nowych problematykach, często wcześniej niedostrzeganych bądź omijanych. W ten sposób dyskurs romantologiczny okazuje się odzwierciedleniem współczesnej potrzeby zadawania innych pytań i szukania innych odpowiedzi, tak by romantyzm nie był anachronicznym dziedzictwem, lecz żywą, inspirującą płaszczyznę spotkania współczesności z dziedzictwem kulturowym.

Prof. dr hab. Arkadiusz Bałajewski, literaturoznawca, kierownik Katedry Historii Literatury Polskiej UMCS w Lublinie

Rozum romantyczny i gorączka pozytywistyczna

Antyromantyczne pamflety sprzed 50 lat

Spory prasowe lat siedemdziesiątych, odczytywane dzisiaj, mogą razić hasłowością i powierzchownością ujęcia problematyki. Kiedy jednak odczytywać te wystąpienia z uwzględnieniem ówczesnego kontekstu społeczno-politycznego, traktować je jako próby rozeznania *hic et nunc*, zaczynają nabierać właściwego znaczenia. Posłużenie się dylematem: romantyzm czy pozytywizm zwiększało niepomierne możliwości uniknięcia ograniczeń cenzorskich.

Point de rêveries, messieurs! – powiedział Aleksander II do delegatów polskiej szlachty, którzy spotkali się z carem w Warszawie w maju 1856 roku. Słowa te przypomniał Tomasz Burek w szkicu *Humanistyka ze współczesnym adresem*, który ukazał się w styczniowym numerze „Twórczości” z 1975 roku. Niemal 120 lat dzieli żądanie rosyjskiego imperatora, aby Polacy wyzbyli się marzeń o odzyskaniu niepodległości, od przypomnienia owych złowieszczych słów przez polskiego humanistę. Warto pamiętać, że kilkanaście lat później Burek wyda zbiór szkiców pod znaczącym tytułem *Żadnych marzeń*. Tekst w „Twórczości” był entuzjastycznym omówieniem trzech książek Marii Janion: *Romantyzm. Studia o ideach i stylu* (1969), *Romantyzm, rewolucja, marksizm* (1972) oraz *Humanistyka: poznanie i terapia* (1974). Prace te określił Burek jako buntownicze, emancypatorskie, wymierzone w cyników, koniunkturalistów, owe „gnidy” z późniejszego *Traktatu...* Piotra Wierzbickiego.

W latach siedemdziesiątych XX wieku miało miejsce kilka dyskusji o romantyzmie. Maria Janion uczestniczyła w nich, zdecydowanie broniąc romantyzmu i sprzeciwiając się fałszywym opiniom różnych „racjonalistów” i „pozytywistów”. Według Janion i Burka cnota buntowniczości jest czymś najwartościowszym. W jednym z przypisów do artykułu w „Twórczości” Burek odniósł się do wspomnianych polemik: „Tej wielkiej cnoty romantyzmu zdają się zupełnie nie rozumieć i nie doceniać ostatni w naszej publicystyce polemicy antyromantycy, J. Krasuski i S. Bratkowski: piszą oni o romantyzmie rzeczy przeosobliwe jak na podobno nowoczesny wiek XX-ty, który chcą reprezentować, a myśl ich, nie tknięta przecuciem własnej komicznej zarozumiałości, czerpanej z wiary w Faktyczny Porządek Świata, biegnie takimi torami, jakby wydarzenia romantyzmu wcale jeszcze nie było, jak gdyby romantyzm ze wszystkimi konsekwencjami filozoficznymi swego fermentu nie istniał w europejskiej kulturze umysłowej, jak gdyby

nadal trwały na swych wczesnomieszczańskich postumentach fetysze Rozsądku i Utylitaryzmu, nie poruszone przez romantyczną rewolucję światopoglądową i nie zmiecione przez krytyczną dialektykę *Kapitału*”.

Paradoksem jest powoływanie się przez Burka na *Kapitał*, bo przecież nazwisko Karola Marksa było bezustannie odmieniane przez wszystkie przypadki w niezliczonej ilości publikacji realizujących ideologię partii komunistycznej. Jest to jednak okres wyzwalań się wielu intelektualistów o proweniencji lewicowej ze złudzeń żywnych wobec marksizmu. Paradoks polegał na tym, że na Marksa powoływali się przedstawiciele policyjnego w istocie reżimu komunistycznego, jak i – przynajmniej początkowo – jego przeciwnicy.

Jak wiadomo, Aleksander II uchodził u nas przez jakiś czas za liberała. Podobnie było z Edwardem Gierkiem. Byłoby Gierkiem Aleksandrem II epoki PRL-u? Poniękąd, bo jeden i drugi zawiedli pokładane w nich nadzieje. Aleksander II oznajmił: „żadnych mrzonek”, a gierkowska „odwilż” nie trwała długo. Narastającym trudnościom gospodarczym towarzyszyły represje w dziedzinie kultury. Znamienny jest tu przypadek tygodnika „Literatura”. Pismem w rzeczywistości kierował Gustaw Gottesman, który formalnie był tylko zastępcą Jerzego Putramenta, redaktora naczelnego. „Literatura” stanowiła próbę wskrzeszenia „Przeglądu Kulturalnego” zamkniętego przez władzę w 1963 roku. Jerzy Adamski mówił: „Pismo nie podobalo się. Chciało być partnerem, nie wykonawcą”. 17 kwietnia 1975 roku ukazał się ostatni numer „Literatury”, w którym Gotesman figurował w stopce redakcyjnej jako zastępca Putramenta. Już w następnym numerze nie podano składu redakcji. W tomie *Czerwiec* ze wspomnieniowego cyklu *Pół wieku* Putramenta lekceważył tę czystkę w tygodniku. Winę zrzucił na cechy charakteru Gotesmana i pieniactwo Bogdana Gotowskiego. „Literaturę” spotkał los podobny jak wcześniej „Prze-

gład kulturalny”. Gierek przestał udawać liberała. Przypadek warszawskiego tygodnika literackiego został tu przywołany nie jako najważniejszy, ale symptomatyczny.

Grzechy romantyzmu i przesady racjonalisty

Uwzględniając powyższy kontekst, łatwiej zrozumieć i odczytać sens ówczesnych polemik prasowych dotyczących romantyzmu. Tylko w niewielkim stopniu, o ile w ogóle, wносиły one cokolwiek nowego do wiedzy historycznoliterackiej bądź historycznej. Nie taki był ich cel. Odczytywane dzisiaj, mogą razić hasłowością i powierzchownością ujęcia problematyki. Kiedy jednak odczytywać te wystąpienia z uwzględnieniem ówczesnego kontekstu społeczno-politycznego, traktować je jako próby rozeznania hic et nunc, zaczynają nabierać właściwego znaczenia. Posłużenie się dylematem: romantyzm czy pozytywizm, zwiększało niepomierne możliwości uniknięcia ograniczeń cenzorskich. Spory o romantyzm były de facto sporami o realia Polski gierkowskiej.

Nawet pobieżna lektura eseju *Wielkie grzechy Romantyzmu* Jerzego Krasuskiego, który został opublikowany w 20 numerze tygodnika „Kultura” z 1974, pozwala dostrzec jego bieżącą wymowę. Artykuł został przedrukowany dwa lata później w tomie *W poszukiwaniu sensu dziejów* pod zmienionym tytułem *Socjologiczne podłoże Romantyzmu* (zapisy epok kulturalnych dużą literą konsekwentnie stosowany przez J. Krasuskiego). Autor zachwyca się kulturą oświecenia, która „stanowiła punkt szczytowy europejskiego uniwersalizmu”, z kolei romantyzm to prąd anty-oświeceniowy i antyuniwersalistyczny. W tekście pomieszano rozważania o charakterze historycznym z uwagami o bieżącym wydzwieku. Kończy on się spostrzeżeniem: „W XX wieku świat artystyczny oderwał się już nie tylko od mieszczaństwa, ale i od inteligencji, nastąpił dalszy etap dezintegracji nadbudowy. Powstało środowisko malarzy, którzy malują dla malarzy, muzyków, którzy komponują dla absolwentów konserwatorium, poetów śpiewających nie Muzom, lecz poetom (z tej samej grupy poetyckiej), krytyków literackich, których rozumie tylko ten, kto z nimi pija kawę. Ale ogólnie biorąc powtarza się od 150 lat ten sam argument: że nie rozumie ich mieszczych, nie rozumie nawet inteligent z dyplomem uniwersyteckim, ale rozumie ich »Lud«. Nieprawda. »Lud« ich nie rozumie z powodu treści i z powodu formy. Toteż Mickiewicz uległ Towiańskiemu, André Malraux szukał »Ducha« wśród rewolucjonistów chińskich i anarchistów hiszpańskich, aż został ministrem Generała – Wielkiego Konserwatysty. Od czasów Romantyzmu literatura i sztuka pozornie krytykują określone formacje historyczne, w istocie zaś wyrażają zniechęcenie kondycją ludzką. Szukają pociechy na lewicy, ale są prawicowe. Skutecznie oddziałują tylko w jednym kierunku – niszczą Oświecenie i liberalizm. Nie wiem tylko, czy jest to skutkiem wrodzonej impotencji kulturotwórczej mieszczaństwa, czy przejawem zmierzchu kultury zachodnioeuropejskiej w sensie historiozoficznym?”

Esej Krasuskiego wywołał dyskusję, która miała miejsce w kilku najbliższych numerach „Kultury”. Wypowiadali się w niej: Maria Janion, Aleksander Bocheński, Andrzej Walicki, Bohdan Urbankowski, Mieczysław Inglot, Gerard Koziłek, Anna Tatariewicz. Sam Krasuski odpowiedział polemistom tekstem *Wierzę szkiełku i oku*, w którym podtrzymał swoje stanowisko, a nawet wzmocnił wypowiedziane tezy.

Maria Janion polemizowała z Jerzym Krasuskim w tekście pt. *Wielkie przesady racjonalisty* w 22 numerze „Kultury” z 1974. Sześć lat później przedrukowała tę wypowiedź w zbiorze *Odnowienie znaczeń*. Artykuł Krasuskiego odczytała jako „pamflet na romantyzm, przede wszystkim – romantyzm polski”. Autor prowokacji do dyskusji idzie śladem György’ego Lukácsa, który

zwalczał romantyzm i irracjonalizm niemiecki. Janion przypomina kontrowersyjną publikację Lukácsa *Die Zerstörung der Vernunft. Der Weg des Irrationalismus von Schelling zu Hitler* (*Zniszczenie rozumu. Droga irracjonalizmu od Schellinga do Hitlera*). Krasuski miał przejąć od Lukácsa zestaw zarzutów, aby w niesprawiedliwy sposób je „przetransponować na grunt romantyzmu polskiego”. Janion nazywa Krasuskiego dogmatycznym racjonalistą i twierdzi, że tylko z takiego punktu widzenia można zarzucać romantyzmowi antyracjonalizm.

Romantyzm to, zdaniem Janion, prąd uniwersalistyczny i buntowniczy, a nawet rewolucyjny. Nie wnikając w szczególności, należy pamiętać, że właśnie Maria Janion była autorką głośniejszą w swoim czasie pracy *Światopogląd polskiego romantyzmu*. Praca ta została później włączona do zbioru *Proces historyczny w literaturze i sztuce* z 1967 roku. W zaproponowanej przez autorkę koncepcji romantycznego paradygmatu znalazło się miejsce zarówno dla tendencji progresywnych, jak też konserwatywnych. W paradygmacie tym nie mieścił się Zygmunt Krasiński z czasu po 1840 roku, tzn. po *Przedświcie* i *Psalmach przyszłości*. Podobnie też miejsca zabrakło dla Henryka Rzewuskiego i koterii petersburskiej, z którą autor *Mieszanin obyczajowych* był związany. Jednym z najważniejszych czynników, które przyczyniły się do usunięcia owych pisarzy, miało być ich wątplenie w sens narodowyzwoleńczych powstań. Równie istotne znaczenie miała gloryfikacja przez Krasińskiego i Rzewuskiego minionego porządku społecznego oraz negacja kategorii postępu. Zważywszy na to, trudno nie zauważyć, że ocena romantyzmu musiała być tak bardzo różna u Janion i Krasuskiego.

W zakończeniu *Wielkich przesądów racjonalisty* można przeczytać: „To romantycy właśnie, tworząc swoją wizję narodów, głosili przekonanie o ich wielości i równości w jedności. Trudno uznać za przypadkowe przeoczenie faktu, że Krasuski prawie się nie wypowiada o twórczym znaczeniu romantyzmu dla dziewiętnastowiecznych ruchów niepodległościowych. A on był przecież ich promotorem, gdyż walkę o zachowanie własnej formuły narodu i kultury narodowej w rodzinie narodów europejskich uznał za jedno z najważniejszych swych dążeń. Romantyzm nie ukazany w blasku swych wielkich koncepcji niepodległości i walki o nią nie jest romantyzmem prawdziwym. Krasuski, urzeczony wizją klasycystycznej jedności Europy, podporządkowanej jakiemś racjonalistycznemu, ponadnarodowemu »uniwersalizmowi«, zintegrowanej, ułożonej w duchu »porządku« przeciwstawionego »krytyce«, a zwłaszcza krytyce uprawianej przez zrewoltowaną, elitarną inteligencję, nie może dostrzec wielkości romantyzmu, który siłą i rozumem, zajmującemu się uzasadnianiem tej siły, przeciwstawił wszędzie obecną i nigdy niezniszczalną potęgę dążenia do wolności”.

Rozprawa ze szkodliwym dziedzictwem

Debata dotycząca romantyzmu, która rozpoczęła się na wiosnę 1974 w warszawskiej „Kulturze”, w lipcu tego samego roku przeniosła się do „Polityki”. Sprawcą owych przenosin był Stefan Bratkowski, który w 28 numerze tygodnika wystąpił z antyromantycznym artykułem *Nie z samych wierszy*. Już Krasuski nie krył się z tym, że jego wystąpienie to nie tylko rozprawa z romantyzmem jako takim, ale ze szkodliwym dziedzictwem romantyzmu. Oczywiście ani Krasuski, ani Bratkowski nie mogli być dla Janion partnerami do dyskusji o romantyzmie jako epoce literackiej. Natomiast biorąc pod uwagę, że spór dotyczył w rzeczywistości tego, co sama Janion określiła mianem teorii i praktyki romantycznej antropologii, tego wszystkiego, co w jakiś sposób wciąż trwa i jest kontynuowane, wszyscy dyskutanci stawali się pełnoprawnymi uczestnikami dialogu. Zresztą dyskusja toczyła się nie w specjalistycznych

czasopismach, ale w wysokonakładowych tygodnikach dostępnych w kioskach w każdej miejscowości. Podsumowując swoją dyskusję z Krasuskim, Janion stwierdziła, że jej polemista zakwestionował romantyczną antropologię z punktu widzenia dogmatycznego racjonalizmu. Z kolei Stefan Bratkowski uczynił to jako wyznawca pozytywizmu.

Przypomniane tu polemiki nie są już dziś zbyt często wspomniane. Nawet jeśli tak, to mówiący ograniczają się do sięgnięcia po książkowe przedruki, a nie prasowe publikacje. Nie do końca jest to usprawiedliwione, ponieważ przedruki podlegały pewnym przeróbkom, a wyrwane z „tygodnikowego” kontek-

stu też prezentują się inaczej. Ważne są też daty pierwszych publikacji, czasopisma, w których teksty zostały ogłoszone, ów artykuł w piśmie pośród innych artykułów. Antyromantyczny pamflet Bratkowskiego zamieszczono na pierwszej stronie „Polityki” w sąsiedztwie reportażu Andrzeja Krzysztofa Wróblewskiego *Bużka, Odys i inni* z wiele znaczącym w tamtych realiach nadtytułem *Port Drugiej Polski*. Publikacjom Bratkowskiego i Wróblewskiego towarzyszy duże zdjęcie Grzegorza Laty, „króla strzelców” X Piłkarskich Mistrzostw Świata. Dwa tygodnie wcześniej, tj. w 26 numerze tygodnika, Bratkowski wypo-



Rys. Sławomir Makal

wiedział się obok prof. Władysława Markiewicza, Jerzego Piórkowskiego, Edwarda Redlińskiego, Krzysztofa Wojny w ankiecie *Widoki Polaków* (ogłoszona z okazji trzydziestolecia PRL). To, co tam powiedział, rozwinął i ubrał w kostium historyczny w artykule *Nie z samych wierszy*.

Ankietową wypowiedź Bratkowski kończy słowami: „Życzylbym nam wszystkim, by pisali kiedyś głównie o Staszicach, Jędrzejach Zamojskich i Druckich-Lubeckich ostatniej ćwierci XX wieku Polski socjalistycznej”. W późniejszym o dwa tygodnie artykule, podążając śladem Aleksandra Bocheńskiego z *Rzeczy o psychice narodu polskiego*, przyznaje romantynom pewne zasługi, ale poza tym poddaje ich druzgocącej krytyce. Czego tam nie ma? Mickiewicz był tchórzem, romantyzm w wielkiej mierze odpowiada za niechęć do systematycznej i uczciwej pracy, że to „martwa moda literacka”, że ci, którzy bronią romantyzmu kierują się uczuciami, że Szekspir był lepszy od wszystkich romantyków razem wziętych itd., itp.

Krasuski przeciwstawił romantyzm racjonalizmowi i uniwersalizmowi, Bratkowski myśleniu zdroworozsądkowemu i pozytywizmowi. Trudno polemizować z kimś, kto romantyzm postrzega jako rodzaj psychopatologii i rozumie jako niechęć do pracy i ochotę do bijatyk. Bić się i nie pracować – to romantyzm w ujęciu Bratkowskiego. Wprawdzie zastrzega, że bywali romantycy, którzy później chcieli i potrafili dobrze pracować. Redakcja „Polityki” ozdobiła tekst m.in. portretem Ludwika Nabelaka, który był co prawda poetą, belwederczykiem, uczestnikiem powstania listopadowego, nawet towiańczykiem, ale później został dyrektorem fabryki gazu świetlnego w Barcelonie i kierował poszukiwaniami węgla brunatnego w Normandii. Oto przykład, zdaniem Bratkowskiego, eksromantyka, który wyszedł na ludzi.

W 35 numerze „Polityki” opublikowana została polemika Marii Janion z Bratkowskim pt. *Nie straszyc obciętym uchem!* Przedrukowana została później w tomie *Odnawianie znaczeń*. Przytoczmy stamtąd takie słowa: „Wizja kultury, jaką Bratkowski prezentuje, jest spójna i konsekwentna – nazwijmy ją technokratyczną, bo na taką miarę jest projekt człowieka w niej zawarty. Posługuje się ona ciasną normą postępu i nadzwyczaj wąskim rozumieniem nowoczesności. Krótko mówiąc, dla Bratkowskiego ten, co tworzył postęp techniczny, zarabiając przy okazji trochę pieniędzy i nie będąc ani męczennikiem, ani cierpiętnikiem, jest więcej wart od tego, co trudził się pisaniem wierszy”. Skoro wcześniej wypowiedź Bratkowskiego uzupełniona została jego głosem w ankiecie *Widoki Polaków*, to samo wypadnie uczynić z Janion. Otóż w 29 numerze „Polityki”, udzielając odpowiedzi, uznała za stosowne wygłosić pochwałę poetów Nowej Fali. I tak: „Ale frazesem o człowieku – w ramach troski o niego, jak się mawia w biurokratycznym języku – można też przykrywać szczerą i bezwzględną nie-człowieczność i anty-człowieczność. Nieraz osacza nas frazes pseudohumanistyczny – tak jak przedtem frazes produkcyjny. Dlatego młodzi poeci postanowili »mówić wprost«. Krytykę języka, jaką podjęli, zwłaszcza krytykę języka tzw. masowych środków przekazu, próbę formowania Etyki bez Autorytetów (tzn. etyki nie-autorytarnej) uważam za jedną z donioślejszych tendencji intelektualnych schyłku trzydziestolecia”.

Ciężka aberracja i kultura solidarnościowa

W tak krótkim artykule trudno jest w odpowiedni sposób zrekonstruować polemiki Marii Janion z połowy lat siedemdziesiątych dotyczące romantyzmu. Z konieczności trzeba było ograniczyć się jedynie do przypomnienia owych ważnych debat i zasygnalizowania problematyki. Bez wątplenia bardziej niż

romantyzmu jako takiego, dotyczyły one sytuacji politycznej, społeczno-gospodarczej i kulturalnej Polaków z tamtego czasu. Prosperity z czasów Gierka tak szybko, jak się zaczęła, tak szybko też dobiegła kresu. Właściwie to wtedy rozpoczął się proces, który doprowadził do krachu tzw. państwa realnego socjalizmu. Mrzonki o Drugiej Polsce skończyły się buntem z sierpnia 1980, stanem wojennym i w konsekwencji upadkiem PRL-u w 1989 roku. Omawiane dyskusje stanowią w dużej mierze komentarz do tego procesu.

Konstanty Puzyna rozgraniczał romantyzm i tradycję romantyczną. Twierdził, że nie lubi nie tyle romantyzmu, co tradycji romantycznej. W felietonie pt. *Zdumieni* z 43 numeru „Polityki” z 1980 roku (przedruk w książce *Półmrok*) pisał: „Do tej tradycji szlachecko-inteligenckiej intelektualności warszawscy (i krakowscy) z dawna są przywiązani, lecz w ostatnim piętnastoleciu doszli tutaj do ciężkiej aberracji [...] W efekcie utwierdza się określony zespół tradycyjnych stereotypów: takie hasła, jak walka zbrojna, powstanie, konfederacja, śmierć tyranom, za naszą i waszą – ciągle mogą u nas liczyć na oddźwięk. Ale związki zawodowe? Prawo do strajku? W kraju, który prawie nie przeszedł (nie zdążył) przez parlamentaryzm, hasła te brzmią dziwnie. Są jakby z innego języka, z innego myślenia”. Dalej Puzyna twierdzi, że strajkujący nie byli dotknięci ideologią romantyczną, ale wręcz przeciwnie... pozytywistyczną. Bo Gdańsk, hanzeatycka tradycja kupiecka, duch Eugeniusza Kwiatkowskiego, były zabór pruski w mniejszym stopniu skalanym romantyzmem.

Zupełnie inaczej widziała to Maria Janion, która choćby w czasie obrad Kongresu Kultury Polskiej w grudniu 1981 mówiła, że sierpniowy protest robotników polskich w Gdańsku, ale przecież nie tylko, był romantyczny z ducha. Analizując fenomen zrodzonej w sierpniu 1980 roku kultury „solidarnościowej”, stwierdzała: „Podstawowe znaczenie tej kultury zaczerpnięte zostało z przeświadczeń romantycznych; to kult wolności; przekonanie, że wolność osobista niemożliwa jest bez wolności ojczyzny; walka w obronie praw człowieka i praw narodu. Pojawia się w niej również wątek polskiego romantycznego mesjanizmu, a mianowicie dążenie do stosowania w polityce kryteriów moralnych, do oceny działań politycznych ze stanowiska etyki. Z okazji posłania Zjazdu »Solidarności« do ludzi pracy Europy Wschodniej w jednym z regionalnych biuletynów związkowych ukazała się krytyczna wypowiedź pod tytułem »Solidarność« Mesjaszem narodów?, wyrzucająca »niepotrzebny mesjanizm«, romantyzm oraz przypominająca, że »na moralność, romantykę i emocje w polityce nie ma miejsca«. Ten konflikt toczy się dokładnie w języku długotrwałego w Polsce porozbiorowego sporu między »realistami« a »romantyzmem«”.

Mam przed sobą 4 numer dwumiesięcznika „Teksty” z 1972. Na tylnej okładce zapowiedziany jest druk szkicu Janion *Rozum romantyczny*. Zamyśl ten nigdy nie został zrealizowany przez autorkę *Gorączki romantycznej*. W *Nie straszyc obciętym uchem!* mówi ona, że w zapowiadanej tekście miała sprzeciwić się szkodliwemu stereotypowi o uczuciowym romantyzmie i rozumowym pozytywizmie. Rozumność nie jest przywilejem, który jakoby przysługiwał pozytywizmowi. Od siebie dodam, że istnieje też zjawisko „gorączki pozytywistycznej”. Tak bardzo urzekł mnie ów tytuł artykułu, którego Janion nigdy nie napisała, że postanowiłem wykorzystać go na swój użytek.

Tomasz Klusek, redaktor „Nowych Książek”, stały współpracownik „Akcentu”, doktorant filozofii i literaturoznawstwa na UMCS

Romantyczne style zachowań

Polska emigracja 1945 roku z kręgu „Wiadomości”

W dyskusji na temat romantyzmu i jego dziedzictwa nie powinno zabraknąć głosu o emigracji nazywanej drugą (Drugą, Drugą Wielką), niepodległościową, pojałtańską czy też po prostu wojenną. Oprócz oczywistych różnic można wskazać pewne zbieżności losów obu wychodźstw.

Pierwszym istotnym podobieństwem Wielkiej i Drugiej Emigracji jest wojskowy i polityczny charakter rzeczonych wychodźstw, mający źródło w ich wojennej genezie. Obie emigracje miały wymiar niepodległościowy i swoim istnieniem protestowały przeciwko narzuconemu siłą porządkowi w kraju. Po drugie, były to emigracje powstałe po klęsce, a więc miały podobne doświadczenia i ich przykre konsekwencje, zwłaszcza w postaci klótni i rozrachunków. Wśród emigracji roku 1945 nie brakowało klótni, sporów i podziałów w życiu społecznym i politycznym, czego potwierdzenie znajdziemy w różnych tekstach źródłowych. Inną ważną cechą wspólną dla XIX- i XX-wiecznej emigracji jest, obecna zwłaszcza w początkowym okresie, świadomość tymczasowości pobytu na obczyźnie, specyficznego postoju. Czwartym zasadniczym podobieństwem losów obu wychodźstw niepodległościowych jest problem przyrostu naturalnego, będący skutkiem mniej lub bardziej zdecydowanej przewagi mężczyzn w populacji emigrantów z Polski. Jeszcze inną zbieżnością charakterów Drugiej Emigracji i jej wielkiej poprzedniczki jest zachwiana niekiedy równowaga psychiczna emigrantów. Według emigracyjnego socjologa Jerzego Zubrzyckiego zaburzenia psychiczne – od melancholii i schizofrenii aż do chorób umysłowych niebezpiecznych dla otoczenia – są typową chorobą emigracji polskiej. Przyczyn takiego stanu można wskazać wiele, choć dają się one sprowadzić do dwóch zasadniczych źródeł, jakimi były: traumatyczne przeżycia wojenne oraz nowe i zarazem niekorzystne położenie geograficzne i społeczno-polityczne. Na koniec należy jeszcze wspomnieć o dużym udziale w obu emigracjach osób wykształconych i inteligencji, które zdecydowały o kulturotwórczej roli obu wychodźstw, widocznej przede wszystkim w rozwoju literatury pięknej, prasy oraz instytucji kulturalnych.

Dwudziestowieczna emigracja polska zapożyczyła od swojej słynnej poprzedniczki pewne wzory zachowań. Przykłady i sygnały wybranych stylów zachowań romantycznych w sferze

społeczno-kulturalnej można zaobserwować na łamach londyńskich „Wiadomości” – jednego z najważniejszych czasopism powojennej emigracji – oraz w kręgu ich czytelników.

Powrót do przeszłości

Zainteresowanie historią – tą dawną i najnowszą – jest jedną z charakterystycznych cech londyńskiego tygodnika. Przejawia się ona w dużej liczbie publikowanych na łamach „Wiadomości” artykułów, szkiców i listów do redakcji na temat przeszłości oraz różnego typu tekstów wspomnieniowych. Wśród tych wypowiedzi szczególnie miejsce zajmuje literatura pamiętnikarska dotycząca okresu wojny (1939–1945). Jej bujny rozkwit jest zjawiskiem symptomatycznym, okazuje się bowiem, że ta „nadprodukcja” piśmiennicza znamionowała twórczość emigrantów polistopadowych, niemal masowo piszących wspomnienia z powstania.

Analizując treść i wymowę wspomnień publikowanych w „Wiadomościach”, można skonstatować, że głównymi celami dużej części literatury dokumentarnej są: zarejestrowanie wciąż żywej narodowej historii, utrwalenie jej faktograficznych i osobistych treści, a także manifestacja ducha narodowego. Co istotne, charakterystyczna dla tego piśmiennictwa jest dominacja perspektywy doświadczeń zbiorowych. Osobny i zarazem szczególnie przypadek literatury pamiętnikarskiej stanowi wspomnienia więźniów sowieckich i niemieckich obozów przymusowej pracy. Ich autorzy bowiem zazwyczaj nie rozpastrują swoich przeżyć w kategoriach narodowych, lecz ukazują własne doświadczenia w perspektywie ogólnoludzkiej, dokonując niejako „przy okazji” próby analizy fenomenu systemów totalitarnych.

Drugim popularnym tematem piśmiennictwa wspomnieniowego autorów „Wiadomości” są obrazy „kraju lat dziecińczych” i dawne zwyczaje, zwłaszcza te kulturowane w środowiskach ziemiańskich. Tego typu wspomnienia pisano zarówno



Fot. Archiwum Emigracji UMK

Tymon Terlecki

wierszem, jak i prozą. Obecne w tygodniku poetyckie i prozatorskie wspomnienia lat dzieciństwa i młodości powtarzają styl zachowania Wielkiej Emigracji, która wykształciła własną odmianę gawędziarza, jak zauważa Alina Witkowska: tzw. opowiadacza biografii – zwykle cząstkowej, heroicznej, młodzieńczej.

Świętowanie rocznic

Wśród zachowań przejętych od Wielkiej Emigracji są także obchody i uroczystości rocznicowe, jak również zbiorowe spotkania emigrantów: zwłaszcza wieczory, obiady i akademie. Świętowanie ważnych w historii narodu dat wynikało z romantycznego podejścia do historii, to znaczy stałej obecności historii i myśli o niej w pamięci zbiorowej społeczeństwa. W pojęciu romantyków bowiem – czego niejednokrotnie dowiodły badaczki Maria Janion i Maria Żmigrodzka – naród był jednością pokoleń zmarłych, żyjących aktualnie i mających się kiedyś narodzić.

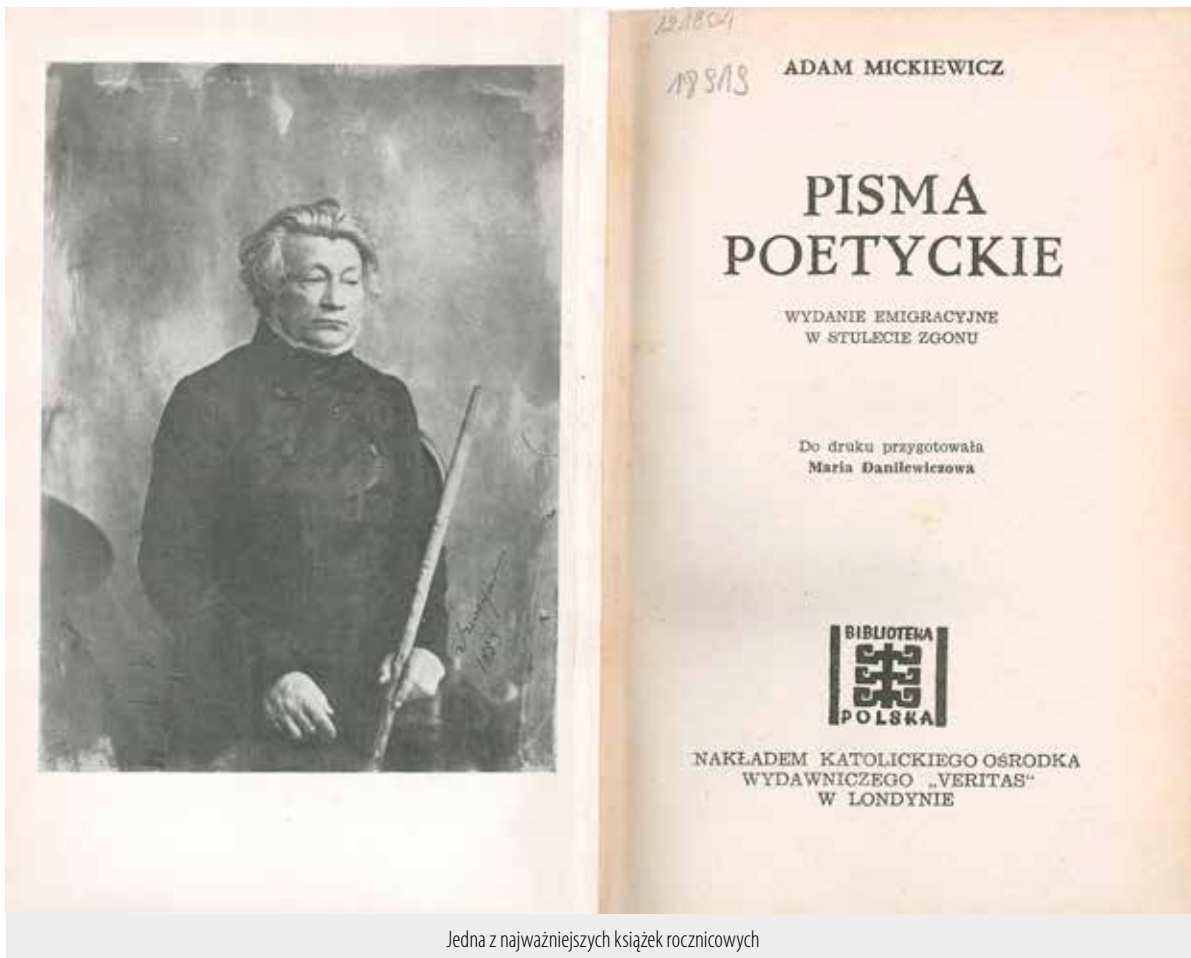
Czerpiąc wzór z poprzedniczki, emigracja 1945 r. na miarę swoich skromnych możliwości finansowych dbała o upamiętnianie wielu rocznic narodowych. W londyńskim tygodniku szczególnie dużo uwagi poświęcono 100. rocznicy śmierci Adama Mickiewicza. Analiza wypowiedzi i działań emigrantów pozwala sądzić, że uroczyste obchody roku mickiewiczowskiego motywowano dwoma zasadniczymi względami. Po pierwsze,

było to niesłabnące przekonanie wyrażone przez Tymona Terleckiego już rok po zakończeniu wojny w Europie, że heroiczna biografia poety staje się dla nowych emigrantów życiem-wzorem i życiem-przykładem oraz że jego twórczość jest wciąż aktualna (*Mickiewicz i my*, 1946, nr 3). Po drugie, była to obawa przed manipulacją biografiami i twórczością Mickiewicza, dokonywaną w myśl obowiązującego w kraju socrealizmu. Emigracyjne obchody miały być więc formą przeciwdziałania i równoważenia zabiegów przywłaszczania Mickiewicza przez władze Polski Ludowej i wpisywania go w komunistyczny porządek (*Rok mickiewiczowski* 1954, nr 21).

Na łamach „Wiadomości” pamiętano również o rocznicach związanych z innymi pisarzami romantycznymi. Potwierdza to m.in. zainicjowana przez Witolda Nowosada akcja, która zakończyła się ufundowaniem płyty na miejscu pochówku Cypriana Norwida w Montmorency (1952). Zbiórek na ten cel dokonywano w wielu krajach, a ponieważ – jak wspomina Nowosad – byli to ludzie z różnych grup społecznych, dlatego „nad grobem Norwida dokonana się tak rzadka wśród Polaków zgoda narodowa” (*O Cyprianie Norwidzie*, 1953, nr 10).

Veta i apele

Najogólniej rzecz ujmując, można stwierdzić, że Druga Emigracja sprzeciwiała się ustaleniom podjętym na konferencji w Jalcie i tzw. pojałtańskiemu porządkowi w Europie.



Jedną z najważniejszych książek rocznicowych

Jedną z konsekwencji przyjęcia takiej postawy było ciągle podkreślanie prawa Polski do utraconych ziem wschodnich, których nie mogą zastąpić tereny poniemieckie. „Nie ma i nie może być żadnego odszkodowania za Lwów i Wilno” – konstatował Zygmunt Nowakowski, wyrażając przekonanie tzw. emigracji niezłomnej (*Nie za Lwów i nie za Wilno*, 1947, nr 38).

Jeden z czołowych publicystów „polskiego Londynu” krytycznie odnosił się także do wyroków Międzynarodowych Trybunałów Wojskowych, samą Norymbergę zaś traktował jako symbol nowego, niesprawiedliwego ładu na świecie (*Towary norymberskie*, 1946, nr 29). Głównym zarzutem polskiej emigracji wobec wyroków tamtejszego sądu był bowiem brak wskazania i ukarania winnych zbrodni katyńskiej. Stąd też w jednym z numerów „Wiadomości” znajdujemy apel wystosowany przez Polskie Stowarzyszenie Byłych Sowieckich Więźniów Politycznych. Sygnatariusze apelu, przemawiający w imieniu emigracyjnej zbiorowości, domagali się od ONZ i „wszystkich rządów świata cywilizowanego”, by powołano trybunał do osądzenia masowego mordy w Katyniu, którego winowajcy pozostają bezkarni (*Zbrodnia katyńska*, 1950, nr 18).

Ostrze krytyki publicystów „Wiadomości” nie omijało także Watykanu. Dosyć często w rubryce „Silva rerum” pojawiały się krytyczne uwagi Mieczysława Grydzewskiego pod adresem działalności Kościoła w jego planie „ziemskim”: organizacyjnym i politycznym. Pewne działania Stolicy Apostolskiej oburzały także Zygmunta Nowakowskiego, Zygmunta Zawadowskiego czy Józefa Mackiewicza. Pomimo obecnych w tych wypowiedziach uwag na temat chrześcijaństwa nie można jednak stwierdzić, że XX-wieczni emigranci na wzór romantyków toczyli z papieżem spory o istotę religii. Trzeba za to przyznać, iż wspólna obu wychodźstwom była podejrzliwość wobec poczynań Stolicy Apostolskiej.

Autorzy „Wiadomości” deklarowali także solidarność z Polakami pozostającymi w ojczyźnie, a zarazem bardzo wyraźnie potępiali działania władz Polski Ludowej. Szczególnie Zygmunt Nowakowski jawnie i zdecydowanie występował przeciwko narzuconemu siłą porządkowi, demaskował przekupnych polityków i ostrzegał przed zdrajcami. Najczęściej jednak piętnował służalczość krajowych artystów, niezwykle krytyczne, ironiczne, polemiczne, a czasem nawet zjadliwe uwagi kierował pod adresem poetów, takich jak Julian Tuwim, Jarosław Iwaszkiewicz, Jan Brzechwa czy Władysław Broniewski (*Kwiatki polskie Tuwima*, „Wiadomości” 1947, nr 49; *O pochodzeniu gatunków*, 1949, nr 2–3). Ponadto sam redaktor naczelny miał pretensje do tych krajowych twórców, którzy na własne życzenie poniewierają samych siebie – poprzez fałszowanie własnych utworów (*Silva rerum*, 1950, nr 27).

Walka z propagandą

Interesując się problemami życia kulturalnego i gospodarczego rodzinnego kraju, emigracyjni publicyści walczyli z rozmaitymi formami propagandy rządu, którego nie nazywano polskim, tylko warszawskim. Do dawania „oporu” dokonywanym w kraju fałszerstwom przeszłości i samowiedzy zbiorowej niejednokrotnie wzywał Tymon Terlecki. Przypominał też o propagandzie krajowej wymierzonej przeciwko emigracji, nazywając ją szeroką „kampanią kalumnii”, w której biorą udział „młodzieńczy podskakiewiczze, prostytutki literackie, dusze organicznie lokajskie, wolontariusze z kompleksami upodlenia, ludzie głęboko zrezygnowani i zwolennicy „pracy od podstaw” (*Sprawy emigracji*, 1947, nr 18).

Osobną formą sprzeciwu emigrantów wobec polityki kulturalnej (m.in. cenzury) i społecznej (zwłaszcza licznych represji) Polski Ludowej stanowiły uchwały Związku Pisarzy Polskich na

Obcześnie, sygnatariuszami których było wielu współpracowników „Wiadomości”. Wymową uchwały z 1947 r. i w zasadzie jej powtórzenia w 1956 r. było przede wszystkim zalecenie nieogłaszania (dawnych i nowych) utworów w pismach i wydawnictwach kierowanych przez władze krajowe.

Komentujący z opóźnieniem pierwszą decyzję ZPPnO Grydzewski miał do uchwały pewne zastrzeżenia (*Silva rerum*, 1950, nr 27). Jednak już wypowiadając się o przyjęciu uchwały w 1956 r., stwierdził, że skoro Gomułka nie przestał być komunistą i nie jest Konradem Wallenrodem, a raczej Pétainem czy Wielopolskim, to na emigrację spadają zdwojone obowiązki. Im większe bowiem koncesje uzyskuje kraj, tym bardziej bezkompromisowa powinna być emigracja. Dlatego właśnie „emigracja nie ma żadnego powodu do robienia ugody, którą musi robić Kraj. Zatrącenie tej linii granicznej równałoby się zatrąceniu tej sprawiedliwej linii granicznej – ziemskiej i ideowej – która powinna dzielić Polskę od Sowietów. Zlanie się literatury emigracyjnej z literaturą krajową mogłoby zakończyć się zlaniem się dwóch bratnich nurtów, ale zlaniem się w morzu rosyjskim” (*Silva rerum. O postawę pisarza emigracyjnego*, 1957, nr 13). W konkluzji redaktor przypominał, że pisarza emigracyjnego o zdecydowanej postawie ideowej, której daje wyraz w swoich książkach, obowiązują inne normy. Ponieważ nie mógłby on dziś wydać w kraju każdej swojej książki, powinien postępować w myśl zasady: albo wszystko, albo nic.

Wobec ugodowców

Podobnie było w przypadku stanowiska „Wiadomości” wobec osób powracających do kraju. Otóż podejście ich redaktora było reprezentatywne dla niemałej części emigracyjnej zbiorowości. W celu napiętnowania postawy ugodowej wobec władzy w kraju Grydzewski posługiwał się wypowiedziami publicystów Wielkiej Emigracji, z kręgu wydawanego w Londynie „Demokraty Polskiego”. Warto przypomnieć w tym miejscu wymowną adnotację z regulaminu nagrody „Wiadomości”, gdzie powrót członka jury do kraju na stałe traktuje się w identyczny sposób jak śmierć tej osoby, to znaczy – wybiera na jej miejsce nowego członka (*Regulamin nagrody „Wiadomości”*, 1959, nr 41).

Inni autorzy „Wiadomości” równie ostro sprzeciwiali się ogłaszanej przez komunistów propozycji tzw. amnestii. Przyjęcie takiej postawy nierzadko miało bolesne konsekwencje w postaci zerwania kontaktów i zaniku przyjacielskich relacji. Na przykład Tymon Terlecki nie mógł wybaczyć swojemu przyjacielowi, Henrykowi Gotlibowi, powrotu do kraju. Janusz Kowalewski zerwał przyjaźń z Marią Kuncewiczową, gdy pisarka powróciła do kraju, pomimo że była matką chrestną jego syna. Marian Hemar swój tekst o Stanisławie „Cacie” Mackiewicz (który w 1956 wrócił do Polski) zatytułował *Harakiri* (1956, nr 38), a następnie żegnał pisarza i polityka westchnieniem żalu, jak po śmierci.

Sprzeciw niektórych przedstawicieli wychodźstwa wywoływała

także sprawa przyjmowania obywatelstwa kraju osiedlenia. Najmocniej protestował tu Zygmunt Nowakowski, który w jednym z felietonów piętnował emigrantów przyjmujących obce obywatelstwo. Publicysta oskarżał ich o chęć ułatwienia sobie życia na obczyźnie za pomocą ulg, zniżek i „pierwszeństwa w ogonku”, co w konsekwencji prowadziło do przekształcenia emigracji politycznej w zarobkową. Uzyskanie nowego paszportu Nowakowski traktował jako wyparcie się polskości i zdradę ojczyzny (z wyjątkiem osób, które znajdują się w sytuacji przymusowej i decydują się na ów krok, by ratować od głodu najbliższych). Ponadto pisarz był zwolennikiem trwania w gotowości na bliższy lub dalszy powrót do kraju, ale tylko pod warunkiem, że będzie on całkowicie suwerenny (*Poloniae adscripti*, 1949, nr 45).

Romantyzm żywy

Okazuje się, że wielu autorów i czytelników londyńskiego tygodnika naśladowało style zachowań Wielkiej Emigracji. Przejmowanie – choć z pewnymi modyfikacjami – niektórych wzorów zachowań romantycznych często było świadomym, podkreślanym już od pierwszych chwil pobytu na obczyźnie, wpisaniem się w tradycję romantycznego exodusu.

Działania te wzmacniały poczucie celowości i sensowności istnienia nowej emigracji niepodległościowej, a także pomagały zachować tożsamość Polaka-emigranta. Ponadto ożywienie romantycznych wzorów myślenia i postępowania okazywało się pomocne w sytuacjach wymagających określenia stanowiska emigracji wobec narzuconej siłą władzy krajowej, a także polityki państw Zachodu. I wreszcie style zachowań romantycznych sprzyjały rozwijaniu postaw maksymalistycznych emigracji, odnoszących się zarówno do pojmowania samego wychodźstwa, jak i działań władz Polski Ludowej czy Związku Sowieckiego.

Dr Marcin Lutomiński, filolog polski z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, specjalizuje się m.in. w literaturze emigracyjnej XX wieku.



Gen. Władysław Anders

Moje przygody z NCN

albo „geology is not a real science”

Może potrzebne jest wyprowadzenie nauk technicznych (a być może także i medycznych), razem z odpowiednim strumieniem finansowania, do NCBR? Wtedy to NCBR mogłoby zorganizować konkursy na badania, które nie wymagałyby natychmiastowej komercjalizacji, a NCN mogłoby pozostać ostoją tej prawdziwej nauki, pisanej przez duże N.

Narodowe Centrum Nauki bardzo często nie trzyma się ustaleń swoich regulaminów. Dotyczy to w szczególności panelu nauk technicznych (ST8), w którym obszary wiedzy o niższych wskaźnikach bibliometrycznych są gorzej oceniane przez recenzentów dobrane przez NCN. W przypadku inżynierii lądowej są to bardzo często osoby niemające kompetencji do oceny tych projektów. Panele ekspertów NCN, a nawet Komisja Odwoławcza, nie widzą niczego złego w tej sytuacji. Proponuję w tym artykule dwie alternatywne metody jej uzdrowienia.

Entuzjaści znanego sitcomu o perypetiach młodych amerykańskich naukowców dobrze znają cytaty umieszczone w podtytule, który w skróconej, żartobliwej formie oddaje problemy z obiektywizmem naukowca oceniającego badania w obcej sobie dziedzinie. Ta zabawna sentencja przypominała mi się wielokrotnie, gdy współpracowałem z NCN lub sam coś wysyłałem tam do oceny. W niniejszej analizie nie roszczę sobie pretensji do absolutnego obiektywizmu, o który, jak wiemy, trudno w nauce. Chciałbym jednak pokazać kilka przykładów braku obiektywizmu i transparentności, których można było uniknąć przy założeniu dobrej woli w reformowaniu działalności NCN. Jest to punkt widzenia reprezentanta dyscypliny inżynierii lądowej, zaszytej gdzieś we wnętrzu panelu ST8 (nauki techniczne), który zastanawia się, dlaczego jego kolega z Princeton University może badać monitorowanie położenia osi obojętnej belek żelbetowych, a inny kolega z Czech działanie wiatru na konstrukcje, nie obawiając się, że badania te będą uznane za nienależące do podstawowych lub za banalne, albo po prostu mało ważne. Jednak być może reprezentant innej dziedziny znajdzie także coś dla siebie w niniejszym tekście.

Wszystkie użyte przeze mnie cytaty pochodzą z moich (lub moich kolegów) recenzji i opinii paneli ekspertów NCN.

Na początek przybliżony opis metodologii pracy większości paneli NCN przy ocenie projektów, na przykładzie typowych aplikacji OPUS i PRELUDIUM w panelu ST8, tak jak zapamiętałem to z moich prac w tych gremiach.

Ocena jest podzielona na dwa etapy. W pierwszym wnioski są rozsyłane przez przewodniczącego panelu do ekspertów, członków panelu, przy czym każdy wniosek trafia do dwóch ekspertów. Jest to dobry pomysł, służący obiektywizmowi ocen, jednak i tu pojawia się problem w przypadku tak sze-

rokiego tematycznie panelu, jak np. ST8. Zapamiętałem, że wielu ekspertów otrzymywało do oceny nadmiar projektów zupełnie spoza zakresu swoich kompetencji. Zapewne skład panelu nie był dostosowany do struktury wniosków. Zupełnie nie odpowiadał liczbie wniosków z chemii i ochrony środowiska. Pamiętam cierpkie miny wielu panelistów, namawianych, aby nie narzekali na obcą im tematykę projektów, które otrzymali do oceny. Na podstawie pierwszych ocen sporządzana jest lista rankingowa, omawiana na posiedzeniu panelu. W przypadku znaczących różnic ocen dwóch ekspertów dokonywane jest tzw. uzgodnienie ocen, czyli wymiana opinii przy współudziale innych członków panelu, czasami żywo zainteresowanych tematami ocenianymi przez kolegów. Na tym etapie odpadało około połowy wniosków, zatem dyskusja stawała się zawsze szczególnie ożywiona, gdy mowa była o aplikacjach z grupy bliższej poziomowi odcięcia.

W kolejnym etapie wnioski są rozsyłane do recenzentów, głównie zagranicznych. Odbywało się to tak, że ekspert przysyłał propozycje recenzentów zagranicznych, a etatowy pracownik NCN (opiekun panelu) dodawał także ekspertów ze swojej bazy danych i rozsyłał wnioski recenzentom. Nie było wiadomo, ile rozesłał propozycji, a ile otrzymał odmów. Jako ekspert panelu otrzymywałem gotowe recenzje bez nazwisk ich autorów. Przynajmniej raz wniosek oceniany przez mnie jako słaby otrzymał wystarczająco dobre recenzje i znalazł się wysoko na liście rankingowej drugiego etapu. Mamy wtedy do czynienia z kolejną listą rankingową, której wyniki są dyskutowane na kolejnym spotkaniu panelu – podlegającym uzgodnieniu w debacie jego członków. Nie trzeba dodawać, że uzgodnienia są szczególnie istotne, gdy dotyczą poziomu odcięcia, to jest sytuacji, gdy wniosek jest na granicy akceptacji lub odrzucenia. I tu warto zrobić pewną dygresję. Otóż o ocenie projektu decydują dwa kluczowe kryteria: jego poziom naukowy (skala 1-5) oraz ocena (pozycja naukowa) wnioskodawcy (i jego opiekuna w przypadku programu PRELUDIUM).

Przykładowa ocena naukowych kompetencji wnioskodawcy w Regulaminie NCN z 5 marca 2021 w programie OPUS ma sześć stopni:

5. Doskonali. Dorobek naukowy i osiągnięcia badawcze są doskonałe, cieszą się uznaniem na arenie międzynarodowej

i są wysoko oceniane ze względu na jakość i wkład w naukę, dorobek publikacyjny i pozostałą aktywność naukową. Kierownik projektu jest czołowym w skali światowej badaczem w dziedzinie/ach.

4. Bardzo dobry. Dorobek naukowy i osiągnięcia badawcze są bardzo dobre i cieszą się uznaniem na arenie międzynarodowej ze względu na jakość i wkład w naukę, dorobek publikacyjny i pozostałą aktywność naukową. Kierownik projektu jest szeroko rozpoznawalny na arenie międzynarodowej w dziedzinie.

3. Dobry. Dorobek naukowy i osiągnięcia badawcze są dobre, ale mają ograniczoną międzynarodową rozpoznawalność ze względu na jakość i wkład w naukę, dorobek publikacyjny i pozostałą aktywność naukową. Kierownik projektu jest rozpoznawalny na arenie międzynarodowej w dziedzinie w ograniczonym zakresie.

2. Przeciętny. Dorobek naukowy i osiągnięcia badawcze są przeciętne i mają ograniczoną rozpoznawalność w dziedzinie ze względu na jakość i wkład w naukę, dorobek publikacyjny i pozostałą aktywność naukową. Kierownik projektu jest rozpoznawalny w dziedzinie w ograniczonym zakresie.

1. Słaby. Dorobek naukowy i osiągnięcia badawcze są poniżej przeciętnej i nie są rozpoznawalne w dziedzinie ze względu na jakość i wkład w naukę, dorobek publikacyjny i pozostałą aktywność naukową. Kierownik projektu (kierownicy projektu) nie jest rozpoznawalny w dziedzinie.

0. Bardzo słaby. Kierownik projektu ma bardzo słaby dorobek naukowy lub w ogóle nie ma osiągnięć naukowych.

Z perspektywy notorycznego malkontenta

Jeśli oceny recenzentów dotyczące poziomu projektu i kompetencji wnioskodawcy są mocno rozstrzelone, to największy wpływ na decyzję panelu ma jego przewodniczący, czasem (w przypadkach spornych) posiłkując się głosowaniem. Wystarczy zatem, by jeden z dobieranych recenzentów był notorycznym malkontentem, aby zostawiać decyzję głównie w rękach przewodniczącego. A jak pisze swoje opinie recenzent malkontent? Na przykład stwierdza, że wniosek nie reprezentuje badań podstawowych. W obszarze nauk technicznych prawie zawsze można to stwierdzić bez specjalnego uzasadniania. Przez długi okres wnioskodawca projektów do NCN musiał sam uzasadniać fakt, że jego badania były naukami podstawowymi. Można sobie wyobrazić, jakie dyskusje mogły się w tym zakresie pojawiać. Od pewnego czasu NCN już tego nie wymaga, choć dalej recenzent ma taką rubrykę do wypełnienia. Poza tym recenzent malkontent używa w swoich ocenach pewnych zdań kluczowych, np. „Projekt jest mało ambitny”. W ocenie projektu często zupełnie nie wchodzi w jego merytoryczną istotę, powtarzając zdania ze streszczenia projektu, aby następnie dać bardzo niską ocenę i napisać „projekt jest mało ambitny”. Gdy wnioskodawca dobrze udokumentuje tzw. reasearch gap, czyli lukę w badaniach w danym obszarze, to recenzent malkontent ma też i na to sposób. Mianowicie pisze: „ten temat jest tak mało atrakcyjny, że mało kto na świecie jest nim zainteresowany”. Recenzent malkontent, oceniając projekt spoza obszaru swoich kompetencji, unika wchodzenia w szczegóły, bo łatwo może się pomylić. Zdarza się to bardzo często. Jednak nie musi się tym specjalnie przejmować. W końcu regulaminy NCN tak są sformułowane, że kwestie merytoryczne recenzji nie podlegają ewentualnym odwołaniom. A jeśli już wnioskodawca się odwoła, to i tak zawsze można powiedzieć, że wspomniany wcześniej proces uzgodnień końcowych ocen służył ewentualnej korekcie tych błędów.

Jest jeszcze jeden kontrowersyjny element oceny NCN, dodatkowe punkty za już zrealizowane projekty. A co będzie, jeśli ktoś pisze pierwszy (od 10 lat) projekt? Wtedy w ocenie

panelu ekspertów może pojawić się następująca ocena: „A certain weakness is the lack of experience in managing research projects financed under the NCN competitions and relatively little experience in managing grants financed under national competitions other than the NCN”. Wynika z tego, że wnioskodawca nie ma doświadczenia w projektach NCN, co skutkuje obniżeniem oceny aktualnego wniosku. Względem wniosków NCN może tu powstać błędne koło. Wnioskodawca nie dostanie finansowania z NCN tak długo, aż zdobędzie jakiś wniosek z NCN. Trudne do realizacji? Można to przerwać, składając najpierw wniosek do innej niż NCN agencji, najlepiej zagranicznej. Nic dziwnego, że niektóre osoby poprawiają już cztery miejsca po przecinku w swoich badaniach, otrzymując kolejne granty z NCN, a inni ciągle odpadają w drugim etapie oceny.

Całościowo uwzględnić jakość, wkład i wpływ

W ramach Panelu Nauk Technicznych (ST8) mamy do czynienia z bardzo zróżnicowanymi badaniami naukowymi. Typowe liczby cytowań i oceny bibliometryczne badaczy w tym panelu mogą różnić się o kilkaset lub nawet kilka tysięcy procent. Od chemii molekularnej i inżynierii materiałowej po czystość wód i betonowanie mrozoodporne. Od dłuższego czasu NCN zastrzega się we wszystkich regulaminach, że oceny bibliometryczne nie mogą stanowić podstawy oceny kompetencji badaczy. Co z tego jednak, jeśli zewnętrzni recenzenci bardzo często się tego nie trzymają? Spotkałem się na przykład z taką opinią w recenzji: „...jak to możliwe, aby wnioskodawca był na liście Stanford top 2% badaczy świata, skoro ma tak niski h-indeks?”. W efekcie umieszcza wnioskodawcę w grupie osób w ograniczonym stopniu rozpoznawalnych na świecie, przydzielając ocenę 2/5, a panel ekspertów w ramach procesu uzgodnień podnosi tę ocenę na 3/5.

We wspomnianym wcześniej regulaminie NCN, w zapisie na stronie 13, znajduje się zapis: „NCN zobowiązuje się do wdrażania zaleceń DORA oraz do niestosowania wskaźników bibliometrycznych, takich jak Journal Impact Factors, jako zastępczej miary jakości pojedynczych artykułów naukowych w ocenie osiągnięć pojedynczego badacza. W ocenie dorobku publikacyjnego eksperti i recenzenci powinni brać pod uwagę specyfikę ich dziedziny badawczej, jak również kulturę cytowań i praktyki publikacyjne charakterystyczne dla tej dziedziny. Ocena dotychczasowych osiągnięć powinna całościowo uwzględniać jakość, wkład w dziedzinę oraz wpływ publikacji”. Bardzo pięknie i mądrze zapisane. Niestety, jak widać, do zapisu tego nie stosują się ani recenzenci, ani tzw. koordynator dyscypliny, który powinien znajdować nierzetelności w recenzjach, ani nawet przewodniczący panelu oceniającego projekt. Z drugiej strony, jak można wymagać szczególnego wyczulenia, jeśli są to osoby spoza ocenianego obszaru badawczego? Zdaniem piszącego te słowa, „przyłapanie” recenzenta na odstępstwie od tych reguł w szerokotematycznym panelu nauk technicznych (ST8) powinno skutkować odrzuceniem tej recenzji i powołaniem nowego recenzenta. Jednak nawet komisja odwoławcza nie stosuje się do tych wytycznych i w takich wypadkach nie powołuje innego recenzenta. Decyzja komisji odwoławczej zachęca wnioskodawcę, aby udał się do sądu w celu przedyskutowania łamania wyżej cytowanego zapisu regulaminów NCN. Może dlatego punkt ten jest zapisany drobnym drukiem w przypisie do 13 strony Regulaminu NCN z 5 marca 2021?

Poprawienie transparentności lub wyprowadzenie do NCBR

A może po prostu większość badań z inżynierii lądowej jest na niskim poziomie? Może nie warto ich finansować? Może lepiej traktować je jedynie jako badania bezpośrednio wdra-

żane. Niech zainteresowani znajdą firmy, które będą finansowo uczestniczyć w tych badaniach i zgłoszą się do NCBR. Jest jednak wiele badań, które powinny być przeprowadzane w laboratoriach i których nie da się bezpośrednio komercjalizować. W innych krajach są one finansowane z funduszy badań podstawowych. Tak jest na przykład w Czechach. Piszący te słowa często jest w tym kraju recenzentem projektów badawczych, a nawet czynnie uczestniczy w parametryzacji jednostek naukowych jako przewodniczący panelu.

Ktoś może powiedzieć: Skąd wiadomo, że u nas jest tak źle? Czy dałoby się to sprawdzić? Wystarczyłoby na próbę poddać ocenie wnioski z drugiego etapu przez inną, zewnętrzną, zagraniczną firmę i sprawdzić, w jakim stopniu ustalona przez nią lista rankingowa różniłaby się od wygenerowanej przez panel ekspertów i recenzentów NCN.

Ktoś inny może powiedzieć, że jeśli sukces w panelu ST8 osiąga jeden na cztery wnioski, to nieuniknione jest, że trzy czwarte osób będzie sfrustrowanych. Czy można tu coś zmienić? Według mnie są dwa wyjścia z tej sytuacji.

Poprawienie transparentności procesu ocen poprzez możliwość reakcji wnioskodawcy w projektach typu OPUS lub PRELUDIUM na recenzje drugiego etapu (feedback) i dopiero wtedy dokonywanie uzgodnień ocen lub odrzucenia (ponownia) recenzji w wypadku potwierdzenia, że były one nierzetelne. W przypadku poważniejszych różnic zdań między recenzentami, arbitrem mógłby być ten z nich, który przyznał „średnią” ocenę projektu. Zauważmy, że kierując artykuły do dobrych

czasopism naukowych, zawsze mamy możliwość zareagowania na błędy lub nierzetelności w recenzjach, pisząc stosowny „rebuttal”. Na ogół bowiem edytor dobrego, światowego czasopisma jest osobą zaufania społecznego, która potrafi zareagować na błędy lub nieuczciwości recenzentów. NCN, jak do tej pory, takiej możliwości nie daje.

Drugi sposób to wyprowadzenie nauk technicznych (a być może także i medycznych), razem z odpowiednim strumieniem finansowania, do NCBR. W NCN pozostałyby prawdziwie czyste nauki, nieskażone komercją i „wątpliwym” poziomem badań. Wtedy to NCBR mogłoby zorganizować konkursy na badania, które nie wymagałyby natychmiastowej komercjalizacji, a NCN mogłoby pozostać ostoją tej prawdziwej nauki, pisanej przez duże N.

Na zakończenie, tytułem uzasadnienia przedstawionej krytycznej oceny procedur stosowanych przez NCN, można by podać rozmaite lapsusy i śmieszne miejsca z zaakceptowanych przez Centrum recenzji, np. taki, w którym recenzent za wadę projektu uznaje zbyt niskie honoraria, jakie ustalił sobie wnioskodawca, co nie gwarantuje należytego poziomu badań. Wiele oczywistych, a często śmiesznych błędów w recenzjach dotyczy spraw fachowych, na które szkoda miejsca w „Forum Akademickim”. Być może czytelnicy sami stworzą zbiór osobliwości związanych z takimi recenzjami.

Prof. dr hab. inż. Zbigniew Zembaty, Wydział Budownictwa i Architektury Politechniki Opolskiej



Fot. Stefan Ciechan

Danuta Urbaniak-Zajac

Od metodologii normatywnej do rekonstrukcyjnej

Każda osoba prowadząca badania powinna być swoim metodologiem. Zgadzam się z tym postulatem, jeśli zostanie potraktowany jako sygnał zmiany kierunku wektora, czyli przywołanie prostej prawdy, że to człowiek prowadzi badania, a nie metoda.

Cechą nowoczesnej nauki jest orientacja na poznanie empiryczne i nadanie szczególnego statusu metodzie, czyli sposobowi tego poznawania. Reguły metody naukowej nie tworzyły się w praktyce badawczej, lecz zostały określone przez filozofów, którzy badań empirycznych nie prowadzili. W ich punkcie wyjścia znalazło się wyobrażenie wartościowej wiedzy, zdecydowanie odmiennej od nienaukowej metafizyki. Jej przedmiotem może być tylko to, co choćby pośrednio ujawnia się w doświadczeniu. Odrzucono istnienie utajonych sił, których nie można wykryć środkami dostępnymi człowiekowi. Przyjęto, że poznawany świat jest zbiorem faktów, a zadaniem nauki jest ich porządkowanie – szukanie prawidłowości, np. odkrywanie związków przyczynowo-skutkowych. Efektem tej porządkującej pracy jest wiedza. Jej wartość polega na możliwości pozytywnego, czyli praktycznego, wykorzystania. Jeśli np. odkryta została prawidłowość, że po a (przy spełnieniu określonych warunków brzegowych) występuje b, to chcąc osiągnąć empiryczny stan b, należy wywołać a.

Warunki normatywnej metodologii

Przypomnę, że schemat klasycznej metody naukowej obejmuje: a) nieuprzedzone obserwowanie, służące gromadzeniu zdań obserwacyjnych, b) formułowanie na drodze wnioskowania indukcyjnego zdań ogólnych, mających status hipotez; c) przeprowadzanie eksperymentów sprawdzających owe hipotezy; d) uznawanie hipotez za twierdzenia naukowe lub ich odrzucenie. Taka metoda naukowa stanowiła punkt odniesienia dla metod badawczych wypracowywanych w tych dyscyplinach akademickich, które zabiegały o status nauki. Była wśród nich pedagogika. W Polsce działania nad opracowaniem jej metodologii dostosowanej do wymogów metody naukowej w sposób systematyczny podjęto od drugiej połowy lat 60. XX

wieku. Aczkolwiek w praktyce badawczej już w okresie międzywojennym stosowano rozwiązania zgodne z duchem nowoczesnej nauki, obiektywizujące wyniki badań poprzez pomiar (np. opracowanie przez zespół Heleny Radlińskiej wskaźnika ogólnego środowiska, określającego liczbowo szanse rozwoju dziecka żyjącego w tym środowisku).

Banalnie brzmi teza, że postać, jaką przyjmują wyniki badań, zależy od sposobów ich pozyskania i opracowania, czyli od zastosowanej metody badawczej. Ale zapewne wiele osób zdziwi stwierdzenie, że te wyniki w większym stopniu zależą od zastosowanej metody, niż od badanej 'rzeczywistości'. Dominacja metody nad rzeczywistością wyraża się m.in. określeniem najbardziej pożądanej formy wyników. (Na budynku wydziału nauk społecznych Uniwersytetu w Chicago napisano: „Jeżeli nie umiesz mierzyć, twa wiedza jest wątpliwa i niewystarczająca”.) Zmierzając w stronę ideału, należy badane przedmioty poddawać określonym zabiegom. Zredukować ich postać do zbioru zmiennych i wartości, poddać je operacjonalizacji, wystandaryzować warunki gromadzenia danych i sposoby ich opracowywania, dążyć do reprezentatywności badanych populacji. W dużym uproszczeniu można powiedzieć, że w wyniku tych zabiegów, już przed rozpoczęciem gromadzenia danych, utworzony zostaje model badanego przedmiotu, który „zarzuca się” na rzeczywistość. Wprawdzie w rzetelnie przeprowadzonym studium badawczym poszczególne elementy tego modelu (związki między określonymi zmiennymi) mogą zostać niepotwierdzone, a więc odrzucone, ale nie może ujawnić się nic, czego wcześniej nie przewidziano. Nie można też odrzucić całego modelu jako nieadekwatnego wobec rzeczywistości, nie ma bowiem warunków do zakwestionowania jego przesłanek (mogą zostać zakwestionowane tylko „z zewnątrz”, w wyniku przyjęcia innych założeń, „obcych” wobec modelu).

Operacje na przedmiocie badawczym stanowią dostosowywanie go do możliwości metody. W efekcie ujęte zostaje tylko to, co „chwytą” metoda.

Na straży zgodności dyscyplinarnych metod badawczych z metodą naukową oraz ich właściwego stosowania stoi metodologia. Ogólna metodologia nauk poza normowaniem metod sensu stricto, obejmując także logikę języka i teorie argumentacji. Metodologią ogólną zajmują się filozofowie i logicy, którzy badań empirycznych nie prowadzą. Empiryczne badania prowadzą przedstawiciele nauk przedmiotowych. Niektóre z tych osób zajmują się metodologią swoich dyscyplin albo ogólniej dziedzin nauk (np. nauk społecznych, humanistycznych). Klasykzna metodologia (zarówno ogólna, jak i szczegółowe), przyjmująca jeden określony ideał wiedzy naukowej, ma z konieczności charakter normatywny. Badanie traktuje jako w pełni racjonalny proces. Czynnikiem mogącym zaburzyć tę racjonalność są ludzkie cechy badaczy, to one są potencjalnym źródłem błędów, zafałszowań. Sposobem ich wykluczenia jest podporządkowanie badaczy wymogom metody. Dominację metody umożliwiło (przeprowadzone wcześniej przez Kartezjusza) jednoznaczne oddzielenie poznającego podmiotu od poznawanej rzeczywistości. Stworzyło warunki do obiektywnego, tzn. niezależnego od poznającego podmiotu, „istnienia” rzeczywistości. Ale ponieważ to „istnienie” nie jest transparentne, nie jest dostępne zwykłej obserwacji, jego „odslonięcie” wymaga stosowania określonych czynności – uzasadnianych normami metody naukowej. Podporządkowanie metodzie ma gwarantować uniknięcie błędów, co wydaje się ważniejsze niż sukces poznawczy (Czy znamy opublikowane wyniki badań, które przy perfekcji warsztatowej nie wnoszą nowej wiedzy na dany temat?).

Zmiana paradygmatyczna w praktyce badań empirycznych w naukach społecznych

Na gruncie filozofii nauki pozytywizm poddawany był różnorodnej krytyce. Od czasu jego dominacji do współczesności zrodziły się nowe nurty myślowe, zarysowywały inne ideały nauki. Ale do lat 70. XX wieku dla metodologii nauk społecznych nie miało to większego znaczenia. Były wprawdzie

osoby, które prowadziły badania empiryczne w sposób odbiegający od opisanych w podręcznikach norm, odwołujące się do innych założeń filozoficzno-teoretycznych, ale jeśli nawet ich wyniki zostały dostrzeżone przez naukowy mainstream, to nie były uznawane za „w pełni” naukowe. W metodologicznych wykładniach dopuszczano je jako źródło hipotez wymagających sprawdzenia w „porządnych badaniach”, ewentualnie jako ciekawostki czy egzemplifikacje znanych już prawidłowości. Z perspektywy czasu zmiana, jaka dokonała się na gruncie badań empirycznych w latach 70. (w USA i Europie Zachodniej), ukazuje się jako „gwałtowna i uderzająca” (określenie amerykańskiej psycholog społecznej J.W. Schofield). I dlatego można przypuszczać, że jej uwarunkowania nie tkwią wyłącznie w naukowych przewartościowaniach, ale także (a może przede wszystkim) w zmianach społeczno-kulturowych, zmianach nastojów społecznych, wyrażających się w narastaniu niechęci i oporu wobec tradycyjnych struktur i stosunków społecznych. Obiektem krytyki stawała się wówczas także zinstytucjonalizowana nauka. Zarzucano jej, że za deklaracjami dążenia do prawdziwego poznania kryje się poznanie korzystne dla dysponujących władzą. Należy podkreślić, że zmiana w metodologii nauk społecznych, jaka rozpoczęła się w tym czasie, była następstwem zmian w praktyce badawczej – nie została zainicjowana przez filozofów, lecz przez osoby praktykujące badania empiryczne.

Ta zamiana popularnie określana jest jako zwrot w kierunku badań jakościowych, które w pobieżnych opisach przedstawiane są jako „odwrócenie” badań ilościowych (swobodne wypowiedzi ludzi w miejsce zestandaryzowanych; rezygnacja z wiodącej roli teorii, a więc z hipotez, małe próby badawcze, rezygnacja ze statystyki). W istocie zmiana nie ma charakteru technicznego, lecz jest zmianą paradygmatyczną. Tzn. inne wykonywanie czynności badawczych jest konsekwencją innego wyobrażenia (myślowego ujmowania) rzeczywistości społeczno-kulturowej, będącej przedmiotem nauk społecznych, innego wyobrażenia o możliwości jej poznawania i nadrzędnego celu poznania. Źródłem założeń konstytuujących owe wyobrażenia (przedstawienia) są różne koncepcje filozoficzne. Do najczęściej przywoływanych należą fenomenologia, hermeneutyka, filo-



Fot. Stefan Ciechan

zofia wiedzy, języka, dialogu, poststrukturalizm, narratologia (to wyciszenie można by kontynuować, przywołując bardziej konkretne stanowiska). W efekcie nazwa „badania jakościowe” stanowi parasol, pod którym mieszczą się nieporównywalne ze sobą metody badawcze. W tej orientacji nieporównywalne jest także rozumienie metody: raz jest traktowana jako zbiór przesłanek dla organizacji procesu badawczego (np. autoetnografia), innym razem przyjętym założeniem filozoficzno-teoretycznym towarzyszy metodycznie opracowany zespół czynności (np. biograficzny wywiad narracyjny F. Schütza). Warto zauważyć, że metodyczność postępowania (w wywiadzie narracyjnym – szczegółowe zalecenia jak prowadzić wywiad i jak go opracowywać) jest cechą właściwą klasycznym metodom badawczym, jest wyrazem tradycyjnego dążenia przez część badań jakościowych do ujednolicenia postępowania badawczego. Tworzy to niejako płaszczyznę do porównywania wyników.

W stronę metodologii rekonstrukcyjnej

Do tak zróżnicowanej praktyki badawczej nauk społecznych (często uzasadnianej zarówno na poziomie ontologicznym, jak i epistemologicznym) odnoszenie normatywnej metodologii naturalizującej świat społeczno-kulturowy (przyjęcie, że jest on zasadniczo taki sam jak świat natury) jest jak odnoszenie zasad pływania do latania albo chodzenia (można wprawdzie znaleźć między nimi jakieś podobieństwa, ale jaka korzyść może wyniknąć z tego dla latania czy chodzenia?). Czy w tej sytuacji w miejsce metodologii normatywnej postulować – również przywoływaną w podręcznikach – metodologię opisową? Ten „wariant” metodologii ma za zadanie rejestrowanie sposobów postępowania badawczego. Nie jest to jednak opis bezzałożeniowy, bo – jak przedstawia S. Nowak – ukierunkowuje się na „postępowanie badawcze w formalno-logicznej strukturze”, a więc przyjmuje kryteria tradycyjnej racjonalności. Pomija się tym samym pozanaukowe uwarunkowania przebiegów procesów badawczych, np. uwarunkowania społeczne (w tym polityczne), dostępność niezbędnych urządzeń, zbiegi okoliczności (działanie przypadku) – nie ma dla nich miejsca w tradycyjnym modelu nauki. Ich znaczenie ujawnia się jednak w obserwacji realnej praktyki badawczej, która dystansuje się od normatywnych przesłanek tradycyjnej metodologii. By wymienić tylko znaczenie kolektywu myślowego i właściwego mu stylu słowowego, opisywane przez Ludwika Flecka; formatujące znaczenie paradygmatów, w które nieświadomie „wchodzą” badacze (co jako pierwszy pokazał Thomas Kuhn); wspólnotowe pokonywanie praktycznych problemów w laboratoriach, niemające wiele wspólnego z normatywnym wzorem (etnograficzne obserwacje zapoczątkowane przez Bruno Latoura i Steve’a Woolgara).

Podtrzymywanie jednej normatywnej metodologii staje się dzisiaj coraz bardziej wątpliwe. W codziennej praktyce badawczej jej „użytkowanie” ulega swoistej rytualizacji – w publikacjach naukowych, a zwłaszcza w „pracach na stopień” opisy „metodologii badań własnych” są bardzo schematyczne. Jak zauważa J. Piekarski, w codzienności metodologia przekształca się w zbiór kryteriów ocennych o charakterze organizacyjno-administracyjnym. Mieczysław Malewski antidotum na entropię metodologii upatruje w dowartościowaniu figury badacza, odwrotnie niż w metodologii normatywnej nie jest on „dodatkiem do metody”, lecz jej twórcą. Każda osoba prowadząca badania powinna być swoim metodologiem. Zgadzam się z tym postulatem, jeśli zostanie potraktowany jako sygnał zmiany kierunku wektora, czyli przywołanie prostej prawdy, że to człowiek prowadzi badania, a nie metoda. Ale nikt nie rodzi się badaczem, wyobraźnia teoretyczno-metodologiczna, pozwalająca prowadzić badania nie tylko nowatorskie, ale i wiarygodne, musi być rozbudzana i kształtowana. I tu pomocna może być inacej

uprawiana metodologia – metodologia rekonstrukcyjna, ukierunkowana na odtwarzanie warunków praktyki badań empirycznych (ogólniej: warunków tworzenia wiedzy).

W tej perspektywie uprawianie nauki nie jest postrzegane jako rządząca się wewnętrznymi regułami enklawa (wieża z kości słoniowej), lecz jako jedna z praktyk społecznych, cechująca się specyficznymi właściwościami, ale jednocześnie wchodząca w relacje z innymi i podlegająca nadrzędnym procesom. Warunki znaczące dla praktyki badawczej mają różny poziom ogólności: od nadrzędnych procesów społeczno-kulturowych, poprzez sposoby organizacji instytucjonalnej nauki, po biograficzne doświadczenia badaczy. W związku z tym także rekonstrukcje mogą być bardzo różnorodne. Jacek Piekarski sprawdza np. konsekwencje wybranych zmian społeczno-kulturowych dla sposobów praktycznej realizacji cech tradycyjnie przypisywanych wiedzy naukowej. Od wiedzy naukowej oczekuje się m.in. pewności. Wyrazem dążenia do pewności w różnych sferach praktyki społecznej jest ekspertyzacja, a jej konsekwencją limitowanie ryzyka. Wiedza powinna być też użyteczna. Chce się to zagwarantować poprzez sprawdzone w innych sferach biurokratyczne zarządzanie, co prowadzi do formalizacji reguł tworzenia wiedzy. Spójrzmy na znaną sobie praktykę badawczą z perspektywy przywołanych haseł. Żeby znosić albo choćby osłabiać ograniczenia, trzeba sobie najpierw uświadomić ich źródła. (Pytanie, czy mamy wpływ na ich zmianę, należy do innej kategorii). Krytycznej rekonstrukcji powinna podlegać przede wszystkim własna zakończona praktyka badawcza, to jest najlepszy sposób na samodoskonalenie, na wzrost świadomości metodologicznej. Uważna czytelniczka, czytelnik mogą powiedzieć: przecież to nic nowego, przecież przykłady takich rekonstrukcji znaleźć można w literaturze przedmiotu. Tak, o tyle nie jest to nic nowego, że refleksja nad własnym działaniem jest warunkiem profesjonalności we wszystkich dziedzinach praktyki. Ale pełne rekonstrukcje projektów badawczych, ukierunkowane na odsłanianie czynników mniej oczywistych, są raczej rzadkie. I jeśli są podejmowane, to na gruncie badań niekonwencjonalnych (jakościowych). W (znanych mi) publikacjach prezentujących wyniki badań tradycyjnych potrzeby rekonstrukcji się nie dostrzega.

Większość empirycznych badań w pedagogice i w całej dziedzinie nauk społecznych odwołuje się do metodologii normatywnej. Wydaje się, że w pierwszym rzędzie taki wybór daje poczucie bezpieczeństwa, ponieważ przy poprawnym zastosowaniu metody nie ma podstaw do zakwestionowania badań. Oceniający mogą wprawdzie napomknąć, że badania mają „wtórny charakter” albo że są „przyczynarskie”, ale to ostatecznie nie ma większego znaczenia. Są też dyscypliny, w których nadal „obowiązuje” tradycyjne rozumienie metody. W naszym kraju taką dyscypliną jest psychologia, w której badania nie-normatywne stanowią wąski margines. Intencją mojej wypowiedzi nie jest krytyka normatywnej metodologii, lecz „upełnomocnienie” metodologii rekonstrukcyjnej, analogicznie jak swego czasu dokonało się zupełnomocnienie badań jakościowych (sam ten tekst ma charakter rekonstrukcyjny). Nie mam nic przeciwko prowadzeniu badań normatywnych, pod warunkiem że prowadzące je osoby są świadome uwarunkowań czynności badawczych oraz wynikających z nich konsekwencji dla ujmowania przedmiotu badań. Takie same oczekiwania kieruję pod adresem osób prowadzących badania nienormatywne. A pomocna dla spełnienia tych oczekiwań, dla wzrostu świadomości teoretyczno-metodologicznej może być metodologia rekonstrukcyjna, odsłaniająca nieoczekiwane powiązania.

Prof. dr hab. Danuta Urbaniak-Zajęc, kierowniczka Katedry Badań Edukacyjnych, Wydział Nauk o Wychowaniu Uniwersytetu Łódzkiego

Plagiaty w polskiej sinologii

Monografia habilitacyjna jest w zasadzie tłumaczeniem doktoratu obronionego w 1989 r. na Uniwersytecie Washington przez amerykańską profesor.

Opisana poniżej historia od trzech lat bulwersuje polskie środowisko sinologiczne, szczególnie zaś pracowników Wydziału Nauk Humanistycznych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II. Właśnie na tym wydziale, na przełomie stycznia i lutego 2019, dr Anna Izabella Król – od 5 lat adiunkt Katedry Sinologii WNH KUL – wspomniała władzom dziekańskim, że chciałaby się habilitować. Akurat w tym roku zaczęły obowiązywać nowe przepisy awansowe i na „starych zasadach” (zdaniem wielu: łatwiejszych), można było złożyć wniosek tylko do 30 kwietnia 2019 r.

Dr Król posiada dwa dyplomy magisterskie z UAM w Poznaniu: z sinologii (2002) oraz z historii sztuki (2005). Po studiach pracowała w administracji Muzeum Narodowego w Warszawie. Następnie pod opieką promotora, prof. Jerzego Malinowskiego, przez kilka lat przygotowywała eksternistycznie dysertację doktorską *Chiny w latach 1898-1937. Między artystyczną tradycją a sztuką Zachodu*. Doktorat, wysoko oceniony przez recenzentów (w tym prof. Romana Marię Sławińskiego), we wrześniu 2014 r. został obroniony na Wydziale Sztuk Pięknych UMK i dwa lata później wydany drukiem w Toruniu.

Od października 2014 r. dr A. Król została zatrudniona na KUL-u na wniosek recenzenta doktoratu, a równocześnie założyciela i pierwszego kierownika Katedry Sinologii KUL, prof. R.M. Sławińskiego (1931-2014). Ówczesna dziekan WNH KUL, dr hab. Magdalena Charzyńska-Wójcik, prof. KUL, kierownik Katedry Historii Języka Angielskiego i Translatoryki, ze zrozumieniem przyjęła chęć awansu naukowego dr Król. Sinologia została formalnie założona na KUL-u w październiku 2012 r. przez wybitnego warszawskiego sinologa, wówczas już 81-letniego, prof. R.M. Sławińskiego. Mimo wieku, skompletował on zespół i wierzył, że w Lublinie wychowa kolejnych następców. Wcześniej nestor badań sinologicznych dzielił naukowe i dydaktyczne życie między Uniwersytet Warszawski, Polską Akademię Nauk i Krakowską Akademię im. Frycza Modrzewskiego.

Środowisko sinologiczne w Polsce nie ma zbyt wielu samodzielnych pracowników naukowych, a dwa główne ośrodki kształcące studentów, doktorantów i kandydatów na profesorów to Uniwersytet Warszawski i Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Każdy nowy sinolog, szczególnie ten z habilitacją, bez trudu znajduje zatrudnienie i etat profesora uczelnianego. Lubelska Katedra Sinologii od śmierci prof. Sławińskiego w listopadzie 2014 r. nie miała kierownika.

Habilitacja na podstawie monografii

Na początku marca 2019 r. dziekan Charzyńska-Wójcik zwróciła się pisemnie do prof. dr hab. Lidii Kasarełło z Zakładu

Sinologii Instytutu Orientalistycznego UW z prośbą o wykonanie recenzji maszynopisu książki pt. *Twórczość literacka Su Shiego – nowe idee w ramach przyjętych reguł*. Pozycja ta miała być tzw. monografią habilitacyjną i dr Król zapewniała, że Wydawnictwo „scriptum” Tomasz Sekunda w Krakowie jest w stanie książkę bardzo szybko wydrukować. Prof. Kasarełło nie chciała początkowo recenzować książki, gdyż nie oceniała zbyt wysoko dorobku dr Król i uważała, że jest dwóch innych samodzielnych pracowników, którzy lepiej znają ten temat. W końcu na prośbę dziekan wyraziła zgodę i w recenzji z 12 kwietnia 2019 r. zaleciła poprawki i uzupełnienie bibliografii, w tym o polskie pozycje. Jak mnie ostatnio poinformowała, nigdy nie otrzymała poprawionego tekstu ani egzemplarza wydrukowanej książki.

Wcześniej, 20 grudnia 2018 r., recenzję innego maszynopisu dr Król pt. *Poezja inskrybowana na obrazach. Od dynastii Tang do Ming* na prośbę autorki wykonała dr hab. Irena Kałużyńska, profesor z Zakładu Sinologii UW, wskazując szereg kwestii, które wymagają poprawy. Także nie otrzymała poprawionego tekstu i nie miała potem żadnego kontaktu ani z wydawcą, ani z autorem. Książkę tę Wydawnictwo „scriptum” wydrukowało w 2018 r.

Plagiatowa bomba

Na początku kwietnia 2019 r. dr Katarzyna Pejda, adiunkt w Katedrze Sinologii Instytutu Studiów Klasycznych i Orientalnych KUL, zainteresowała się świeżo wydaną książką dr Anny Król *Su Shi – wiersze z zesłania* (Wyd. „scriptum”, Kraków 2018 r.), która podobno miała być jednym z jej osiągnięć naukowych w przewodzie habilitacyjnym. Już po lekturze spisu treści zorientowała się, że pozycja jest w zasadzie tłumaczeniem doktoratu *Poetry of exile and return: a study of Su Shi (1037-1101)*, obronionego na Uniwersytecie Washington w Seattle w 1989 r. przez dziś już emerytowaną profesor Kathleen M. Tomlonovic. Tekst amerykańskiego doktoratu po 20 latach został udostępniony (digital library) przez uczelnię w Internecie i łatwo go znaleźć.

Zbulwersowana dr Pejda przez kilka dni zastanawiała się, co zrobić z niespodziewanym odkryciem poważnej nierzetelności w książce koleżanki z katedry. W końcu 10 kwietnia formalnie, e-mailem, zawiadomiła kuratora Katedry Sinologii, prof. dr hab. Agnieszkę Dziubę z Katedry Filologii Łacińskiej KUL o podobieństwie treści obydwu pozycji. Ta poprosiła ówczesnego prodziekana ds. nauki dr. hab. Dariusza Skórczewskiego, prof. KUL, o porównanie obydwu pozycji. Ten filolog polski i literaturo-

znawca (świetnie znający angielski – spędził ok. 5 lat w USA, wykładając w Rice University w Houston oraz w University of Illinois w Chicago) złożył pani dziekan ustną opinię, że obie prace są znacznie tożsame, ale w książce dr Król brak jakiegokolwiek odniesienia do doktoratu Kathleen M. Tomlonovic.

29 kwietnia 2019 r. dziekan Charzyńska-Wójcik zorganizowała „rozmowę wyjaśniającą” z dr Anną Izabellą Król w obecności Kolegium Dziekańskiego i zaproszonej mecenas Magdaleny Hyps, której kancelaria reprezentuje KUL. Poinformowano o stwierdzonej zbieżności wydanej w 2018 r. książki w zakresie tematyki i struktury z pracą dr Tomlonovic. Adiunkt, początkowo zaprzeczając znajomości treści tego doktoratu, w końcu przyznała, że „zna tą rozprawę doktorską i częściowo z niej korzystała”. Następnie dodała: „Tak się pisze w Chinach o poezji oraz wyjaśniła, że jej praca nie jest monografią, a interpretacją, zgodną z dość powszechnie obowiązującą interpretacją tej poezji” (fragment notatki służbowej). Prof. Charzyńska-Wójcik poinformowała, że wobec „zbieżności publikacji” jest zobligowana jako dziekan do poinformowania władz rektorskich oraz rzecznika dyscyplinarnego, który winien przeprowadzić postępowanie wyjaśniające, zaś otwarcie przewodu habilitacyjnego jest suwerenną decyzją habilitanta.

Tego samego dnia dr Król złożyła wniosek do Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów (CK) o otwarcie przewodu habilitacyjnego na WNH KUL, w dyscyplinie literaturoznawstwo, przedstawiając jako główne osiągnięcie habilitacyjne pracę *Twórczość literacka Su Shiego – nowe idee w ramach przyjętych reguł* (Wydawnictwo „scriptum”, Kraków, 2019).

Z kolei następnego dnia, tj. 30 IV 2019 r., dziekan złożyła do ówczesnego rektora KUL, ks. prof. Antoniego Dębińskiego, wniosek o wszczęcie postępowania wyjaśniającego z powodu zbieżności książki *Su Shi – wiersze z zesłania* z amerykańskim doktoratem z 1989 r. Rzecznik dyscyplinarny, dr hab. Jan Mariusz Izdebski, prof. KUL, z Katedry Prawa Samorządu Terytorialnego i Nauki Administracji Wydziału Prawa, Prawa Kanonicznego i Administracji 16 maja 2019 r. wydał postanowienie o wszczęciu postępowania wyjaśniającego. Zwolnienia lekarskie dr Król i wakacje spowolniły czynności urzędowe rzecznika, ale po przesłuchaniu obwinionej 18 października i przedstawieniu jej zarzutów złożył on w listopadzie 2019 r. wniosek dyscyplinarny do Komisji Dyscyplinarnej przy Radzie Głównej Szkolnictwa Wyższego i Nauki w Warszawie. Zażądał w nim kary usunięcia z uczelni. Wniosku do tej chwili nie rozpoznano.

Z moich ustaleń wynika, że WNH KUL nie sporządził żadnej pisemnej, formalnej opinii dotyczącej zakresu i szczegółów przejęć dokonanych przez dr Król w jej książce *Su Shi – wiersze z zesłania*. Władze wydziału nie poinformowały o swoich ustaleniach wydawcy, Tomasza Sekundy, jak również nie zażądały formalnej retrakcji książki i zamieszczenia komunikatu o plagiacie na stronie internetowej Wydawnictwa „scriptum”, które znajduje się na ministerialnej liście wydawców punktowanych monografii.

Wydanie książki zostało sfinansowane prywatnie przez autorkę, która podobno wycofała część niesprzedanego nakładu. Wydawca, T. Sekunda, poinformował mnie telefonicznie o tym, że dokonał „poprawionego dodruku” (czyli II wydania) książki w liczbie 50 egzemplarzy.

Wniosek habilitacyjny

Pod koniec sierpnia 2019 r. dziekan Charzyńska-Wójcik otrzymała pismo z Biura CK z wnioskiem habilitacyjnym dr A. Król, która wyraziła wolę habilitowania się na WNH KUL. Uprawnienia habilitacyjne z literaturoznawstwa posiadała wtedy i posiada obecnie tamtejszy Instytut Literaturoznawstwa. 12 września 2019 r. dziekan przesłała krótkie pismo do CK, w któ-

rym poinformowała, że wstrzymuje procedowanie wniosku do czasu zakończenia postępowania wyjaśniającego wobec habilitantki. W kolejnym piśmie z 11 grudnia 2019 r. zakomunikowała, że w związku z wynikiem postępowania wyjaśniającego jako dziekan nie przyjmuje wniosku dr Król do dalszego procedowania. W żadnym z pism nie wspomniano o istocie sprawy, czyli o zarzucie plagiatu w książce, która figuruje w dorobku naukowym habilitantki. Muszę nadmienić, że prof. Charzyńska-Wójcik parokrotnie rozmawiała z Biurem CK i jasno mówiła o jaskrawym plagiacie oraz oburzeniu panującym na wydziale.

Jednak we wszystkich procedurach liczy się to, co zostało napisane, a nie to, co mówiono w zaciszu gabinetów. Biuro CK zażądało formalnej uchwały, dlatego Rada Instytutu Literaturoznawstwa WNH KUL spotkała się 22 stycznia 2020 r. Po wyczerpującej dyskusji prawie jednogłośnie (46 głosów przeciw, 1 głos za) odmówiono procedowania wniosku habilitacyjnego dr Anny Król, jasno wskazując, że w wyniku dyscyplinarnego postępowania wyjaśniającego stwierdzono przywłaszczenie sobie autorstwa części cudzego utworu i popełnienie czynu mającego znamiona przestępstwa plagiatu. Uchwałę tę dziekan Charzyńska-Wójcik wysłała do Biura CK.

Jak się dowiedziałem, zarówno w semestrze zimowym, jak i semestrze letnim 2019/2020 dr Anna Król była odsunięta od zajęć ze studentami, co zmusiło pozostały zespół Katedry Sinologii do realizowania wielu nadgodzin. Formalnie przebywała też przez część tego okresu na zwolnieniach lekarskich. We wrześniu 2020 r., w związku ze zbliżającym się nowym rokiem akademickim, dziekan Charzyńska-Wójcik zwróciła się do nowego rektora KUL z wnioskiem o zawieszenie dr A. Król na okres pół roku, do 30 marca 2021 r., z powodu postępowania dyscyplinarnego. Jednak ze względu na usprawiedliwianą chorobą nieobecność habilitantki oraz „zapodzianie się” pisma w Dziale Organizacyjno-Prawnym uczelni decyzja o zawieszeniu była odsunięta w czasie.

Przewód habilitacyjny

W związku z odmową procedowania w Lublinie wniosek habilitacyjny dr A. Król, pomimo informacji z KUL o popełnieniu przez kandydatkę plagiatów, został wiosną 2020 r. skierowany przez CK do Rady Dyscyplin Językoznawstwo i Literaturoznawstwo UAM w Poznaniu. Na początku września 2020 r. ostatecznie została sformowana komisja habilitacyjna pod przewodnictwem prof. Krystyny Wilkoszewskiej z UJ w Krakowie. Dwóch wyznaczonych jeszcze w czerwcu 2020 r. recenzentów zrezygnowało z realizacji tego zadania. Napisania recenzji podjęli się ostatecznie: dr hab. Marcin Jacoby z Uniwersytetu SWPS, dr hab. Józef Pawłowski z Katedry Sinologii Wydziału Orientalistycznego UW oraz prof. Dominik Mierzejewski z Ośrodka Spraw Azjatyckich UŁ. Wszystkie trzy recenzje okazały się negatywne.

Najbardziej uderzająca okazała się pierwsza recenzja autorstwa M. Jacobiego, prof. SWPS, który szczegółowo udowodnił, że monografia habilitacyjna pt. *Twórczość literacka Su Shiego – nowe idee w ramach przyjętych reguł* jest plagiatem książki dr Bi Xiyana *Creativity and convention in Su Shi's Literary Thought*, wydanej w 2003 r. przez Edwin Mellen Press (USA). Jest to dosyć dokładne tłumaczenie amerykańskiej książki, z pominięciem 7 podrozdziałów. Praca dr Bi Xiyana została zupełnie pominięta w bibliografii! Recenzent podkreślił, że w spisie literatury zawarto cztery polskie pozycje, ale autorka w żaden sposób nie odnosi się do nich w tekście monografii. Profesor Vivian (Bi) Xiyan jest Australijką pochodzenia chińskiego (urodziła się w Chinach i tam skończyła Uniwersytet Pekijski). Mieszka od wielu lat w Australii, tam obroniła doktorat i jest uczennicą wybitnej sinolożki pochodzenia polskiego, wieloletniej profe-

sor Uniwersytetu w Sydney, dr Agnieszki D. Syrokomli-Stefanowskiej (1936 Kraków – 2008 Sydney).

Kolejna pozycja książkowa habilitantki, *Poezja inskrybowana na obrazach od dynastii Tang do Ming* (Kraków, Wyd. „scriptum”, 2018 r.), jest „plagiatową składanką”. Wstęp to tłumaczenie wstępu doktoratu Wanga Wenxina pt. *A social history of painting inscriptions in Ming China (1368-1644)*, obronionego na Uniwersytecie w Lejdzie, w Holandii. Dalsze rozdziały pochodzą z książki dr Daan Pana pt. *The lyrical resonance between Chinese poets and painters: The tradition and poetics of Tihuashi*, wydanej w 2011 r. przez amerykańskie wydawnictwo Cambria Press. W zestawieniu bibliograficznym tej monografii nie figuruje tłumaczona przez nią książka.

Z kolei książka *Tao Yuanming. Poezje* (Kraków, Wydawnictwo „scriptum”, 2018 r.) wydaje się, zdaniem recenzenta, tłumaczeniem książki dr Wendy Swartz *Reading Tao Yuanming: Shifting Paradigms of Historical Reception (427-1900)*, opublikowanej w 2008 r. przez Harvard University Press. Chciałbym dodać, że autorka jest profesorem literatury chińskiej i dyrektorem Szkoły Doktorskiej w Rutgers University New Brunswick w New Jersey.

Publikacja dr Król *Antologia Ci – poezji pisanej do muzyki* (Wyd. „scriptum”, Kraków 2018 r.) wskazuje na tłumaczenie opracowania w języku chińskim, które nie jest dostępne w internecie. Recenzent zasugerował jednak konkretną pracę autorstwa Ye Jiaying wydaną na Tajwanie w 1988 r., choć zaznacza, że nie miał do niej pełnego dostępu.



Prof. Marcin Jacoby zwrócił uwagę na to, że habilitantka (oprócz monografii habilitacyjnej wydanej w 2019 r.) zgłosiła do oceny dwie monografie naukowe opublikowane w 2018 r., cztery zbiory tłumaczonych z chińskiego wierszy w autorskim wyborze, wraz z wprowadzeniami teoretycznymi, wydane w latach 2017-2018. Wszystkie te pozycje wydrukowało Wydawnictwo „scriptum” Tomasza Sekundy. W dorobku naukowym jest także 6 artykułów naukowych opublikowanych w okresie 2015-2018, w tym pięć w „Rocznikach Humanistycznych”, w zeszycie „Sinologia”, wydawanych przez Towarzystwo Naukowe KUL w Lublinie.

Jego zdaniem: „Wydaje się wątpliwe, by jeden naukowiec był w stanie w ciągu dwóch lat (2017-2018) wydać trzy monogra-

fie naukowe (trzecia wydana w 2019 r. – red.) na różne tematy, każdą o objętości 200 stron tekstu, oraz cztery zbiory wierszy w autorskim wyborze, zawierającym w sumie ponad 150 wierszy we własnym przekładzie. Byłoby to przykładem geniuszu i ogromnej pracowitości Autorki, nawet jeśli uznamy, że nad wszystkimi tymi publikacjami pracowała przez parę wcześniejszych lat”. Publikacje te nie są dostępne na rynku księgarskim. Biorąc pod uwagę, że habilitantka przedstawiła jako swój dorobek prace, które naruszają prawa autorskie innych osób, recenzent zakończył wnioskiem negatywnym.

Negatywne były też pozostałe dwie recenzje: dr. hab. Józefa Pawłowskiego z UW (potwierdził plagiat jednej monografii, ale jednocześnie z uznaniem wypowiedział się o wysokiej wartości literackiej przekładu wierszy) oraz prof. Dominika Mierzejewskiego z UŁ. Ten ostatni ocenił negatywnie deskryptywny charakter opracowań – często w oparciu o chronologiczną narrację, bez próby weryfikacji hipotez i pytań badawczych. Zarzucił brak wykorzystania materiałów z bazy cnki.net, publikowanie „w obiegu zamkniętym”, czyli w jednym wydawnictwie i jednym czasopiśmie, brak konfrontacji badań w obiegu krajowym i międzynarodowym, czyli udziału w konferencjach i zjazdach.

Komisja habilitacyjna, która obradowała 15 stycznia 2021 r., jednogłośnie wniosowała o nienadanie stopnia i zaapelowała do władz UAM o wszczęcie kroków dyscyplinarnych oraz karnych w stosunku do habilitantki. Rada Dyscypliny, która zebrała się pod kierownictwem prof. Katarzyny Dziubalskiej-Kołączyk, prawie jednogłośnie (60 głosów przeciw nadaniu, jeden głos za nadaniem stopnia) odmówiła nadania stopnia. Habilitantka się nie odwoływała.

Dwie recenzentki wydawnicze, prof. Lidia Kasarełło oraz prof. Irena Kałużyńska, w formalnych listach z początku maja 2022 r. adresowanych do właściciela Wydawnictwa „scriptum” unieważniły swoje pierwotne recenzje wydawnicze i stwierdziły, że recenzowane przez nie maszynopisy to plagiaty uprzednio wydanych książek. Obie profesorki uznały, że zostały wprowadzone w błąd przez dr A. Król.

Trzeba wiedzieć, że w przypadku takich poważnych plagiatów wydawnictwo ma obowiązek opublikować formalną retrakcję (unieważnienie) nierzetelnych publikacji, która „na zawsze” powinna być umieszczona na stronie internetowej Wydawnictwa „scriptum”. Tak się jednak nie stało.

Jak mnie poinformowano, KUL nie płacił za postępowanie habilitacyjne w Poznaniu. Nowy rektor, ks. prof. Mirosław Kalinowski, w połowie września 2021 r. zawiesił dr Annę Król na okres 6 miesięcy, z obniżeniem uposażenia do 50%. Decyzja ta została zaskarżona przez nią do Sądu Pracy w Lublinie. Mam nadzieję poinformować o wyniku w następnych numerach. Obecnie dr Król nadal jest zatrudniona na pełnym etacie, ale nie świadczy pracy.

W końcu marca 2022 r. obecny dziekan Dariusz Skórczewski wystąpił z wnioskiem do rektora KUL o zwolnienie nierzetelnej adiunkt z pracy. Władze rektorskie podjęły już odpowiednie kroki aby to stało się z końcem semestru letniego br. Wciąż nie ma jednak orzeczenia z prowadzonego od końca 2019 r. postępowania dyscyplinarnego, które zbyt wolno toczy się w Warszawie przed Komisją Dyscyplinarną przy RGNiSW (przewodnicząca: prof. Hanna Paluszkiwicz). Utrudnia to uczelni podejmowanie decyzji.

Dr Anna I. Król nie odpowiedziała na dwukrotną prośbę redakcji o komentarz do tej sprawy. Z kolei wydawca, Tomasz Sekunda, po zapytaniu o retrakcję nierzetelnych książek, odesłał nas do swojego prawnika.

Chcą zmian w stypendiach

W przeświadczeniu samych studentów jeden wspólny ranking premiuje średniactwo, a dodatkowo antagonizuje ich przeciwko sobie i rodzi animozje w samym środowisku sportowym.

Julia Kulczycka studiuje zarządzanie inżynierskie. Właśnie kończy drugi rok. Także od dwóch lat otrzymuje stypendium rektora. To nagroda nie tylko za dobre wyniki w nauce (w ostatnim semestrze uzyskała średnią 4,5), ale przede wszystkim docenienie znakomych osiągnięć sportowych. Julia sięgnęła po brązowy medal Akademickich Mistrzostw Polski w trójboju siłowym klasycznym i jest jedną z 91 osób uhonorowanych w tym roku stypendium rektora Politechniki Gdańskiej (dla porównania w największej polskiej uczelni Uniwersytecie Warszawskim stypendium przyznano 126 studentom). Uczelnia od dwóch lat nie ma sobie równych w klasyfikacji generalnej cyklu.

– Jako studentka nie mam stałych dochodów, a stypendium pozwala mi opłacać dietetyka, trenera. W trójboju musimy o te

aspekty zatroszczyć się same, każda z nas potrzebuje innego podejścia, prowadzenia na treningach – tłumaczy.

Julia Dziuba z kolei (na fot.) wszystko, co potrzebne do uprawiania sportu, ma zapewnione od klubu. Dlatego, studiując na III roku prawa na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej, stypendium przeznacza na inny cel. Dostała je po raz pierwszy, choć starała się o nie już wcześniej. Wtedy zabrakło jej punktów, postanowiła więc z myślą o swojej przyszłości poprawić średnią. Odłożone dziś pieniądze przydadzą się do opłacenia aplikacji.

– Traktuję je jako inwestycję w siebie, ale uważam, że skoro już na nie zapracowałam, czemu nie miałabym wydać choćby części tej kwoty na jakieś drobne przyjemności? Wyjazdy, treningi, zawody, a do tego sporo nauki. Musiałam naprawdę się postarać – nie kryje dumy szczypiornistka I-ligowego AZS UMCS Lublin, podkreślając, że przed nią kumulacja, czyli letnia sesja i finały AMP.

Dla obu zawodniczek stypendium jest miłym, ale jednak tylko dodatkiem do sportowej aktywności. Nie odczuwają w związku z nim presji na wynik. Motywację też znajdują bardziej w rywalizacji czy towarzyszących jej emocjach.

– Sport jest dziedziną życia, z której czerpię dużo satysfakcji. Spełniam się w niej, ale nie patrzę na to, jako na coś, co muszę zrobić, by dostać stypendium – przekonuje skrzydłowa AZS UMCS, która w ubiegłym sezonie wraz z drużyną zajęła pierwsze miejsce w rywalizacji uniwersytetów i drugie w generalnej klasyfikacji AMP w piłce ręcznej.

Takich jak one, studentów i studentek otrzymujących stypendium rektora, są w całym kraju tysiące. Działają na różnych polach, nie tylko sportowym, ale także artystycznym czy naukowym. Uzyskane osiągnięcia przeliczane są na punkty, które ostatecznie decydują o przyznaniu środków. Ich wysokość jest zróżnicowana, nie tylko w odniesieniu do poszczególnych uczelni (szczegóły w ramce). To, obok stypendiów socjalnych, jedna z dwóch podstawowych form wspomagania finansowego studentów. Uregulowała je na nowo przyjęta cztery lata temu ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce.

– W procesie przyznawania stypendium rektora sporządzana jest jedna lista rankingowa, odrębnie dla każdego kierunku studiów, na której umieszczani są wszyscy studenci danego kierunku z różnymi osiągnięciami. Punkty za nie są sumowane. Oznacza to, że student sportowiec może otrzymać punkty za wszystkie wskazane przez siebie we wniosku rodzaje osiągnięć (średnią ocen, osiągnięcia sportowe, naukowe i artystyczne). Stypendium otrzymuje nie więcej niż 10% studentów na danym kierunku – informuje Aneta Adamska, rzeczniczka



PH. ŁUKASZ GONJEK / FREEZE THE MOVE

prasowa UMCS, uczelni, która w tym roku akademickim przyznała w sumie 1573 stypendia rektora.

Tyle w teorii. Coraz częściej można bowiem usłyszeć głosy, że system ten jest mniej korzystny dla studentów sportowców od poprzedniego. Przykładem takiej dyskryminacji może być choćby zapis wskazujący, że do stypendium kwalifikują się osiągnięcia odniesione we współzawodnictwie co najmniej na poziomie krajowym. Do sukcesów naukowych można więc zgłosić publikację w mało znaczącym czasopiśmie, do artystycznych – wystawę w regionalnym muzeum, ale punktów za zawody o takim charakterze już się nie dostanie. Podobne zróżnicowanie występuje w przypadku studentów I roku. Ustawa mówi, że stypendium przysługuje laureatom olimpiad przedmiotowych, zarówno międzynarodowych, jak i krajowych (w tym drugim przypadku także finalistom), a w przypadku sportu medalistom Mistrzostw Polski. Tyle że medale w danej dyscyplinie są ledwie trzy, podczas gdy np. w olimpiadach historycznych grono finalistów liczy nierzadko kilkadziesiąt osób.

Wcześniej, przed 2018 rokiem, sytuacja wyglądała zgoła inaczej. Rozdzielano wówczas te trzy obszary: artystyczny, naukowy, sportowy, i dla każdego uczelnie tworzyły odrębne rankingi. Miało to uzasadnienie o tyle, że tych osiągnięć nie sposób porównywać. Są na tyle odmienne, że trudno znaleźć dla nich jakiegokolwiek punkty stykowe. Bo czy maksymalna średnia albo maksimum punktów za działalność naukową to równoważność złotego medalu olimpijskiego? A może „tylko” mistrzostw Polski? Jak porównać dorobek kogoś ze średnią 5,0 i jedną publikacją na koncie ze zwycięstwem na igrzyskach? To siłą rzeczy prowadzi do sytuacji, w której uczelnie niezbyt otwarte na sport faworyzują inne osiągnięcia i na odwrót – jeśli eksponuje się sportowców, pozostali są niezadowoleni.

– Z mojego punktu widzenia lepiej, gdyby te aktywności były oddzielone. Nie odmawiam nikomu pracy, jaką trzeba włożyć w zdobycie stypendium naukowego, ale wydaje mi się, że to jednak nie jest ten sam nakład sił. Do wyniku sportowego nie liczy się pojedynczy mecz, to także wielomiesięczne treningi przygotowujące – wyjaśnia Julia Dziuba.

W przeświadczeniu samych studentów jeden wspólny ranking premiuje średniactwo, a dodatkowo antagonizuje ich przeciwko sobie i rodzi animozje w samym środowisku sportowym. Dobrym przykładem są tu chociażby gry zespołowe – sól każdego sportu. W jednej drużynie może występować gracz kształcący się np. na ekonomii, który dostaje stypendium, i inny – studiujący grafikę – bez takiego wsparcia. Obaj mają tę samą średnią, tyle że pierwszy kierunek jest bardziej oblegany i łatwiej się dostać na listę.

Chcąc naprawić te systemowe ułomności, Akademicki Związek Sportowy wyszedł z propozycją zmian. Zaproponowano dwie kluczowe korekty: uwolnienie limitu 10% i oddzielne listy rankingowe.

– Osiągnięcia naukowe są zbliżone w ramach danego kierunku. Natomiast osiągnięcia sportowe i artystyczne proponujemy wyłączyć i stworzyć uczelniane listy rankingowe, oddzielne dla obu tych obszarów. To powrót do tego, co dobrze funkcjonowało jeszcze kilkanaście lat temu. Jeśli ktoś ma ekstra wynik sportowy lub osiągnięcia artystyczne, to będzie wysoko na liście, oczywiście pod warunkiem zaliczenia kolejnego roku. Obecnie dochodzi do sytuacji, w których studenci grający w jednej drużynie, mając takie same osiągnięcia i identyczną średnią, znajdują się w różnych miejscach rankingów i jeden otrzymuje stypendium, drugi nie – tłumaczy Jakub Kosowski, wiceprezes AZS ds. finansowych.

Wśród zgłoszonych propozycji jest także rozszerzenie zakresu własnych funduszy stypendialnych. Przed 2018 r. uczelnia, która wygospodarowała środki na stypendia z tego fun-

Ile płacą rektorzy?

Na Politechnice Gdańskiej studenci I roku studiów I stopnia dostają co miesiąc 850 zł, pozostali od 500 do 850 zł. W UMCS o kwocie decyduje pozycja w rankingu – można otrzymać od 500 do 1200 zł. Podobnie w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego (200–1500 zł), Uniwersytecie Śląskim (1000–1300 zł), Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu (450–1150 zł), Politechnice Wrocławskiej (625–875 zł), Akademii Górniczo-Hutniczej (400–900 zł) czy Gdańskim Uniwersytecie Medycznym (450–800 zł). Na niektórych uczelniach zdecydowano się na jedną stawkę: na Uniwersytecie Warszawskim to 915 zł, Uniwersytecie Rzeszowskim 1200 zł, Politechnice Warszawskiej 800 zł, Warszawskim Uniwersytecie Medycznym 600 zł, Uniwersytecie Medycznym we Wrocławiu 800 zł.

(Dane na podstawie informacji pozyskanych z uczelni oraz dostępnych na stronie www.mojestypendium.pl.)

duszu, sama decydowała, za jakie osiągnięcia je przyznawać. Ustawa PSWN związała ręce rektorom, dopuszczając nagradzanie jedynie dorobku naukowego. Studenci z sukcesami na polu artystycznym czy sportowym zostali wykluczeni. Gdyby zmiany przygotowane przez AZS udało się przeformułować, również i oni mogliby być docenieni, tak jak miało to miejsce wcześniej.

– Liczymy na przychyłność władz uczelni w lobbowaniu za tą nowelizacją, bo daje ona swobodę i rektorom, i samorządom studenckim. Nie generuje problemów typu: ktoś dostał stypendium, a ktoś nie, czy sukces wart jest więcej, a czy mniej – przekazuje Kosowski, zaznaczając, że na temat planowanych zmian rozmawiano już z KRUP i KRASP.

Dodaje, że opracowując propozycję nowelizacji, nie zajmowano się tym, ile środków przeznaczyć na sfinansowanie każdej z trzech grup stypendialnych. Jego zdaniem, ustalenie tego na poziomie ustawowym jest błędem. Bazując na rozwiązaniach sprzed lat, ocenia, że powinno się to określać z perspektywy uczelni. To rektor i samorząd studentów, uwzględniając specyfikę danej uczelni, wiedzą najlepiej, w jakich proporcjach rozdzielić środki za konkretne osiągnięcia. Tam, gdzie np. przeważają dokonania artystyczne nad sportowymi, można byłoby odpowiednio dopasować liczbę stypendiów do każdej z tych kategorii.

– Nie chcemy iść w tym kierunku, by nawet za marginalne osiągnięcia przyznawać stypendium. Obecny wymóg osiągnięcia wyników na poziomie co najmniej krajowym jest jednak krzywdzący. Chcemy dopasować kryteria do specyfiki współzawodnictwa sportowego, także w sporcie akademickim. Zresztą, jak popatrzymy na system sprzed lat, to sytuacji premiowania marginalnych osiągnięć nie było. Nam chodzi przede wszystkim o spójność systemu, by by charakter osiągnięć był porównywalny. Nie zamierzamy przy tym nikogo faworyzować – przekazuje Kosowski.

Jemu samemu w obecnej ustawie brakuje stypendialnej wizji. Uczelnie, owszem, przyciągają sportowców, ale nie są w stanie im niczego konkretnego zaoferować. Słabsze wyniki w nauce dyskwalifikują nawet topowego zawodnika. Rektor mógłby przyznać mu środki z własnego funduszu stypendialnego, ale nie ma takiej możliwości. Wyniki z rankingu ogólnego mogą się z kolei zmieniać na tyle, że dziś stypendium się należy, a za rok już nie.

– W obecnym systemie jest za dużo niewiadomych i dlatego nie jest on zbyt atrakcyjny dla studenta sportowca. My proponujemy pewną przewidywalność, a zarazem elastyczność po stronie uczelni – zapowiada wiceprezes AZS.

Projekt nowelizacji został już przedłożony ministrowi edukacji i nauki. Jeśli zmiany udałoby się w miarę szybko przeprowadzić, zostaną wprowadzone w życie najpóźniej od października 2023 roku.

Uczony i wiara

Ci, którzy deklarowali niewiarę w Boga, niejednokrotnie przyznawali, że w okresie młodzieńczym stoczyli swoistą walkę między religią i nauką, a na to, że zerwali z tą pierwszą, wpływ miało nie tyle ich akademickie otoczenie, ile rodzinne wychowanie.

Jeśli nawet jest przesadą twierdzenie, że uczelnie są świątynią wiedzy, to zapewne niejedynemu uczonemu zgodzi się z tym, że mogą, a nawet powinny nią być. Co to byłyby jednak za świątynie, gdyby nie było w nich miejsca na wiarę? Rzecz jasna takie miejsce tu było i jest. Problem w tym, że wiara miała różne formy wyrazu, w tym takie, które spotykały się ze sprzeciwem kościelnych autorytetów.

Tradycje

Praktycznie aż do połowy XIX stulecia uczelnie miały charakter wyznaniowy, to znaczy nie tylko znajdowały się pod kuratelą różnych kościołów, ale także od ich kadry badawczej i dydaktycznej oraz studentów wymagano deklaracji wiary religijnej, która była kultywowana w tych wspólnotach wyznaniowych, a także realizacji w praktyce ich norm moralnych. Dzisiaj z tej tradycji na niektórych wiodących uczelniach pozostały już tylko „szylidy”, takie np. jak nazwy najstarszych kolegów uniwersytetów w Cambridge i Oxfordzie. Jednak przez wiele stuleci były to realia, z którymi musiał się poważnie liczyć każdy uczony, a ci, którzy podchodzili do nich zbyt lekko, mieli zawodowe i życiowe kłopoty. W historii nauki zapisali się jednak głównie ci z nich, którzy przedstawili poważne racje dla swojego votum separatum przynajmniej wobec niektórych religijnych wierzeń i praktyk. Przywołam dwa przykłady takich uczonych.

Pierwszym z nich jest Galileusz (wł. Galileo Galilei), matematyk i astronom, wykładowca uniwersytetu w Padwie. Idąc za wskazaniem Mikołaja Kopernika, przedstawionymi w dziele *O obrotach ciał niebieskich*, utrzymywał on, że to Słońce, a nie Ziemia znajduje się w centrum tego układu planetarnego i nasza planeta obraca się wokół tej gwiazdy. Z tym poglądem, nie tylko w czasach Galileusza, lecz jeszcze długo później, nie mogły lub po prostu nie chciały się zgodzić kościelne autorytety. Luter nazwał Kopernika „prowincjonalnym mędrkiem”, a cenzorzy Kościoła rzymskiego postawili włoskiego uczonego przez inkwizycyjnym sądem i zmusili do złożenia deklaracji, że nie będzie uznawał kopernikańskich poglądów, ani też ich upowszechniał w żadnej formie. Do pełnej rehabilitacji tego uczonego doszło dopiero w 1939 r. (pap. Pius XII uznał go wówczas za „jednego z najodważniejszych bohaterów badań”), a zaliczenie wyroku rzymskiej inkwizycji do błędów Kościoła miało miejsce dopiero w 1992 r. (pap. Jan Paweł II stwierdził, że „ci teolodzy, którzy potępił Galileusza, nie uznali formalnego rozróżnienia między Biblią i jej interpretacją”).

W nauce niejednokrotnie znaczenie miała i ma nie tylko odwaga, jakiej dał wyraz włoski uczony, ale także rozwaga, jaka była udziałem angielskiego matematyka, fizyka i astronoma Izaaka Newtona. Był on absolwentem Kolegium Świętej Trójcy (Trinity College) Uniwersytetu Cambridge, a później jego wykładowcą. Oznaczało to dla niego nie tylko obowiązek podzielenia poglądów Kościoła anglikańskiego w kwestiach wiary, ale także przyjęcia święceń kapłańskich i nauczania zgodnie z jego wymaganiami. Fundamentalnego dzieła Newtona pt. *Matematyczne zasady filozofii naturalnej* z całą pewnością nie można uznać za najlepszy podręcznik do tego nauczania, nawet przy daleko idącej wyrozumiałości dla jego upodobania do filozofowania i przedstawiania wszechświata w kategoriach matematycznych. Wprawdzie znajduje się w nim deklaracja, że pisząc je, miał na względzie „pomoc w uwierzenie w istnienie i moce sprawcze bóstwa”, to jednak o Bogu i wierzeniach w jego moce mówi się głównie w kończącym rozważania niewielkim komentarzu. Dopiero w drugiej połowie XX w. ujawnione zostały rękopisy, w których przedstawił on swoje faktyczne wierzenia i ich gruntowne uzasadnienie. W ich świetle Bóg wprawdzie istnieje, ale wiara w to, że istnieje on w trzech postaciach (Ojca, Ducha i Syna Bożego) jest po prostu bałwochwalstwem. Jedno z jego pism religijnych zatytułowane jest *Historyczny opis dwóch znaczących przekłamań Pisma Świętego* (przedstawione w nim zostało m.in. przekłamanie dotyczące centralnego miejsca Ziemi we wszechświecie).

Stephen D. Snobelen w artykule opublikowanym w „British Journal for the History of Science” przedstawia Newtona jako heretyka, który dobrze ukrywał swoją herezję. Zgodziłbym się jedynie częściowo z tą opinią. Nie podpisałbym się jednak pod twierdzeniem, że był heretykiem. Przede wszystkim dlatego, że za uprawnione do orzekania o herezji uznaję wyłącznie instytucje kościelne, a przez żadną z nich Newton (póki co) nie został uznany za heretyka. Jeśliby przyznać takie uprawnienia poszczególnym komentatorom wypowiedzi różnych uczonych, to mogłoby się okazać, iż w ich gronie jest tak wielu heretyków, że różne nauki głównie na nich budowały i budują swoją pozycję, a w moim przekonaniu ani tak nie było, ani też tak nie jest dzisiaj.

Uczni amerykańscy

Przedstawię w skrócie stosunek współczesnych uczonych amerykańskich do religijnej wiary. Dlaczego ich, a nie innych?

Przede wszystkim dlatego, że ci uczeni od lat zajmują czołowe miejsca w osiągnięciach naukowych, a amerykańskie uczelnie notorycznie okupują najwyższe pozycje w różnego rodzaju rankingach (może to być irytujące, jak i zachęcające do naśladownictwa). Istotne znaczenie ma również to, że ich stosunek do wiary został gruntownie zbadany i przedstawiony w naukowych publikacjach. Jedną z nich jest opublikowana w 2010 r. książka Elaine H. Ecklund pt. *Science vs. Religion*. Znajdują się

w niej wyniki badań wiary uczonych zatrudnionych na kilkunastu wiodących amerykańskich uniwersytetach, w tym tak prestiżowych jak uniwersytety Harvard, Duke czy Princeton. Jej autorka formuje generalną tezę, że nauka stopniowo odeszła od misji, jaką było krzewienie wiary, i przeszła do krzewienia wizji autonomicznego ludzkiego rozumu. Dla jej potwierdzenia podaje m.in., że ok. 64% uczonych deklaruowało w jej badaniach niewiarę w Boga. Jednak z zamieszczonego przez



nią tabelarycznego zestawienia wynika, że jedynie 34% było pewnych tego, że Bóg nie istnieje. Natomiast 30% stwierdziło, że nie ma możliwości definitywnego rozstrzygnięcia tej kwestii. Tak czy inaczej wskaźniki te ostro kontrastują z różnymi wierzeniami kulturowanymi przez zdecydowaną większość społeczeństwa amerykańskiego. Jakąś ich próbką może być to, że ok. 30% Amerykanów wierzy w nawiedzone domy, niewiele mniej w istnienie Wielkiej Stopy.

E.H. Ecklund przeprowadziła również indywidualne rozmowy z niektórymi uczonymi. Większość jej rozmówców nie dostrzegała nieprzewidywalnego konfliktu między religią i nauką. Jednak wielu z nich uznało teorię ewolucji za najlepsze wyjaśnienie życia na Ziemi. Interesujące są podawane w tych rozmowach uzasadnienia zarówno ich wiary, jak i niewiary. Niektórzy z wierzących w istnienie Boga twierdzili, że wiara pozytywnie wpływa zarówno na ich relacje ze studentami, jak i podejmowane problemy badawcze. Byli wśród nich również tacy, którzy twierdzili, że katolicyzm daje się stosunkowo łatwo pogodzić z nauką. Natomiast ci, którzy deklarowali niewiarę w Boga, niejednokrotnie przyznawali, że w okresie młodzieńczym stoczyli swoistą walkę między religią i nauką, a na to, że zerwali z tą pierwszą, wpływ miało nie tyle ich akademickie otoczenie, ile rodzinne wychowanie. Sporo do myślenia mogą dać również procentowe wskaźniki wierzących w poszczególne dyscypliny naukowych. Podane są one m.in. w opublikowanym w 2007 r. przez E.H. Ecklund i Christopha Scheitle'a artykule pt. *Religion among academic scientists: Distinctions, disciplines, and demographics*. W świetle ich ustaleń, spośród deklarujących wiarę w Boga przedstawicieli nauk społecznych (będących profesorami amerykańskich uczelniach) 30% stanowili politolodzy, 25,2% ekonomiści, 23,7% psychologowie i 20,8% socjologowie. Natomiast z przedstawicieli nauk przyrodniczych 29,1% stanowili chemicy, 19% fizycy i 17,4% biologowie. Jest wprawdzie pewna różnica między przedstawicielami tzw. twardych i miękkich nauk, jednak nie jest ona aż tak radykalna, aby można byłoby powiedzieć, że te pierwsze w zdecydowanie większym stopniu niż te drugie skłaniają do religijnej niewiary.

Polscy uczeni

Religijność polskich uczonych była również przedmiotem naukowych badań socjologów religii. Ich wyniki zostały przedstawione m.in. w książce Marii Libiszowskiej-Żółtkowskiej pt. *Wiara uczonych*. Mimo że pochodzą one z końca minionego stulecia, to nadal publikacja ta zawiera stosunkowo najpełniejszy obraz wierzeń i praktyk religijnych grupy uczonych definiowanych jako „profesorowie wyższych uczelni” (w jej skład wchodzi zarówno osoby posiadające profesorski tytuł, jak i doktorzy habilitowani zajmujący stanowisko profesora uczelni). Grupa tych respondentów nie jest jednak liczna, bowiem „na 960 wysłanych ankiet uzyskano zwrot 447 wypełnionych kwestionariuszy oraz 71 uzasadnionych odmów”. Przeprowadzająca te badania nie kryje rozczarowania tak wysokim (46%) wskaźnikiem braku odpowiedzi. Wprawdzie przypuszcza, że „powodowane to było obawą o personalną identyfikację”, to jednak według niej „takie domniemywanie będzie zawsze tylko – bardziej bądź mniej prawdopodobną – odautorską supozycją”. Jeśli nawet jest to tylko supozycja, to jednak skłonny jestem zaryzykować twierdzenie, że stoją za tym zarówno złe doświadczenia z okresu, w którym jawne okazywanie religijnej wiary źle było postrzegane przez sprawujących władzę i propagujących „jedynie słuszną” ideologię, jak i nie najlepsze doświadczenia z okresu, w którym między politykami i polityką oraz Kościołem katolickim doszło do tak daleko idącego zbliżenia, że ujawnianie niewiary lub nie takiej wiary, jaka jest udziałem

społecznej większości w naszym kraju, mogłoby przynieść więcej szkody niż pożytku.

Przedstawione w tej książce wyniki badań być może będą zaskoczeniem dla tych polityków, którzy mniej lub bardziej otwarcie twierdzą, iż uczelnie są ostoją różnego rodzaju „lewactwa” oraz liberalizmu, wrogiego Kościołowi i religijności Polaków. W ich świetle bowiem 64% respondentów deklarowało postawę religijną, a jedynie 20% niereligijną, przy czym do pierwszej grupy można dodać tych, którzy deklarowali się jako deści; daje to w sumie 71,6% wierzących profesorów polskich uczelni. Wprawdzie autorka książki twierdzi, że „samodzielni pracownicy nauki stanowią grupę o najwyższym wskaźniku ateizacji w polskim społeczeństwie” i podaje, że w tym gronie znajduje się m.in. 12% ekonomistów oraz 9,1% lekarzy, to jednak stanowią oni wyraźną mniejszość. Ten obraz wiary i niewiary polskich uczonych komplikuje się w momencie, gdy pojawiają się bardziej szczegółowe pytania o to, w co wierzą. Okazało się bowiem m.in., że stosunkowo wielu z nich (bo aż 93%) wierzyło w Boga osobowego, ale już znacznie mniej w nieomyślność papieża, a jeszcze mniej w „uzdrowieńczą moc miejsc świętych” (a do nich przecież odbywają się pielgrzymki wielu wiernych). W tej ankiecie zostało wprawdzie postawione ogólne pytanie o wiarę w niebo (deklarowało ją stosunkowo wielu respondentów), ale już nie o wiarę w anioły, do których wielu wiernych również adresuje swoje oczekiwania. Zapewne to i inne jeszcze szczegółowe pytania pokazałyby, że wiara polskich uczonych jest jednak dosyć mocno zróżnicowana. W uzupełnieniu przywoływanych wskaźników dodam, że w świetle badań przeprowadzonych w 2013 roku przez Andrzeja Głaba i jego współpracowników na grupie 279 polskich naukowców ze stopniem doktora i doktora habilitowanego „ogólny wskaźnik wierzących w Boga wynosił 56,3%, był najwyższy wśród chemików (80%), geografów (76,2%), matematyków i informatyków (73,1%) i medyków (64,5%)”.

Osobiste spostrzeżenia

W swoim akademickim życiu spotykałem zarówno uczonych, którzy utożsamiali się z wiarą katolicką, jak i otwarcie separujących się od każdej wiary religijnej. Nie mogę jednak generalnie powiedzieć, że w pierwszym przypadku źle na tym wychodziły prowadzone przez nich badania naukowe. Wprawdzie to utożsamianie w niejednym przypadku przekładało się na podejmowane przez nich problemy badawcze oraz formułowane opinie i oceny, to jednak są w tym gronie tacy, których z pełnym przekonaniem mogę określić jako wysokiej klasy specjalistów w swojej dyscyplinie i obszarze badawczym, a ich zaangażowanie w prowadzenie badań naukowych może być przykładem dla wielu innych. Rzecz jasna czasami prowadziło to ich do wniosków, które nieszczególnie przypadają do gustu kościelnemu zwierzchnikom i przysparzało kłopotów zawodowych i życiowych. Jednak w nauce jest to czyniąc tak normalnym, że muszą się z tym liczyć zarówno prowadzący badania, jak i oceniający ich poczynania z pozycji wyznaniowych. Nie mogę jednak również powiedzieć, że separowanie się od religijnych wierzeń w każdym przypadku przekładało się na osiągnięcie lepszych wyników w badaniach naukowych. Znam takich, którzy najpierw byli akademickimi teologami i osobami głęboko zaangażowanymi w realizację kościelnych misji, a później dokonali głębokiej konwersji i są dzisiaj krytykami poczynania Kościoła katolickiego. Jednak tylko w niektórych przypadkach łączy się to z uzyskiwaniem znaczących wyników badawczych na nowej drodze. Jeśli miałbym na koniec sformułować generalną konkluzję, to powiedziałbym, że uczonego nie rozpoznaje się ani po koloratce (lub jej braku), ani też po składanych deklaracjach wiary lub niewiary.

Rozmowa z prof. dr. hab. Wojciechem Horą,
rektorem Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu im. Magdaleny Abakanowicz

Pomiędzy sztuką a ekonomią

W Polsce jest niewiele uczelni artystycznych i byłoby fatalne, gdybyśmy wykluczali się wzajemnie albo tworzyli jakieś koterie. Musimy mówić jednym głosem i wspierać się, bo to jest siła środowiska.

Panie rektorze, spotykamy się w drugim tygodniu od rozpoczęcia inwazji Federacji Rosyjskiej na Ukrainę. Jak Uniwersytet Artystyczny włącza się w pomoc dla uchodźców wojennych?

Wspieramy naszych przyjaciół w każdy możliwy sposób i dotyczy to zarówno studentów, jak i wykładowców. Ogłosiliśmy zbórkę różnego rodzaju dóbr potrzebnych uchodźcom; wysłaliśmy już jeden duży transport na granicę. Dzięki zaangażowaniu pedagogów mamy pewność, że żadna z rzeczy, które przewozimy, nie ląduje na chodniku czy w jakimś przypadkowym miejscu, tylko trafia bezpośrednio do potrzebujących. Głównym punktem troski są artyści i studenci z Ukrainy – udzielamy im wsparcia finansowego, ale też psychologicznego. Nasz samorząd natychmiast zaopiekował się studentami ukraińskimi, liczymy na to, że oni z kolei pomogą nam wspierać studentów przybyłych właśnie zza wschodniej granicy. Na naradzie rektorów uczelni artystycznych padła sugestia, aby wobec przypadków dywersji rosyjskiej w Polsce nie informować dokładnie, ilu studentów przyjmujemy i w jakich lokalizacjach proponujemy im pomoc, by nie narazić ich na niebezpieczeństwo. Niemniej wszystkie możliwości, jakie nam przychodzą do głowy i jakie mamy uzgodnione z innymi rektorami uczelni artystycznych, wprowadzamy w życie. Czekamy też na ustawę wspierającą uchodźców, która pomogłaby koordynować nasze działania czy ukierunkować je, aby stały się jeszcze bardziej efektywne.

Na stronie UAP, oprócz wykazu rzeczy potrzebnych uchodźcom, można znaleźć informacje o zbiorce artykułów malarsko-rysunkowych dla studentów, a także o spotkaniu na google meets z psycholog dr Alicją Kusiak-Brownstein pt. „Nasze psychiczne reakcje na wojnę na Ukrainie: czym są, jak sobie z nimi radzić i jak wspierać osoby doświadczone traumą, stresem, lękiem i żałobą”.

Pani psycholog prowadzi to szkolenie dla naszych studentów, pedagogów i pracowników administracji, żebyśmy byli w jakiś sposób przygotowani do sytuacji, w której wielu ludzi nie umie się odnaleźć. Ponieważ mamy udzielać wsparcia, więc musimy

zdołać narzędzia, które pomogą nam go udzielać mądrze i efektywnie. Takich inicjatyw szykuje się więcej, bo nasza kadra jest bogata w pomysły. Myślimy o utworzeniu centrum sztuki ukraińskiej, w którym dalibyśmy możliwość organizacji wystaw artystom ukraińskim, żeby zajęli głowę własną twórczością, co pozwoli im zbudować dystans do tragedii, którą przeżywają. Planujemy to przedsięwzięcie w porozumieniu z Miastem Poznań. Jestem pełen podziwu dla tego, co dzieje się w społeczeństwie, a także dla swojej załogi, która niebawem się zaangażowała. Oby ten ogień nie wygasł. Przy każdej okazji sygnalizuję naszej społeczności, że to jest aktywność długodystansowa, że nie możemy powiedzieć „a teraz szanowni goście dziękujemy, wizyta skończona”, bo nie wiemy, jak długo to potrwa, a mamy do czynienia z ludźmi ciężko doświadczonymi przez los, których nie można zostawić.

Sytuacja jest dynamiczna i nie wiemy, jaka będzie w momencie publikacji tej rozmowy...

Może to brutalne i okrutne, ale w czasie pandemii mówiłem, że kryzysy pomagają nam zobaczyć siebie z zupełnie innej perspektywy. Każdy medal ma dwie strony, skupię się na tej pozytywnej: możemy sobie uświadomić, ile w nas jest ładunku dobra, pozytywnych emocji, aktywności, czyli wartości wysoko humanistycznych. To jest ciekawa lekcja.

Objmując funkcję rektora UAP, deklarował pan przeprowadzenie głębokich reform. Co od tego czasu zmieniło się w Uniwersytecie Artystycznym?

Przede wszystkim staliśmy się przezroczystą, sprawnie działającą organizacyjnie i ekonomiczną instytucją, co może nie wydaje się najważniejsze w przypadku uczelni artystycznej, ale jednak jest niezwykle istotne.

Wcześniej brakowało przejrzystości?

Wcześniej byliśmy w kryzysie finansowym i organizacyjnym, dosłownie na krawędzi. Udało nam się jednak uzyskać płynność finansową, a nawet wypracować skromne nadwyżki, które

zaczęliśmy inwestować w potrzebny sprzęt i tworzyć bazowe warunki, konieczne do skupienia się na normalnej pracy.

Jak udało się odzyskać płynność?

Poprzez redukcję wydatków kompletnie nieuzasadnionych, a także poprzez restrukturyzację administracji. Mówiąc kolokwialnie – wszystkie krany, przez które pieniądź wyciekał bez kontroli i uzasadnienia, zostały pozakręcane. Na bazie planu naprawczego na tyle zracjonalizowaliśmy gospodarkę finansową uczelni, że kryzys został zażegnany. Wypracowana nadwyżka pomogła także finansować koszty związane z wprowadzeniem nowej ustawy oraz corocznym obniżaniem subwencji – poniżej progu racjonalności – co dotyka wszystkie uczelnie, szczególnie artystyczne. Dla mnie najistotniejsze jest zabezpieczenie pensji dla pracowników, a niestety większość z nich zarabia mniej niż pracownicy marketów. Tymczasem poziom wynagrodzeń przekłada się przecież na postrzeganie uczelni, która ma prowadzić i dydaktykę, i badania naukowe. Trzecia



rzecz, która została wdrożona w sposób trwały, to widoczne w skali kraju otwarcie się uczelni na relacje ze społecznością miasta i regionu. Uczelnia stała się transparentna – we współpracy z miastem uruchomiliśmy 6 galerii uczelnianych, wpisanych w strukturę miejską, gdzie nasi studenci i pracownicy prezentują swoją twórczość, co jest wzbogacone poprzez tzw. oprowadzenia kuratorskie. Tym sposobem społeczność ma okazję spotkać się i z twórcami, i z kuratorami. Taka aktywność edukacyjna jest niezwykle ważna, bo żeby rozumieć sztukę współczesną, trzeba z nią obcować i zdobyć pewną wiedzę. Nasi pracownicy wykonują ogromną pracę w tym zakresie – organizujemy mnóstwo wydarzeń poza murami uczelni, otwieramy także uczelnię dla gości z zewnątrz. Zanim zaskoczyła nas pandemia, stworzyliśmy jednostkę o nazwie Centrum Edukacji Artystycznej. Jak to żartobliwie nazywam, jesteśmy tam dostępni dla społeczności miasta i regionu od pierwszego do piątego wieku. Poza Uniwersytetem III Wieku mamy ofertę dla dzieci, młodzieży licealnej i ludzi dojrzałych.

Na czym polega ta oferta?

Oferujemy aktywność twórczą na każdym poziomie, udostępniamy warsztat i kadre. Utrzymujemy kontakty z liceami plastycznymi nie tylko z naszego regionu, ale z całej Polski. Świetnie układa się współpraca z LP w Kole, ale również z LP

w Warszawie czy Gdyni Orłowie, które przyjęło imię Magdaleny Abakanowicz. Od kilku lat organizujemy też w naszym domu plenerowym w Skokach warsztaty z rzeźby dla młodzieży o nazwie „Młoda rzeźba”, które cieszą się wielkim powodzeniem. Oczywiście współpracujemy także z innymi uczelniami, gościmy je w naszych galeriach, odwiedzamy się wzajemnie. Przed dwoma laty, jeszcze przed pandemią, odbyły się przedczne wydarzenia związane ze stuleciem uczelni. Udało nam się zorganizować unikatowe zjawisko o nazwie Ambasada Sztuki UAP w Kolonii, w porozumieniu z MSZ i konsulem generalnym. Mieliśmy tam trzy duże wystawy. Niemcy, miejsce tak bliskie i tak ważne na mapie sztuki współczesnej, jest rzadko dotykane przez nasze środowisko artystyczne. Ze środowiskiem berlińskim prowadzimy warsztaty artystyczne, planujemy też utworzenie mostu galeryjnego z udziałem dwunastu galerii z Berlina i sześciu naszych uczelnianych, chcemy zaprosić do współpracy także inne galerie poznańskie. To stwarza okazję do podkreślenia unikalnego zjawiska, jakim jest Poznań Art Week, który organizujemy już od 5 lat. W jego ramach odbywają się wystawy, spotkania z artystami, wykłady, performanse i koncerty, a biorą w nim udział galerie i instytucje z całego świata, od Japonii, poprzez Amerykę, po całą Zachodnią Europę, przy czym część zdarzeń odbywa się w realu, a część on-line. Takie wspólne aktywności wzmacniają nas wzajemnie, dzięki nim Poznań staje się bardziej widoczny na mapie kultury Polskiej. Uczelnia wspiera też jedno z największych wydarzeń kulturalnych, jakim jest Konkurs Wieniawskiego.

Jaka jest pana koncepcja kształtowania kadr UAP? Pytam o to także w związku z licznymi wypowiedziami medialnymi byłych i obecnych pracowników dotyczącymi tej kwestii.

W mediach dobrze przebijają się każde zdarzenie, któremu nadaje się znamie sensacji. Niestety moi poprzednicy finansowo doprowadzili uczelnię na skraj przepaści, ale po utracie władzy zwrócili się do mediów, z którymi wcześniej mieli dobre relacje, i odtąd wszystko, co dzieje się na uczelni, jest poddawane – mówiąc kolokwialnie – trollowaniu. Ale trudno polemizować z twardymi danymi, a mamy proste wskaźniki: średnia kandydatów na studia w naszej uczelni wyniosła w zeszłym roku ponad 8 osób na jedno miejsce. Następną za nami była Warszawa, ze średnią 4,4. Tymczasem gdy obejmowałem stanowisko rektora UAP, wspomniana średnia wynosiła 2,7, widąc więc radykalną zmianę. Sterujemy w kierunku uczelni elitarniej o najwyższym poziomie. Jeśli pyta pani o koncepcję kształtowania kadr, w przypadku administracji chodzi nam o uniknięcie przerosłów zatrudnienia, wsparcie cyfrowe i umiejętność pracy z tym wsparciem. Trzeba było odrzucić wcześniejszy nepotyzm w obsadzaniu stanowisk administracyjnych, który prowadził do zatrudniania osób z wykształceniem nieadekwatnym do zajmowanych stanowisk. Działy obsadzone w ten sposób stawały się afunkcyjne. Podam tylko jeden przykład. UAP posiada pałac w Skokach – zanim objąłem urząd, średni koszt prowadzenia tego ośrodka w ciągu trzech lat wynosił 860 tys. zł rocznie, natomiast po zmianach kadrowych i strukturalnych koszt został zredukowany do 300 tys. zł rocznie. Podobne przykłady można by mnożyć. Obecnie wszyscy pracownicy są zatrudniani na zasadzie konkursu. Jak mi się wydaje, udało się nam zyskać świadomość, że pracujemy dla dobra uczelni, więc kooperujemy w pozytywnej aurze wzajemnego szacunku. Druga rzecz – już w czasie kampanii wyborczej powiedziałem, że czasy się zmieniają i żeby ustawić uczelnię frontem do przyszłości, musimy dać jej narzędzia rozwoju, czyli zostawić młodym pole do aktywności i podejmowania decyzji, bo jeżeli będziemy tkwili w zwasalizowanym, feudalnym typie funkcjonowania uczelni, prędzej czy później wpadniemy na rafy i zatopimy ten okręt.

Stawia pan więc na rozwój młodej kadry, a co ze starszymi profesorami?

Rozwój młodej kadry to proces, a nie zjawisko, które można wygenerować poprzez jeden dekret i podpis. Wcześniej na etatach pracowało 14 profesorów po 70. roku życia. Przy całym szacunku dla ich zasług, dorobku i osiągnięć dalsze ich zatrudnienie wiązało się z absolutną blokadą przepływu pokoleniowego. Doszło do takiej sytuacji, że mieliśmy grupę doktorów habilitowanych, którzy nie mogli wyjść poza stanowisko asystenta.

Jakie to miało skutki?

Przy zbyt długim przebywaniu na tym stanowisku, zaczynają się wyłączać takie cechy jak umiejętność budowania programu dla siebie, dla studentów, budowania odpowiedzialności za przyszłość uczelni. Obudzenie inicjatywy wśród tych młodych ludzi to był naprawdę trudny proces. Oczywiście znakomita większość profesorów dawno już emerytowanych potrafiła zrozumieć tę sytuację i zaakceptować ofertę dalszej współpracy w nieco zmienionej formie.

W jakim charakterze współpracują teraz z uczelnią?

W charakterze konsultantów. Mamy np. takich konsultantów, którzy przekroczyli 80. rok życia i są szczęśliwi, że mogą nadal pracować, a studenci mają satysfakcję z kontaktu z osobami, które tworzyły historię UAP. Bo uczelnię buduje się poprzez prognozowanie przyszłości, pozytywną energię, ale też poprzez odwoływanie się do historii. Jesteśmy ponadstuletnią szkołą, co stanowi nieprawdopodobny kapitał. Rezygnowanie z niego byłoby sprawą bezsensowną.

Przysłowiowym podcinaniem gałęzi...

Tak. Proces, o którym wspominałem – bo mówimy o ewolucji, a nie rewolucji – był jednak bolesny. Myślę m.in. o przypadku, w którym rektor (pomijam, że to ja) kilkakrotnie zaprasza pracownika, aby przyszedł porozmawiać o swojej przyszłości w szkole, a on mówi, że nie przyjdzie, bo nie ma czasu. Dotarło wówczas do mnie, że nie interesuje go żadna forma współpracy,



po prostu chce prowadzić pracownię i już. W nowym statucie zapisaliśmy więc, że profesor po ukończeniu siedemdziesiątego roku życia nie może być kierownikiem pracowni, aby zamknąć tego typu historie, które nikomu nie służą. Można zapisać piękne karty w historii szkoły, trzeba jednak uważać, żeby w pewnym momencie tego nie zaprzepaścić i nie zniszczyć sobie wizerunku. Myślę tu o budowaniu narracji medialnej, że szkoła jest w ruinie, wszystko jest do niczego... Tylko jak to się dzieje, że mamy coraz więcej kandydatów na studia, że w rozmaitych konkursach w Polsce i na świecie zgarniamy świetne nagrody, że zdewastowany budynek zostaje wyremontowany, że





kończymy budowę kamienicy i niebawem nasze zasoby zwiększą się o 1500 m², bo brak przestrzeni był dla nas olbrzymim problemem? Udało nam się także pozyskać środki na zakup przemysłowego budynku Starej Papierni, lada chwila ruszy budowa i adaptacja tej przestrzeni. Planujemy utworzyć tam Uczelniane Centrum Cyfrowe. Ponad dwa lata temu zdobyliśmy grant na zakup sprzętu cyfrowego, obecnie dysponujemy m.in. obrabiarkami pięcioosiowymi i różnego rodzaju sprzętem najwyższej technologii, dzięki czemu jesteśmy najlepiej wyposażoną w nowoczesne technologie uczelnią artystyczną w Polsce.

Dla kogo konkretnie będzie przeznaczony centrum cyfrowe?

To będzie centrum nowych języków dla wszelkiej kreacji, tak artystycznej, jak i projektowej. Nowoczesne media oferują studentom cały wachlarz możliwości. Centrum umożliwi także rozszerzenie prowadzonej przez nas działalności badawczej na styku uczelnia – przemysł. Istotne jest, żeby dostęp do nowych technologii miały wszystkie wydziały i wszystkie rodzaje aktywności twórczej. Tym, co wybudowało naszą szkołę jako ideę ponad sto lat temu i co stanowi o jej unikalności, jest przepływ między dyscyplinami sztuki. Szkoła w pewnym sensie została zbudowana na eksperymencie, któremu oczywiście towarzyszyła refleksja i dysputa nad sztuką.

Mówiąc o inwestycjach, wspomnę o uczelnianym pałacu w Skokach, który był remontowany w latach 90. i częściowo utracił już swoje walory. Udało nam się pozyskać środki na remont, kończymy w tej chwili projekt i latem będziemy wpuszczać ekipy budowlane. Mam nadzieję, że pałac odzyska dawny blask i stanie się funkcjonalny. Ta historyczna tkanka ma dla nas dużą wartość, także sentymentalną – wiele idei tu się narodziło, jesteśmy z tym obiektem bardzo mocno związani. Tych aktywności i inwestycji jest sporo, liczymy także na środki unijne, których Polska ciągle nie może się doczekać. Inwestycje pozwoliłyby nam rozwiązać problem przestrzeni do realizacji aktywności uczelni na wiele lat. To zostanie już jednak w sferze moich marzeń, będę trzymał kciuki za tych, którzy przyjdą po mnie, żeby mogli dokończyć to dzieło.

Wspominał pan kiedyś o potrzebie zawiązania konsorcjum polskich uczelni o profilu artystycznym, co byłoby pomocne w relacjach z ministerstwem i urzędami. Póki co, czy chciałby

pan, w oparciu o własne doświadczenia, przekazać jakieś sugestie związane z obszarem szkolnictwa artystycznego?

Mówiłem o konsorcjum, ale już w tej chwili mamy nieformalny sojusz kilku uczelni. Jesteśmy w intensywnym kontakcie, dyskutujemy, debatujemy i próbujemy lobbować dla dobra ogółu. W Polsce jest niewiele uczelni artystycznych i byłoby fatalnie, gdybyśmy wykluczali się wzajemnie albo tworzyli jakieś koterie. Musimy mówić jednym głosem i wspierać się, bo to jest siła środowiska. I to się właśnie dzieje. Nowelizacji na pewno wymaga fragment ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, który dotyczy szkół doktorskich. Nota bene minister Jarosław Gowin mówił wprost: „wprowadzimy ustawę, ale już szykujemy jej nowelizację”. Tymczasem przestał być ministrem, a ustawa jak nie była znowelizowana, tak nie jest. Szkoły doktorskie stanowią duże obciążenie dla uczelni i wbrew pozorom nie są korzystne dla doktorantów.

Dlaczego?

Nie mamy możliwości zatrudnienia doktorantów w procesie dydaktycznym, oni nie mogą odbyć u nas praktyki w czasie studiów. Druga rzecz – jeśli mam dać stypendium doktorantowi, to bardzo chętnie dam, lecz problem polega na tym, że ja tych pieniędzy nie mam. Od początku zapewniano nas, że na wprowadzenie ustawy, generującej dodatkowe koszty, dostaniemy pieniądze, tymczasem nie dostaliśmy ich. Ustawowo wprowadzone podwyżki osiągnęły w naszej uczelni skalę 3,5 mln zł. W roku 2019 dostaliśmy 2 mln 700 tys. rekompensaty, w roku 2020 nic, a w roku 2021 ok. 1 mln zł. W tej sytuacji musimy wygospodarować ok. 7 mln z naszego budżetu, żeby pokryć te koszty. A co powiedzieć o kosztach dodatkowych: opracowanie całego stosu dokumentów, regulaminów, statutu, powołanie Rady Uczelni, która oczywiście pełni bardzo pozytywną rolę, natomiast ustawa wymusiła wprowadzenie dla członków rady wynagrodzeń, które nie są refundowane, a to jest 6 dodatkowych etatów. Przy tak małej uczelni niedostatecznie finansowanej przez państwo jest to duży problem. Nowa ustawa wprowadziła jeszcze jedno niekorzystne rozwiązanie, jakim jest brak możliwości kontroli przewodów i postępowania naukowych pracowników. Ustawa spowodowała prawdziwy boom przewodowy – ponieważ miały się zmienić zasady, więc wszyscy, gotowi czy niegotowi, rzucili się, żeby robić przewody.



To była walka z czasem...

Dla nas ta cała akcja przewodowa, obejmująca około setki awansów – doktoratów, habilitacji, profesur – wygenerowała dwumilionowy wzrost stałych kosztów poprzez podniesienie pensji. Cieszę się, że nasza kadra robi przewody, tylko skąd mam na to wziąć pieniądze? Rektor nie może powiedzieć pracownikowi, że mu nie sfinansuje przewodu, bo pracownik sam składa wniosek, a uczelnia nie ma wyjścia, musi za to zapłacić. Coś tu jest nie tak.

Obecnie to zjawisko nieco się uspokoiło...

Uspokoilo się, ale mamy w tej chwili boom przewodowy starych doktoratów, które miały zakończyć się w zeszłym roku, ale ze względu na COVID termin został przesunięty o rok. Niektóre doktoraty zalegały od dziesięciu lat – to są konkretne pieniądze, które przy tej skali idą w miliony i nie ma skąd ich pozyskać. Marzy mi się taka ustawa, która wzorem innych krajów pozwoliłaby prywatnemu biznesowi być donatorem uczelni artystycznych i innych jednostek kultury, co wiązałoby się z odpisem donacji od podatku. Byłoby to korzystne dla wszystkich – dla donatorów, dla tych uczelni i dla państwa. Jednak w tym przypadku nowelizacja musiałaby dotyczyć ustawy o finansach publicznych.

Kolejna sprawa to ewaluacja, która niestety w wypadku uczelni artystycznych, w odróżnieniu od innych, jest oceną ekspercką. Przygotowanie materiałów do ewaluacji to była ogromna praca dużego zespołu ludzi. Ostatnie zmiany rozporządzenia dotyczącego prowadzenia ewaluacji pojawiły się w grudniu ubiegłego roku, podczas gdy ewaluacja już się toczy. Jeśli mówimy o finansowaniu uczelni jako jednostek badawczych i naukowych, to nie boję się o naszą szkołę, bo znam jej wartość, ale patrząc szeroko na środowisko, na wiele wartościowych uczelni w Polsce, martwię się, by nie doznały uszczerbku. Ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce z jednej strony wymaga poprawek, ale z drugiej dała nam narzędzia do zrobienia wielu sensownych gestów porządkujących, a jej najwięk-

szą zaletą jest to, że nie dotknęła dydaktyki i spraw studenckich, co uchroniło nas przed jakimś kataklizmem i rewolucją. Pozwoliła nam też zachować status quo. Zachowaliśmy strukturę uczelni mniej więcej w takiej formie, jaka była wcześniej, gdyż – jak wiadomo – lepsze jest wrogiem dobrego. Dla mnie istotne było przeniesienie decyzyjności i danie swoistej autonomii wydziałom. Niedawno mieliśmy kolegium dziekańskie i z radością skonstatowałem, jacy młodzi ludzie siedzą na sali i widać, że w tym gremium nagle pojawił się dynamizm – tam jest potencjał, im się oczy świecą, gdy mówią o swoich planach i zamierzeniach. Wydaje mi się, że takie zjawisko jest największym prezentem dla rektora.

Studia artystyczne w przeszłości miały charakter elitarny, jednak od lat 90. wielokrotnie wzrosła liczba studentów kierunków artystycznych. Obecnie kształcą się w UAP w Poznaniu, w sześciu akademiach sztuk pięknych, w Akademii Sztuki, a także na wielu wydziałach różnych uczelni publicznych i niepublicznych. Jak, pana zdaniem, masowość kształcenia wpływa na poziom studiów i jakie są perspektywy zawodowe absolwentów?

To jest bardzo złożony problem, kiedyś dyskutowałem na ten temat z ministrem Jarosławem Gowinem. Mamy dwa aspekty sprawy. Pierwszy jest taki, że kształcenie artystyczne powinno być kształceniem elitarnym, chodzi nam przecież o wygenerowanie najwyższej jakości kultury narodowej. Ale jest też druga kwestia: trzeba sobie uświadomić, że w uczelniach artystycznych czy na wydziałach artystycznych różnych uniwersytetów kształcą się wielu studentów i często spotykam się z sugestiami, że to prowadzi do nadprodukcji artystów. Istnieje jednak ciekawe zjawisko, któremu przyglądam się nie tylko w Polsce, ale gdziekolwiek się znajdę – czy jest to Azja, Europa czy Ameryka. Mianowicie z każdego rocznika mamy raptem paru wybitnych absolwentów, którzy potrafili zbudować program na siebie, którzy oprócz talentu wykazali się pracowitością, inteligencją, przenikliwością i jeszcze mieli ten łut szczęścia, że udało im się wybić. Taki mechanizm jest ukształtowany od dawna i nie

jesteśmy w stanie go zmienić. Dlaczego jednak kształcimy większą liczbę studentów? Ważna jest kwestia proporcji, bo patrząc z drugiej strony, mamy też studentów, którzy w przyszłości mogą w ogóle nie pracować w swoim zawodzie, może skończą studia i zbudują zupełnie inny obraz siebie i swojej obecności w świecie. Ale ci ludzie pewnie będą mieć dzieci, które zostaną inaczej wychowane, niż byłyby, gdyby ich rodzice nie kończyli studiów artystycznych.

Mamy więc do czynienia z pewnym kapitałem kulturowym, który jest ważniejszy niż twardy pragmatyzm.

To jest nośnik kulturowy – wychowywanie społeczeństwa, które potrafi zrozumieć sztukę, zrozumieć jej wartość, bo od dziecka z nią obcuje i jest przygotowane do jej czytania i rozumienia. W każdym państwie to wartość nie do przecenienia. Moim zdaniem nie ma więc problemu nadmiernej liczby studentów na kierunkach artystycznych, oczywiście we wszystkim musimy zachować pewien balans, ale to się ustawia samo. Jeśli uda nam się doczekać czasów – a wszystko na to wskazuje – kiedy średnia liczba kandydatów w UAP wyniesie 10 osób na jedno miejsce, to śmiało możemy mówić, że jesteśmy uczelnią elitarną, kształcąca ludzi sztuki na najwyższym poziomie. To jest nasz cel, ale wiemy, że aktywność edukacyjna w szerokim rozumieniu też jest niezwykle istotna i absolutnie nie uważam, że należy żądać elitarności od wydziałów sztuki w uczelniach nieartystycznych. One wykonują nieprawdopodobnie pożyteczną pracę i stanowią uzupełniający mechanizm, o który warto dbać.

Jest pan kierownikiem II Pracowni Bioniki UAP. Czym jest bionika i jakie jest jej miejsce w kształceniu przyszłych projektantów?

Bionika to dość uniwersalne zjawisko i – o, paradoksie! – jest to program edukacyjny wymyślony blisko 50 lat temu przez naszego profesora Włodzimierza Dreszera. Program ten bazuje na propedeutyce projektowania inspirowanej naturą. Jak mówił nasz profesor, natura kształtowała się miliardy lat, w związku

z czym wyeliminowała różne błędy. Jeśli mamy uczyć się projektowania, czyli pewnej aktywności, na przykładzie naszych starszych kolegów, znanych projektantów, to poza wartościowymi aspektami ich twórczości również – świadomie czy nieświadomie – będziemy kopiować ich błędy, których żaden człowiek nie jest w stanie uniknąć. Natomiast natura jest pozbawiona błędów. Jeśli nauczymy się z nią rozmawiać, nauczymy się patrzeć tak, żeby widzieć – bo wielu jest takich, którzy patrzą i nie widzą – to mamy fenomenalne narzędzie, które w połączeniu z technologią, materiałem, wartościami kulturowymi da nam platformę do wysokogatunkowej kreacji. Bionika stanowi punkt wyjścia w różnych dziedzinach, na naszych kursach pojawia się także wielu studentów grafiki, rzeźby i innych kierunków. Niedawno uświadomiliśmy sobie, że bardzo modne w ostatnich latach na Zachodzie zjawisko, które mądrze nazwano design thinking, zajmuje się tym, na czym nasza bionika koncentruje się od prawie pół wieku.

Profesor Dreszer wyprzedził więc zachodnie trendy...

Stanowczo – myśl bioniczna ma swoją polską specyfikę, ona wypromieniowała stąd w przeróżne miejsca. Paradoksalne jest to, że nasze ministerstwa stać na pompowanie kuriozalnych pieniędzy w promowanie design thinking, które było importowane z Ameryki, podczas gdy na miejscu mamy zjawisko o wiele lepiej adaptowalne do naszych realiów. Przy niewielkich nakładach można tę metodę zaprząć do konkretnej pracy przy realizacjach przemysłowych czy gospodarczych. Ale taka już nasza tradycja, że zachwycamy się tym, co amerykańskie, podczas gdy lepsze rozwiązania mamy dostępne na miejscu. Tym niemniej mamy świadomość wartości bioniki i bardzo dbamy o jej rozwój, gdyż jest jednym z ewenementów budujących wartość uczelni. Obecnie już wiele szkół włączyło taką pracownię do swojego programu kształcenia, z czego jesteśmy bardzo dumni.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska



Marek Misiak

Podzielmy to na trzy połowy

Niespełnienie wymogów co do poprawności przeprowadzenia i zaprezentowania analiz statystycznych bywa przyczyną wstrzymywania publikacji artykułu, który przeszedł już proces peer review. Kontrolę statystyczną przeprowadza się z reguły po recenzjach, aby nie weryfikować pod tym kątem tekstów, które nie zostaną potem opublikowane z uwagi na niewystarczający poziom merytoryczny.

Od końca XIX wieku wielu myślicieli zwracało uwagę, że żyjemy w czasach postępującej specjalizacji wykształcenia, a specjalności stają się coraz węższe. W nauce jest to bardzo wyraźnie widoczne, lecz jednocześnie rozwój zarówno wiedzy, jak i techniki sprawił, że badacze muszą znać się na kwestiach bardzo odległych od ich zainteresowań, jeśli chcą zawodowo uprawiać naukę. Na łamach „Forum Akademickiego” często jest mowa o pisaniu wniosków grantowych jako osobnej sztuce, którą muszą opanować polscy naukowcy (na Zachodzie pracownicy nauki w większym stopniu mogą liczyć na wsparcie wyspecjalizowanych komórek na uczelniach i w instytucjach badawczych). Badacz, który chce promować siebie lub swoją pracę, musi znać się na mediach społecznościowych czy CMS (content management systems) bardziej niż ktoś, kto po prostu co jakiś czas zamieszcza post na Facebooku. Prowadzenie bloga czy bardziej profesjonalnego profilu w mediach społecznościowych wymaga już pewnej wiedzy i umiejętności, nie wspominając o wykorzystywaniu oferowanych przez te media narzędziach (płatnych i darmowych), umożliwiających wyróżnienie się w tłumie innych badaczy. To jednak wszystko umiejętności bardzo praktyczne, które można opanować bez wiedzy, jak coś naprawdę działa, na zasadzie wdrożenia się w pewne instrumenty i procedury.

Problem pojawia się wtedy, gdy uprawiając jedną dziedzinę nauki, trzeba posłużyć się językiem drugiej. W ciągu ostatnich kilku lat w wielu czasopismach naukowych – także medycznych, przy których pracuję najczęściej – zaczęto zwracać baczniejszą uwagę na stosowanie metod statystycznych w nadsyłanych publikacjach. Problem może leżeć zarówno w samym sposobie przeprowadzenia analiz (rzadziej), jak i w sposobie ich opisanie (częściej). Niektóre periodyki, nie tylko te najbardziej renomowane, współpracują ze specjalistami określanymi mianem redaktorów, recenzentów lub weryfikatorów statystycznych, gdyż profesjonalnej kontroli artykułów pod tym kątem na ogół nie jest w stanie wykonać ani żaden z redaktorów, ani recenzenci merytoryczni (może z wyjątkiem niektórych czasopism matematycznych, ale i tam specjalizacja

postępuje). Co zaskakujące, to właśnie niespełnienie wymogów co do poprawności przeprowadzenia i zaprezentowania analiz statystycznych bywa przyczyną wstrzymywania publikacji artykułu, który przeszedł już proces peer review. Kontrolę statystyczną przeprowadza się z reguły po recenzjach, aby nie weryfikować pod tym kątem tekstów, które nie zostaną potem opublikowane z uwagi na niewystarczający poziom merytoryczny.

Naprawdę zły objaw

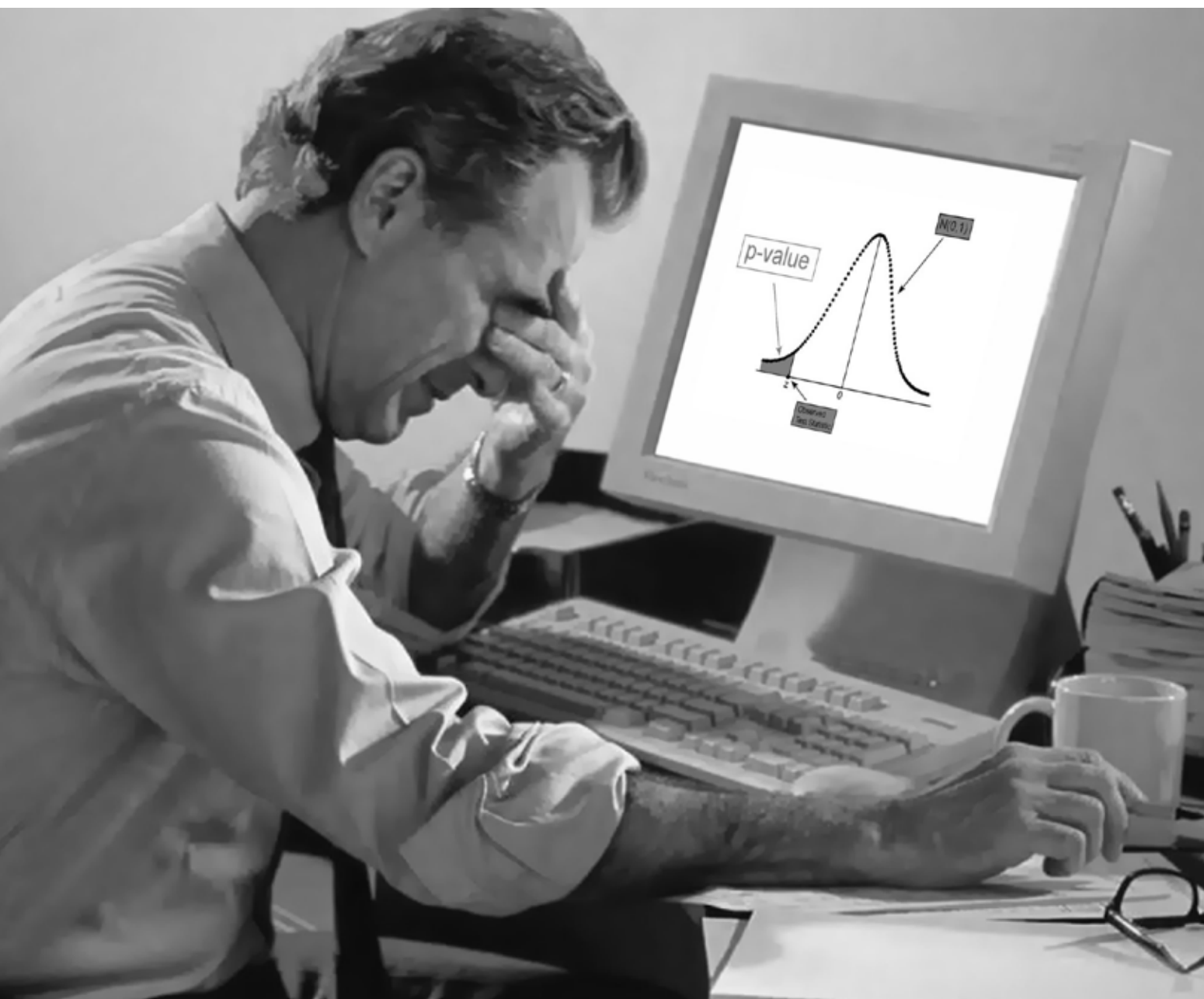
Jeśli autorzy sami zaprosili do współpracy statystyka albo naprawdę znają się na narzędziach statystycznych i są gotowi bronić swoich racji, redaktorzy statystyczni są temu tylko i wyłącznie radzi. Ma wówczas miejsce spór między specjalistami i obie (podkreślam) strony mogą dowiedzieć się czegoś nowego. Redaktor statystyczny o doktrynerskim podejściu słabo wypełniałby swoją rolę i nieraz byłem już świadkiem sytuacji, że dawali się przekonać do zastosowanych metod analizy wyników czy prezentacji danych. Najbardziej frustrująca dla obu stron, redaktora i autora, jest natomiast sytuacja, gdy autor po prostu nie wie, jak ma poprawić wskazane przez redaktora statystycznego fragmenty, ba, nawet nie rozumie wskazówek. Co więcej – i piszę o tym z niesłabnącym, smutnym zdziwieniem – trafiają się autorzy nierozumiejący, w jaki sposób taki element jak budzące wątpliwości analizy statystyczne może wstrzymać publikację. Nie umieć prawidłowo przeprowadzić takich analiz lub odpowiednio ich zaprezentować to jedno, ale nie rozumieć znaczenia tego aspektu pracy w ogólniejszym sensie to już naprawdę zły objaw. Szczególnie problematyczne bywają wykresy i grafy. Zdarzyło się kilka razy, że autorzy pytali mnie, czy ktoś w redakcji nie mógłby narysować wykresów za nich, gdyż po prostu nie wiedzą, jak poprawić je zgodnie z naszymi wytycznymi. Żadna z redakcji pism naukowych, które znam, nie świadczy takich usług, artykuły nadsyłane do czasopism muszą być kompletne i gotowe, gdyż zadaniem zespołu redakcyjnego jest je redagować, a nie uzupełniać (np. poprzez usługi tłumaczeniowe, statystyczne lub inne).

Odrębną kwestią jest sam sposób prezentacji danych statystycznych w artykule. Ważna jest umiejętność dokonania pewnej selekcji – skromnemu objętościowo tekstowi nie może towarzyszyć kilkanaście małych tabel i drugie tyle wykresów. Łatwość generowania wykresów i grafów w programach takich jak Statistica czy GraphPad zdaje się sprawiać, że niektórzy badacze nie potrafią oprzeć się pokusie prezentacji wszystkiego w taki sposób. Nie chodzi tu bynajmniej o jakiś arbitralnie przyjęty stosunek objętości tekstu do innych elementów manuskryptu, ale o to, że czytelnicy mogą łatwo zagubić się w takiej mnogości stłoczonych na niewielkiej powierzchni danych i nie wychwycić tego co ważne. Będzie to tym trudniejsze, że przy takiej liczbie tabel i rycin będą się one znajdować daleko od miejsca w tekście, gdzie są przywoływane. Warto wówczas wybrać najważniejsze dane, a resztę umieścić w repozytorium, w artykule znajdzie się wówczas informacja, gdzie można znaleźć pozostałe materiały (np. DOI całego pakietu) i jakie konkretnie pliki są dostępne we wskazanym miejscu. Zainteresowany odbiorca będzie mógł wówczas przesłodzić cały tok

analizy, natomiast każdy czytelnik od razu wychwycić, co jest szczególnie istotne.

Przechodząc do konkretów: najważniejszym, zdaniem statystyków, mankamentem artykułów naukowych zawierających analizy statystyczne jest niewłaściwe posługiwanie się wartością p (tzw. istotnością statystyczną, ang. p -value – probability value). Jest to narzędzie służące jedynie do oceny wartości danego spostrzeżenia (np. korelacji) z punktu widzenia statystyki i świadczy o wartości dowodowej danych jedynie pośrednio. Błędna interpretacja wartości p jest w nauce bardzo częsta.

Wartość p jest wiarygodnym wskaźnikiem dopiero wtedy, gdy spełnione są założenia testów, co powinno być wykazywane w publikacji. Każda wartość p powinna być podawana (w tekście albo w tabelach lub ilustracjach, do których tekst się odwołuje) z nazwą testu oraz ze statystykami, z których wynika, czyli na ogół z liczbą stopni swobody (df – ang. degrees of freedom) i wartością testową. Co więcej, ponieważ wartość p jest zależna od wielkości próby (liczby replikacji), nacisk w artykułach powinien być kładziony nie tylko na to, że jest ona statystycznie istotna. Ważne jest przecież to, jakie znaczenie, np.



kliniczne, ma dana obserwacja uwiarygodniona za pomocą statystycznych testów. Czy na przykład korelacja opisana współczynnikiem $r = 0,1$ (jej p może być niższe niż $0,01$, gdy wielkość próby jest większa niż 1000) jest rzeczywiście ważna dla wyjaśnienia danego procesu lub zjawiska? Powyższe oznacza przecież tylko tyle, że owszem znaleźliśmy korelację, co do której realności możemy mieć spore zaufanie ($p < 0,01$), ale $r = 0,1$ oznacza, że użyta w tej korelacji zmienna objaśnia tylko 1% (r^2 wyrażone w procentach) zmienności, którą próbujemy objaśniać. Należy też koniecznie pokazywać miary dopasowania danego modelu (goodness-of-fit) oraz siłę wpływu (wraz z przedziałami ufności) przy analizie różnic lub w modelach regresji. Sama wartość p danego predyktora (zmiennej objaśniającej) to za mało, m.in. dlatego, że zależy od wielkości próby.

Istotne czy nieistotne

Wartość p trzeba podawać dokładnie, jako liczbę (np. $0,0036$), a nie jako wyrażenie (np. $p < 0,01$), i to także wtedy, gdy jest ona większa od przyjętej granicy istotności statystycznej ($p > 0,05$). Powody tego są dwa. Po pierwsze, liczba $0,05$ jest arbitralnie (choć powszechnie) przyjmowana jako wartość progowa odrzucania hipotezy zerowej. Po drugie, dokładna wartość p jest szczególnie ważna przy metaanalizach, ponieważ jest ona tam wymagana. Obecnie wzmaga się krytyka traktowania wartości p jako narzędzia dzielącego wyniki na „istotne” oraz na „nieistotne”.

Ważnym problemem i częstym niedostatkiem opublikowanych już artykułów jest zbyt ogólnikowy opis metod użytych w analizach statystycznych oraz niekompletne raportowanie wyników. Trzeba pamiętać, że jedną z żelaznych zasad komunikowania wyników badań naukowych jest czynienie tego w taki sposób, który umożliwi każdemu dokładne powtórzenie całego procesu badawczego, tj. począwszy od metod zebrania danych, a skończywszy na sposobie testowania hipotez statystycznych oraz na prezentowaniu wyników. Braki w tym zakresie można zilustrować dwoma przykładami: a) liczebnością próby oraz b) opisem regresji wielokrotnej. Przy porównywaniu grup pod względem wielu cech nie wystarczy podanie ogólnej liczebności obu grup. Należy podać także informację o liczebności grup w porównaniu pod względem danej cechy, ponieważ bardzo często się zdarza, że niektórych danych nie udało się zebrać i posługiwanie się tylko ogólną liczebnością grup może być mylące (zawyżać wielkość próby) i zawyżać moc danego testu. Pojęcie regresji wielokrotnej jest zaś niezwykle pojemne i jako takie uniemożliwia przeprowadzenie analizy z pewnością, że będzie to wykonane identycznie jak za pierwszym razem. Po pierwsze, w regresji tego typu można użyć modelu „pełnego”, czyli z kompletem predyktorów, lub modelu z selekcją zmiennych. Po drugie, jeśli użyto modelu regresji z niepełnym zestawem predyktorów, to konieczne jest podanie sposobu ich selekcji oraz określenie kryteriów. Wszystkie te bardzo istotne (!) szczegóły powinny być jednoznacznie wyjaśnione w odpowiednim fragmencie artykułu. Swoją drogą modele regresji ze stopniowo (krok po kroku – ang. stepwise) prowa-

dzoną selekcją zmiennych są obecnie bardzo często krytykowane i już nierekomendowane.

Warto w tym miejscu dodać, że w przypadku metod, które można stosować w bardzo zróżnicowany sposób (do takich należy uśrednianie modeli „najlepszych” spośród wielu porównywanych) najlepszym sposobem precyzyjnego opisu jest załączenie użytego skryptu (jak w środowisku R) lub wygenerowanego automatycznie przez dany pakiet raportu. Podsumowując: zawsze po skończeniu przygotowania opisu metod analizy statystycznej należy zadać sobie pytanie, czy na pewno jest on kompletny i zapewnia komuś ewentualne przeprowadzenie takiej analizy w identyczny sposób.

Zapis analiz statystycznych

Tabele, w których podano wartość p , lub wykresy prezentujące ją w dowolny sposób, powinny być zrozumiałe bez odwoływania się do tekstu, czyli muszą zawierać w tytułach lub stopkach wszystkie potrzebne objaśnienia skrótów, symboli itp., a także nazwy testów. Jest to bardzo ważne dla czytelnika, który nierzadko jedynie przegląda artykuł, zwracając szczególną uwagę właśnie na tabele i ryciny, nie czyta zaś tekstu w całości. Tu także konieczna jest uważność. Na przykład w przypadku użytych miar rozrzutu (najczęściej za pomocą „wąsów”) konieczne jest ich zdefiniowanie, a w przypadku popularnych wykresów typu pudełkowego (box plot) wyjaśnienie, czy wąsy ilustrujące rozstęp próby obejmują wartości odstające (a jeśli nie, to jakiego kryterium użyto do ich wyróżnienia).

Mniej istotnym, ale wciąż ważnym problemem jest sam zapis analiz statystycznych, czyli to, co leży już w kompetencjach redaktora językowego. Zupełnie niepotrzebnym utrudnieniem jest ujmowanie w tekście długich ciągów porównywanych statystycznie wartości liczbowych, które znacznie klarowniej prezentowałyby się w jednej lub dwóch tabelach. Ciągły tekst bardzo utrudnia, a czasem uniemożliwia śledzenie korelacji. Utrudnieniem przede wszystkim dla składacza jest wklejanie greckich liter (służących do oznaczania zmiennych statystycznych) w formie obrazków czy innych obiektów – należy je po prostu wpisać w edytorze tekstu poprzez odnalezienie odpowiednich liter w tabeli znaków specjalnych. Wyraźne problemy powoduje zapis przedziału ufności. Najczęściej stosowany jest przedział 95% (ang. 95% confidence interval). Bardzo często spotykany zapis $95\% \text{ CI} = x - y$ jest błędny, poprawny to $95\% \text{ CI}: [x; y]$ (średnik można ewentualnie zastąpić przecinkiem). To oczywiście tylko konwencja zapisu, ale warto zwrócić uwagę, że dzięki temu narzędzia tego nie sposób pomylić z żadnym innym. Zwyczajem dawnym, ale także błędnym, jest pomijanie zera, jeśli wartość zmiennej jest mniejsza od 1 , czyli np. zapis $.005$ zamiast 0.005 .

Na koniec pozytywny akcent. Prawidłowo przeprowadzone i zaprezentowane analizy statystyczne pozwalają na swoisty moment olśnienia u czytelnika, gdy wszystkie elementy układanki właśnie podczas lektury partii artykułu poświęconych wynikom tych analiz wskakują na swoje miejsce i zdaje on sobie sprawę z siłą narzucającej się oczywistości: mój Boże, te fakty rzeczywiście są ze sobą powiązane! Wymogi redaktorów statystycznych to nie kolejne sito selekcyjne, ale warunek profesjonalizmu czasopisma naukowego z każdego obszaru wiedzy, w którym stosowana jest statystyczna analiza danych. Redaktor statystyczny to jakby kolejny recenzent i jego wskazówki należy traktować tak samo poważnie jak uwagi peer reviewers.

Artykuł powstał we współpracy z Centrum Analiz Statystycznych Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu; szczególnie podziękowania składam dr. hab. Krzysztofowi Kujawie.



rys. Sławomir Makal

Ukryci sprzymierzeńcy

Bakterie. Słowo, na dźwięk którego uruchamia się u wielu osób ciąg negatywnych skojarzeń. Choroby, pandemie czy plagi to tylko kilka punktów z wyobrażonej listy zagrożeń. O tym, że sytuacja nie wygląda tak dramatycznie i wśród całego grona bakterii te naprawdę niebezpieczne stanowią niewielką część świata mikrobiologicznego, opowiada dr hab. Aleksandra Ziemińska-Buczyńska, prof. Politechniki Śląskiej. W rozmowie z „Gazetą Uniwersytecką UŚ”, miesięcznikiem Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach (nr 295/2022), naukowczynie dzieli się swoją wiedzą dotyczącą mikroorganizmów, zwracając szczególną uwagę na ich dobroczynny wpływ na różne obszary naszego życia.



Warto więc cały czas pamiętać, że te niewidoczne gołym okiem drobnoustroje mogą być wykorzystywane zarówno w badaniach medycznych, jak i w procesach bioremediacyjnych gleby, wody oraz powietrza. Istniejąca w świecie różnorodność jest więc, jak widać, potrzebna, albowiem „im większa bioróżnorodność danego zbiorowiska organizmów, tym większa szansa na przeżycie ataku ze strony określonego szkodliwego czynnika dla biocenozy”. Potrzebne jest także utrzymanie zdrowego mikrobiomu w jelitach każdego z nas. Powinniśmy dbać o niego, wystrzegając się nadużywania leków, w szczególności antybiotyków, stosując odpowiednią dietę i zapewniając sobie odpowiednią ilość snu oraz ruchu. Jako że bakterie są żywymi organizmami, to reagują na każde ludzkie działanie. Dlatego tak istotne jest, zauważa rozmówczynie, by podejmowane na co dzień decyzje uwzględniały ten fakt. W praktyce oznacza to m.in. rozważne stosowanie preparatów bakteriobójczych, w tym np. mydeł antybakteryjnych. Wszystkie te środki usuwają bowiem część naturalnego mikrobiomu, pozbawiając w ten sposób człowieka niezbędnej bariery ochronnej.

O jutro warto myśleć już dziś

Uniwersytet nowoczesny. Co dokładnie kryje się za tym sformułowaniem? Odpowiedzi udzielił „Biuletynowi AGH” (nr 165/2021) prof. dr hab. inż. Jerzy Lis, rektor Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.



W obszernym tekście znalazło się wiele refleksji na temat funkcjonowania uczelni ze stolicy Małopolski. W celu lepszego zobrazowania prezentowanych treści autor publikacji posłużył się modelem trójkąta równobocznego. Trzy schematy graficzne oparte na tej figurze geometrycznej mają, zdaniem prof. Lisa, w pełni oddać istotę i charakterystykę

AGH. Boki pierwszego z nich, który nazwany został uniwersytetem z misją społeczną, tworzy nauka, współpracuje z otoczeniem oraz kształcenie, rozumiane w tym kontekście jako wytwarzanie oraz przekazywanie wiedzy w oparciu o relację mistrz-uczeń. Drugi z trójkątów otrzymał miano uniwersytetu nauki i technologii. W tym przypadku na poszczególnych jego wierzchołkach znalazły się nauki podstawowe, a wśród nich nauki ścisłe i o Ziemi, potem nauki stosowane z inżynierią, technologią i zarządzaniem, i wreszcie nauki społeczne obejmujące ekonomię, socjologię i humanistykę. Trzeci trójkąt to uniwersytet wartości. Na jego krańcach znalazły się: społeczeństwo, wartości egzystencjalne, w tym m.in. wiedza podstawowa i stosowana, normy etyczne, a także umiejętności pracowników oraz studentów i wreszcie wartości materialne.

Jak zaznacza prof. Lis, nowoczesny uniwersytet powinien być uniwersytetem wartości. Tylko bowiem w takim modelu uczelnia wyższa będzie mogła wypełnić należną jej rolę, zapewniając sobie jednocześnie przetrwanie w konkurencyjnym środowisku.

Zmiany są potrzebne

Finanse to temat od zawsze zajmujący kadrę menadżerską. O tym, jak nimi zarządzać, by nie dać się zaskoczyć nieprzewidzianym sytuacjom, opowiada „Gazecie Uczelnianej” (nr 01/2022) Ilona Mróz, zastępca dyrektora generalnego ds. finansowych w Uniwersytecie Medycznym im. Piastów Śląskich we Wrocławiu.

Rozmówczynie, jak sama mówi, od lat jest związana z obszarem ochrony zdrowia, natomiast po raz pierwszy ma do czynienia z pracą na uczelni. W realizacji czekających ją zadań pomaga doświadczenie, jakie zdobyła, pracując jako dyrektor szpitala. Ta praktyka nauczyła ją m.in. zarządzania poprzez budżetowanie. Wyjaśniając specyfikę tego ostatniego pojęcia, interlokutorka wskazuje na korzyści płynące z faktu stosowania rozwiązania, które daje szansę każdej komórce organizacyjnej na uzyskanie realnego wpływu na kształt swojego budżetu i otwiera ścieżkę możliwości bieżącego monitorowania stanu posiadanych środków oraz szybkiego reagowania w przypadku, kiedy trzeba dokonać niezbędnych modyfikacji.

Ilona Mróz porusza także tematykę restrukturyzacji, wskazując na konieczność dokonania transformacji nie tylko w strukturze kosztów, ale także przychodów. To właśnie z potrzeby zmiany tych ostatnich wyłonił się pomysł poszerzenia możliwości finansowania uczelni. W skrócie chodzi o to, by nie poprzestawać na środkach pochodzących z subwencji czy państwowych dotacji, ale by optymalnie wykorzystywać posiadane przez uniwersytet zasoby, czy to lokalowe, czy osobowe. Docełowo uczelnia powinna stać się, jak chciałaby rozmówczynie, nie tylko miejscem pracy, ale nade wszystko wspólnotą, na kształt której każdy jej uczestnik powinien mieć realny wpływ.

Aneta Zawadzka

Agnieszka Urbańczyk

Upodmiotowienie fanów czy utowarowienie metafor?

Internet jako źródło danych o oczekiwaniach fanowskich

Fani są odbiorcami idealnymi, bo z jednej strony są szczególnie aktywni w internecie w odniesieniu do ulubionych tekstów kultury i za darmo udzielają masowo informacji, za które niegdyś trzeba było płacić, a z drugiej to oni generują dla właścicieli praw autorskich najwięcej zysków, kupując gadzety.

Przez dekady popkultura przyzwyczajała nas do wizerunku fanów jako albo niebezpiecznych samotnych mężczyzn, porwających swoje idolki i mordujących idoli, albo nieszkodliwych, ale nieprzystosowanych społecznie wiecznych chłopców, którzy całą pensję wydają na figurki i modele statków kosmicznych. Wedle tego drugiego stereotypu bezmyślnie chłoną oni teksty przez nikogo innego nieuznawane za wartościowe oraz z komicznym przejęciem i namaszczeniem klóć się o związane z nimi drobiazgi. Od trzydziestu lat fan studies próbują odciąć się od tego wizerunku. Nie bez przyczyny założycielskie dla dyscypliny prace, jak *Textual Poachers* Henry'ego Jenkinsa czy *The Enterprising Women* Camille Bacon-Smith, skupiały się na charakteryzowaniu grupy całkowicie niewpisującej się w ten stereotyp: przede wszystkim kobiet, zaangażowanych, krytycznych, twórczych i niecofających się przed działaniami traktowanymi jako obrazoburcze. Fanowskie praktyki, takie jak tworzenie homoerotyki na temat mających uosabiać heteronormatywną męskość bohaterów telewizyjnych, akcje protestacyjne i niekiedy zakończone sukcesem kampanie na rzecz ocalenia lub wprowadzenia zmian w ulubionych seriach, to wdzięczne przykłady dla badaczy chcących pokazać, jak dużą podmiotowość i sprawczość mogą mieć odbiorcy. Trudno odmówić atrakcyjności wizji oddolnie organizującej się i zaangażowanej społecznie widowni, która rekrutuje się spośród grup zmarginalizowanych i potrafi wymusić na przemyśle medialnym zmiany.

Jednak, podobnie jak zmienia się wizja fanów, zmieniła się też rzeczywistość wokół nich. Fani już dawno przestali stanowić niszową subkulturę, której istnienie i mobilizacja mogą zaskoczyć producentów. Tak zwana kultura geekowska – związana głównie z fantastyką, gramami, komiksem i animacją – przeszła do głównego nurtu wraz z sukcesem filmów Marvela czy ogromną popularnością serialowej *Gry o tron*. Przede wszystkim jednak zmienił się model zarobkowania właścicieli praw autorskich i w wypadku wielkich franczyz medialnych zyski z gadzetów,

figurek czy koszulek wielokrotnie przewyższają zyski przynieszone przez same teksty kultury, do których te produkty licencjonowane się odnoszą. Najpopularniejsze filmy i seriale realizujące geekowskie gatunki powoli przekształcają się w materiały reklamowe, które nie tyle mają generować wysoki zysk, ile umożliwiać dużo bardziej rentowną sprzedaż gadzetów. Oznacza to, że najbardziej zaangażowana widownia, niegdyś niszowa, staje się odbiorcą modelowym. To fani, kupujący masowo produkty licencjonowane, manifestujący swoją fanowską tożsamość poprzez ubiór czy kolekcjonujący figurki i karty, są najbardziej pożądanymi przez producentów.

Ten rozpoczęty przez Lucasfilm proces przyspieszył znacznie w XXI wieku i model biznesowy oparty na sprzedaży gadzetów rozlał się na kolejne wytwórnie. Nie bez przyczyny przyspieszenie to zbiegło się z popularyzacją nowych mediów. Rozpowszechnienie się dostępu do internetu zmieniło nie tylko sposób, w jaki się komunikujemy i pracujemy. Truizmem jest, że niemal każdy ruch użytkownika w sieci dostarcza kolejnych informacji algorytmom i pomaga reklamodawcom dotrzeć do nas ze spersonalizowanymi komunikatami. Po raz pierwszy jednak również producenci i scenarzyści mają dostęp do tak szczegółowych danych o gustach, oczekiwaniach i reakcjach widowni. Do tej pory trzeba było polegać na badaniach fokusowych, wskaźnikach Nielsena czy statystykach sprzedaży, w dużej mierze zgadując, jaki aspekt tekstu zadecydował o jego sukcesie lub porażce finansowej. Uzyskanie tego typu informacji było trudne i kosztowne, tymczasem współcześnie odbiorcy sami nieodpłatnie wykonują tę kluczową pracę, oceniając produkcje, pisząc komentarze, głosując w ankietach, dyskutując na Twitterze czy Reddicie. Ich zainteresowanie i gusta pozostawiają materialne i publicznie dostępne ślady, które da się bez trudu kwantyfikować. Szczególnie dużo tych śladów zostawiają właśnie fani, najbardziej zaangażowani odbiorcy, którzy dyskutują z innymi, wymieniają się interpretacjami i teoriami, opisują

swoje rozczarowania i przedstawiają wizje idealnych rozwiązań fabularnych. Twórczość fanowska, również ta najbardziej subwersywna, od lat dziewięćdziesiątych stopniowo przenosiła się z przekazywanych pod stołem owiniętych w brązowy papier zinołów do sieci, w przeważającej większości stając się dostępną dla każdego, kto wie, czego szukać. Najszybciej współcześnie się rozwijające repozytorium twórczości fanowskiej zostało stworzone przez badaczki fandomu i jego interfejs został zaplanowany w ten sposób, by przy publikacji pracy od razu generować metadane. Te zaś dostępne są przecież nie tylko dla osób zajmujących się badaniem fanów akademicko.

Jeśli wierzyć diagnozom Jenkinsa z jego klasycznej już dla kulturoznawców *Kultury konwergencji*, doszło do upodmiotowienia odbiorców i widownia nabrała bezprecedensowej sprawczości, a kultura popularna dzięki internetowi stała się dużo bardziej demokratyczna. Mel Stanfill w polemicznym wobec tego ujęcia *Exploiting Fandom* proponuje jednak myśleć o fanach nie w kategoriach emancypacyjnych, lecz biopolitycznych. Właściciele praw autorskich można w takim wypadku rozpatrywać jako dzierżących władzę pastoralną – stwarzających środowiska pozwalające na rozwój fanowskich społeczności, ale zarazem sprawujących kontrolę nad wielomilionową populacją fanów i jej migracjami, monitorujących i ograniczających jej działania. Stanfill pokazuje szczegółowo, w jaki sposób działający dotąd z pozycji tekstowych kłusowników fani zostają udomowieni, a kontrolę można nad nimi sprawować właśnie dzięki narzędziom, których sami dostarczają, poruszając się po internecie. Biowładza ta nie działa na poziomie jednostek i ich upodobań, jednak umożliwia kontrolę i gromadzenie wiedzy dotyczącej ogromnej populacji, a jej ruchy znacznie łatwiej przewidzieć. Ogłoszone triumfalnie upodmiotowienie odbiorców z tej perspektywy okazuje się mirażem, który tylko ułatwia sprawowanie nad nimi kontroli, dając im poczucie sprawczości, a nie faktyczną sprawczość. Stanfill w swoich badaniach nie eksponuje jednak w dostatecznym zakresie jednego istotnego aspektu tych przemian: zaspokajanie potrzeb fanowskiej populacji to nie tylko umożliwianie jej działalności i przyzwa-

lanie na wykorzystywanie zastrzeżonych elementów tekstów w twórczości fanowskiej. Gusta i oczekiwania najbardziej zaangażowanych odbiorców mają realny wpływ na teksty będące obiektami fanostwa i należące do obiegu oficjalnego – po prostu nie w tym aspekcie, który legitymizowałby triumfalistyczne narracje fan studies.

Uprzywilejowanie dosłowności

Fani są zatem odbiorcami idealnymi, bo z jednej strony są szczególnie aktywni w internecie w odniesieniu do ulubionych tekstów kultury i za darmo udzielają masowo informacji, za które niegdyś trzeba było płacić, a z drugiej to oni generują dla właścicieli praw autorskich najwięcej zysków, kupując gadżety. Sam odbiór fanowski ma jednak jeszcze jedną właściwość dodatkowo sprzyjającą sprzedaży wyrobów licencjonowanych: jest nastawiony na dosłowność.

Duża część tekstów stanowiących obiekty fanostwa przynależy do science fiction. Słowo „fandom” pierwotnie stosowano do opisu społeczności ukształtowanej właśnie wokół literackiej fantastyki naukowej i poświęconych jej czasopism. Późniejszy, bardziej sfeminizowany i kreatywny odłam społeczności fanowskiej, szczególnie atrakcyjny dla badaczy, wyłonił się wraz z zaskakującą popularnością serialu *Star Trek* wśród gospodyń domowych w latach sześćdziesiątych. Choć praktyki właściwe dla tych środowisk rozprzestrzeniły się z czasem wśród entuzjastów różnych gatunków i różnych mediów, u ich źródeł leży fantastyka naukowa, która jest gatunkiem bardzo specyficznym.

Science fiction przez część badaczy jest wywodzona od utopii i nie jest to rzeczą dziwną. Jeśli pokazuje się świat odmienny od naszego, ale wciąż rządzący się tymi samymi prawami natury, to trzeba zaoferować wizję innego porządku społecznego. W związku z tym gatunek staje się bardzo często narzędziem krytyki i kontestacji rzeczywistości, w której dany tekst powstaje. Niektóre ujęcia teoretyczne traktują fantastykę naukową jako esencjalnie polityczną ze względu na to, że – pokazując możliwość zmiany i odmiennej organizacji społecznej – obnaża hierarchie, dyskryminację czy domi-



nujące w danym momencie modele produkcji jako arbitralne i niewynikające z praw natury. Obok obrazów inaczej zorganizowanego świata fantastyka naukowa pokazuje w nowym sztafazu problemy przez nas tak dalece znaturalizowane, że już często niedostrzegane, tak, by można było na nie spojrzeć z nowej perspektywy. Uznanie science fiction za zawsze zaangażowaną politycznie – a tym bardziej za zawsze subwersywną – to nadużycie, jednak trudno zaprzeczyć, że tego typu kryteria doskonale opisują właśnie *Star Treka*, który ukształtował dzisiejszy fandom. Cykl, choć od początku był uwikłany ekonomicznie, już w latach sześćdziesiątych krytykował rasizm, ksenofobię i wyścig zbrojeń, od osiemdziesiątych wziął sobie na cel również kapitalizm, a od dziewięćdziesiątych (niekoniecznie zgrabnie) podejmował też choćby kwestię homofobii.

Można by zapewne założyć, że wartości propagowane przez serial znajdują swoje odbicie w poglądach widowni, szczególnie tej najbardziej oddanej, dla której *Star Trek* stanowi istotną część tożsamości. Fan studies zazwyczaj skupiają się właśnie na takich przypadkach. Choć jednym z podstawowych założeń dyscypliny jest to, że fani podchodzą do przekazu medialnego krytycznie, to w wypadkach, gdy obiekt fanostwa propaguje idee progresywne, badacze chętnie eksponują właśnie te działania widowni, które z takimi ideami współgrają. Sprawa jest jednak dużo bardziej skomplikowana. Fani *Star Treka*, owszem, występują na marszach dla klimatu czy marszach równości przebrani za postacie z franczyzy albo dzierżąc transparenty z cytatami z ulubionych filmów. Istnieją setki (niekiedy skłóconych ze sobą nawzajem) grup, kont i fanpejdży służących do udostępnienia lewicowych memów bazujących na *Star Treku*. Postacie i cytaty z serii były jednak również chętnie wykorzystywane choćby do promocji kandydatury Donalda Trumpa czy budowy muru na granicy USA z Meksykiem. Amerykańska Partia Libertariańska na swoim oficjalnym fanpejdzu udostępnia grafiki, na których bohaterowie *Star Treka* krytykują idee podatków czy powszechnych ubezpieczeń zdrowotnych. Istnieją wielotysięczne grupy zrzeszające wyłącznie konserwatywnych fanów franczyzy, a nawet osobna grupa fanów *Star Treka* związanych z alt-rightem. O ile zatem ich istnienie potwierdza intuicję badaczy, że odbiór fanowski wiąże się z oporem i polega na zawłaszczaniu tekstu dla realizacji własnych celów, o tyle nie można powiedzieć, że jest to tożsame z antyhegemonicznością.

Konserwatywni fani *Star Treka* niekoniecznie traktują swoje działania jako subwersywne wobec tekstu. Jest tak przede wszystkim ze względu na to, że obiektem fanostwa bardzo rzadko jest przekaz. Science fiction posługuje się zazwyczaj mniej lub bardziej subtelnymi metaforami, ponieważ w innym wypadku nie mogłaby pokazać znanych problemów ze zmienionej perspektywy. By perspektywa była jednak faktycznie nowa, trzeba wokół jakiegoś problemu przeorganizować cały świat, podmieniając kraje na planety, grupy prześladowane na fikcyjne rasy kosmitów, a globalne ocieplenie na degradację podprzestrzeni pod wpływem użycia fikcyjnych napędów. Metafora jest zatem tworzona za pośrednictwem wielu elementów, które nabierają znaczenia w kontekście pozostałych, lecz same w sobie nie odnoszą do ukrytych sensów. Tworzą tylko to, co można nazwać sztafazem lub, za Darko Suvinem, „tekstualną powierzchnią”. Do niej właśnie przynależą fikcyjne planety, rasy, bronie czy statki kosmiczne i ich napędy – i to ona jest podstawowym obiektem fanostwa. Zdecydowana większość praktyk fanowskich (czy to twórczość literacka i plastyczna, czy to szycie kostiumów i przebieranie się za ulubione postacie, czy kolekcjonerstwo i tworzenie encyklopedii) nastawiona jest na to, co najbardziej dosłowne, a co w relacji do metafory może być rozpatrywane jako szum informacyjny.

Niezadowolenie z tekstualnej powierzchni

Nie oznacza to rzecz jasna, że fani nie widzą metafor. Metafory mogą zostać dostrzeżone i zdekodowane, kluczowe jest jednak to, że nie muszą. Bardzo rzadko ktokolwiek zostaje fanem danego tekstu ze względu na jego przesłanie, a zauważenie obecności tego przesłania jest dopiero drugim krokiem. Przyjmowane przez odbiorców, a zwłaszcza fanów, taktyki wobec treści politycznych w ich ulubionych tekstach są bardzo różnorodne.

Badacze chętnie omawiają przykład ilustracyjnego podejścia do tekstu, bo jest on szczególnie atrakcyjny, a odpowiedni dobór przykładów pozwala kultywować narrację o fandomie jako wspólnocie wykluczonych, którzy zawłaszczają elementy kultury oficjalnej nie tylko dla własnej, subwersywnej przyjemności, ale także by aktywnie walczyć o swoje prawa. Do tej właśnie grupy działań należałoby tworzenie nawiązujących do obiektu fanostwa banerów na protestach, memów propagujących określone rozwiązania ustrojowe bądź ekonomiczne czy wykorzystywanie wyrwanych z kontekstu cytatów z danej produkcji. Tego typu taktyki pozwalają wytwarzać poczucie wspólnoty z innymi zaangażowanymi w daną sprawę fanami i – przede wszystkim – dostarczają obserwatorom i uczestnikom danych akcji prostych skryptów interpretacyjnych, w ramach których przeciwnik jest obsadzany w roli czarnego charakteru, a popularna postać ma wywoływać pozytywne skojarzenia z hasłami wkładanymi w jej usta. Jak jednak pokazuje przykład zaangażowania konserwatywnych fanów, elementy tekstualnej powierzchni nie muszą być zawłaszczane wyłącznie w celu walki o prawa reprodukcyjne kobiet, zniesienie granic czy prawne ułatwienie procesu tranzycji. Niezależnie jednak od pozycji zajmowanej przez daną osobę w obrębie politycznego spektrum ilustracyjne wykorzystania tekstów kultury łączy fakt, że sięga się po to, co dosłowne i ewidentne dla wszystkich, nie odwołując się do metafor, które kryją się za tekstualną powierzchnią.

Duża część fandomu jest niechętnie nastawiona do samej idei, że teksty mogą być polityczne, dopatrywanie się w nich krytyki określonych zjawisk społecznych zbywając jako nadinterpretację. Choć w teorii, jako skupiony na tekstualnej powierzchni i programowo eskapistyczny, powinien być to najbardziej podstawowy model odbioru, w rzeczywistości często okazuje się, że apolityczność i rozrywkowość to raczej postulat wysuwany wobec tekstów. W wypadku wielu produkcji (a szczególnie współczesnych produkcji zachodnich) fani głośno wyrażają niezadowolenie z tekstualnej powierzchni, bowiem w jej obrębie pojawiają się przedstawiciele mniejszości, co traktowane jest jako zbędne upolitycznienie. Mało tego, przebywanie w społeczności odbiorców danego tekstu (a fani wszak się zrzeszają) nieodmiennie prowadzi do konfrontacji z cudzymi interpretacjami tekstu jako politycznego. By, przynależąc do fandomu, zachować wyobrażenie o tekście jako czysto rozrywkowym, trzeba włożyć w to zadziwiająco dużo wysiłku. Wielu jednak się tego podejmuje ze względu na przywiązywanie do fantazmatu tekstu jako eskapistycznego.

Dostrzeżenie polityczności bądź ideologiczności w obrębie warstwy dosłownej zazwyczaj dotyczy właśnie obecności przedstawicieli grup zmarginalizowanych lub ich braku. To sfery reprezentacji dotyczy większość postulatów wysuwanych przez zaangażowanych politycznie odbiorców i to w związku z nią pojawia się najwięcej petycji, kampanii listowych czy – współcześnie – masowych użyc hashtagów albo nawet internetowych gróźb śmierci. Tekst w takim wypadku jest traktowany jako nośnik ideologii albo jako mający (niekoniecznie realizowany) potencjał polityczny. To tekstualna powierzchnia staje się głównym polem bitwy o ukazanie osób niebiałych czy niecisheteronormatywnych, a ich obecność bądź jej brak wywołują

najbardziej zajadłe spory, wiążą się z bojkotami konsumenckimi i apelami do twórców. Walka o dosłowną reprezentację jest zrozumiała, jeśli wziąć pod uwagę, że warstwa dosłowna, szczególnie w przypadku mediów wizualnych, pozostawia znacznie mniej do interpretacji. O ile zatem odcinki *Star Treka* z lat sześćdziesiątych traktujące za pośrednictwem metafor o segregacji rasowej dało się odbierać jako przygodowe, prześlepiając ich głębszy sens, o tyle nie dało się nie zauważyć pojawiającej się w każdym odcinku na mostku statku kosmicznego czarnoskórej załogantki, która była wykwalifikowana specjalistką od komunikacji i miała stopień oficerski. Nie bez przyczyny Martin Luther King Jr odwiódł aktorkę grającą Uhurę od rezygnacji z roli, wskazując na to, jak istotną funkcję ta postać spełniała dla społeczności afroamerykańskiej. To, co znajduje się na tekstualnej powierzchni jako jedyne na pewno zostanie zauważone, metafory tymczasem wymagają najpierw dostrzeżenia, a następnie interpretacji, która będzie w dodatku przebiegać po myśli twórców. Jak jednak pokazują liczne przykłady, nawet przy założeniu, że tekst ma drugie dno, można z niego wyciągnąć wnioski całkowicie sprzeczne z wartościami deklarowanymi przez twórców w wywiadach, wspomnieniach czy polemikach.

Choć twórcy zazwyczaj zbywają interpretacje niezgodne z ich intencją autorską jako wynik braku kompetencji odbiorczych i głupoty, w rzeczywistości bywają one poparte długim namysłem i są legitymizowane elementami faktycznie występującymi w tekście. Całkowicie sprzeczne wobec siebie nawzajem odczytania tego samego tekstu wcale nie muszą być sprzeczne z nim samym. Odbiorcy dokonują hierarchizacji elementów faktycznie znajdujących się w obrębie tekstualnej powierzchni i część z nich uznają za znaczące, zaś część za stanowiące zaledwie sztafaż. Jedyną gwarancją, że tekst nie zostanie zinterpretowany nie po myśli twórców, staje się zostawienie jak najmniejszego pola do interpretacji. Po części zapewne właśnie dlatego w ostatnich dekadach w obrębie dużych franczyz odchodzi się coraz częściej od metafor, cały ciężar polityczności przenosząc na tekstualną powierzchnię i reprezentację mniejszości w jej obrębie.

Procesowi temu sprzyja jednak fakt, że to właśnie tekstualna powierzchnia przyciąga fanów, to do niej się przywiązują i jest ona dla nich w podstawowym sensie bardziej atrakcyjna niż metafory. W wypadku służącego tu za przykład *Star Treka* stosunkowo niewiele kontrowersji wśród odbiorców wywoływały w nowych produkcjach marginalizacja metafor albo odejście od pacyfizmu na rzecz (bardziej atrakcyjnych wizualnie) scen walki w kosmosie czy nawet ukazywania przemocy postaci pozytywnych wobec rozbrojonych jeńców. Główne zarzuty wysuwane wobec nowszych filmów i seriali okazały się dotyczyć nieścisłości związanych z działaniem fikcyjnej technologii albo nieuzasadnionej fabularnie zmiany wyglądu jednej z ras kosmitów, a mobilizacja fandomu była tak duża, że producenci zdecydowali się te zmiany karkołomnie wyjaśniać lub nawet cofnąć. Podczas gdy jeden z najnowszych seriali ukazywał współpracę pozytywnych bohaterów z faszystowską tajną organizacją, dotąd prezentowaną jako antagoniści, dużo więcej dyskusji generowała scena, w której ukazano dwie strugi oddawanego przez Klingona moczu, co potwierdzało część fanowskich teorii dotyczących liczby penisów u tej fikcyjnej rasy kosmitów.

Tworzenie tekstów z myślą o fanach wiąże się zatem ze stopniowym przesuwaniem się ku dosłowności, dbałością o szczególne interesujące tylko najbardziej oddaną widownię i z rozbudowywaniem fikcyjnego uniwersum o kolejne detale. Nie bez znaczenia pozostaje też fakt, że metafory nie da się przekształcić w model z klocków Lego, breloczek lub nadruk na koszulce. Niemal każda scena budująca przesłanie tekstu oznacza mniej czasu na pokazanie na ekranie jakiegoś obiektu, który można przekształcić w gadżet. Alternatywne relacje społeczne, utopijność i zawołowana krytyka współczesności powoli zaczynają być wypierane przez nostalgię, wiązaną tylko z obiektami i postaciami znanymi ze starszych inkarnacji franczyz, a nie z dawnym przesłaniem. W im większym zatem stopniu nowe teksty są skrojone konkretnie pod gusta widzów fanowskiej, w tym większym mogą przynosić zyski, a za sprawą internetu gusta te stały się wreszcie uchwytne.

Niespodziewany sojusznik rekuperacji

Rekuperacja, czyli proces unieszkodliwiania treści i idei, które mogłyby zagrozić porządkowi społecznemu, polegający na pozbawieniu ich wyrotowego potencjału czy utowarowieniu, nie jest zjawiskiem nowym. Subwersywne teksty są rekuperowane od momentu, kiedy się pojawią, a te przynależące do fantastyki naukowej z całą pewnością nie stanowią wyjątku. *Star Trek* może i od początku swojego istnienia krytykował konsumpcjonizm i dystansował się od kapitalizmu, ale pierwszą w historii zabawką dodawaną do zestawu Happy Meal nawiązującą do jakiegokolwiek tekstu kultury była plastikowa replika komunikatora, którym posługiwali się bohaterowie cyklu. Imperium finansowe Lucasfilm nie zostało zbudowane dzięki paralelom pomiędzy Rebeliantami a Wietkongiem i złym Imperatorem a Richardem Nixonem, ale dzięki masowej sprzedaży zabawek z odpowiednim logo. Żołnierze kosmosu, satyryczne arcydzieło Paula Verhoevena, mieszające estetykę kina nazistowskiego i amerykańskich produkcji propagandowych, zaowocowało serialem dla dzieci, figurkami, koszulkami z ksenofobicznymi hasłami żyjących w stanie ciągłej wojny Ziemiaków i maszyna do pinballa.

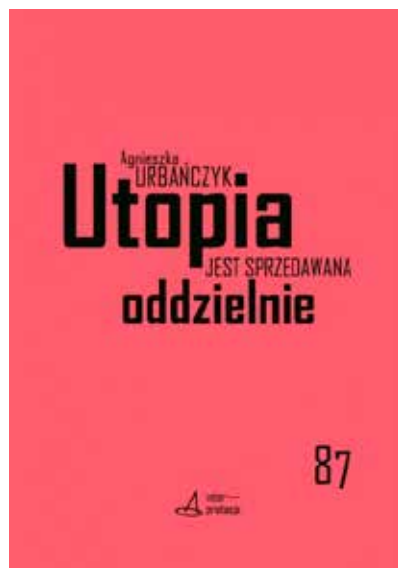
Do momentu popularyzacji mediów społecznościowych proces rekuperacji odbywał się jednak głównie w przestrzeni paratekstów, współcześnie zaś wkracza i do tekstów, w których metafory schodzą powoli na dalszy plan, by zrobić miejsce dla rozbudowywanego uniwersum. Fandom, ze względu na swoją liczebność, skłonność do dzielenia się łatwymi do usystematyzowania opiniami i modele konsumpcji, okazał się nie tylko, jak chcieliby badacze, heterotopią lub przestrzenią pozwalającą na partyzantkę semiotyczną, dającą głos i sprawczość najbardziej wykluczonym, którzy opierają się hegemonii. Okazał się również głównym sojusznikiem rekuperacji.

Artykuł oparty na monografii autorki, zatytułowanej *Utopia jest sprzedawana oddzielnie*.

Polityczność science fiction w recepcji fanowskiej (na przykładzie Star Treka),

Księgarnia Akademicka, Kraków 2022

Agnieszka Urbańczyk, Katedra Antropologii Literatury i Badań Kulturowych Uniwersytetu Jagiellońskiego



Renata Paliga

Wojny i epidemie w dziejach Rzeczypospolitej

Dżuma, cholera, tyfus

Spojrzenie na dzieje Rzeczypospolitej przez pryzmat epidemii chorób zakaźnych występujących podczas wydarzeń, które zaważyły na losach narodu, stało się dla mnie ciekawym wyzwaniem badawczym. Z mojej perspektywy, lekarza, jednoczesna interpretacja historii świata i dziejów medycyny, odniesienie metod historycznych terapii do współczesnych rekomendacji terapeutycznych oraz poszukiwanie wpływu historycznych epidemii na losy Rzeczypospolitej jest zupełnie naturalne.

Od zarania dziejów wojny i epidemie występowały razem. Okoliczności wojny – migracje, brud, niedostatki pożywienia – były idealnymi warunkami do szerzenia chorób. Epidemie z kolei wywoływały chaos społeczny i anarchię, przez co stawały się pretekstem do agresji politycznej i działań wojennych.

Epidemie to również wojna, a zjawisko to zostało uwidocznione najwcześniej w schematach neurolingwistycznych. Powyższy związek wyrażany jest za pomocą metafor obecnych we wszystkich językach. Walczymy z bakteriami, zabijamy je. Przegrywamy lub zwyciężamy z epidemią. Choroba nas niszczy, zjada, wygrywa lub przegrywa z „niewidzialnym wrogiem”. W dziełach literackich, *będących kanonem literatury światowej*, znajdują się opisy epidemii, które często są tłem narracji i stwarzają okoliczności intrygi. Czytelnicy skupieni na głównych wątkach nie zauważają ich istnienia (np. William Shakespeare *Romeo i Julia*).

Wojny tworzyły historię świata przez przesuwanie granic, zawłaszczanie terytoriów i zniewalanie narodów. W celu odniesienia przewagi często wykorzystywano czynniki naturalne: ukształtowanie terenu, warunki meteorologiczne i czynniki biologiczne. Broń biologiczna stosowana była powszechnie i w sposób *naturalny, ponieważ śmiertelne choroby w oczywisty sposób wpisane były w życie ludzi*. Dżuma, która zdziesiątkowała Europę i zakończyła średniowiecze, rozpoczęła się od przerzucenia ciał zmarłych na tę chorobę przez mury miasta podczas wojny obleźniczej.

Wszelkie metody wypracowane przez wieki, które miały służyć ograniczaniu zasięgu epidemii – izolacja, kwarantanna czy kordony sanitarne – były wykorzystywane w sztuce wojennej jako działania wywiadowcze, dezinformacyjne czy szeroko rozumianego wojennego podstepu.

Epidemie i wojny doczekały się olbrzymiej literatury naukowej. Są to zazwyczaj spojrzenia odrębne, o chorobach lub o wojnie, niezgłębiające wzajemnych korelacji ani wagi wpływów. Badacze zajmujący się historią medycyny piszą o aspektach społecznych i statystycznych, natomiast historycy skupieni na dziejach świata i narodów przedstawiają wydarzenia polityczne oraz ich konsekwencje. Epidemie są traktowane w sposób marginalny, jako oczywisty element tła dla historycznych wydarzeń. W analizach historycznych dotyczących strategii wojennych, epidemie nazywane są czasami „trzecią armią”, ponieważ wiele wielkich armii i – wydawałoby się – wygranych wojen ponosiło klęskę z powodu chorób szerzących się w szeregach wojska.

Spojrzenie na dzieje Rzeczypospolitej przez pryzmat epidemii chorób zakaźnych występujących podczas wydarzeń, które zaważyły na losach narodu, stało się dla mnie ciekawym wyzwaniem badawczym. Z mojej perspektywy, lekarza, jednoczesna interpretacja historii *świata* i dziejów medycyny, odniesienie metod historycznych terapii do współczesnych rekomendacji terapeutycznych oraz poszukiwanie wpływu historycznych epidemii na losy Rzeczypospolitej jest zupełnie naturalne. W książce starałam się umieścić to spojrzenie oraz własną interpretację wydarzeń opisywanych wcześniej przez innych badaczy.

Od powietrza, głodu, ognia i wojny...

Do lat osiemdziesiątych XIX wieku nie potwierdzono w sposób naukowy istnienia czynników wywołujących epidemie. Chorobom nadawano nazwy, kierując się charakterystycznymi objawami lub okolicznościami występowania. Groźne schorzenia, prowadzące do depopulacji, określano jako „powietrzne”, czyli przenoszone z powietrzem.

Jeszcze w XVIII wieku funkcjonowały różne teorie na ten temat. W dużym uproszczeniu można powiedzieć, że przyczyn chorób i epidemii szukano w sferach niematerialnych, pochodzących od Boga (kara), oraz w czynnikach podejrzanych o materialne na podstawie obserwacji, lecz niepotwierdzonych przez naukę: contagium, semina czy miazmaty. Ten dualizm funkcjonował równoległe i na równych prawach, co dla ludzi współczesnych może być trudne do zaakceptowania. Metody ówczesnego leczenia pochodziły z analogicznego spektrum. Stosowano modlitwy lecznicze, noszono krzyże Karawaki, traktując to jako profilaktykę, w czasie epidemii odżywały kultury świętych (w Rzeczypospolitej święci Roch, Sebastian i Rozalia), a jednym z powszechnych rytuałów mających zapobiegać zarazie w miastach były okrężne procesje wzdłuż murów (rytuał pochodzący ze starożytności) z obrazem Matki Bożej Łaskawej, którą przedstawiano ze strzałami w dłoniach. Symbolizowały one choroby jako karę pochodzącą od Boga. Jednocześnie ustanawiano kwarantanny, stosowano izolacje, odkażanie dymem i innymi substancjami, zabijano drzwi domostw, palono przedmioty itp.

Spory na temat przyczyn epidemii i chorób trwały do końca XIX wieku, do tzw. przełomu bakteriologicznego, kiedy wskazano biologiczny, materialny czynnik wywołujący choroby (odkrycie bakterii przez Roberta Kocha 1882), powstały aseptyka i antyseptyka oraz wypracowano metody zachowań społecznych, które prowadziły do ograniczenia epidemii.

Dżuma a pierwszy rozbiór Rzeczypospolitej

W XVIII wieku, w czasie epidemii chorób „powietrznych”, stosowano kwarantannę, kordony sanitarne i izolację. Przedmioty pochodzące z terenu epidemii dezynfekowano octem, listy nakłuwano i okadzano, palono rzeczy z zakażonych domów. Na terenach Rzeczypospolitej palono całe domostwa,

zdarzało się, że z żywymi ludźmi w środku. Chorych wypędzano z miejsc zamieszkania np. do lasu, na pola, pozbawiano majątku. Osobom pochodzącym z miejsc „zapowietrzonych” (zakażonych) zabraniano przemieszczenia się. Wypędzeni ludzie błakali się, szukając miejsca do życia. Naturalnie w ich interesie było ukrywanie choroby. W obliczu tak radykalnych metod trudno było się spodziewać dobrowolnego poddania się wymogom znanym dziś jako przeciwepidemiczne.

Powszechnie stosowanym sposobem mającym na celu powstrzymanie rozprzestrzeniania epidemii były kordony *złożone* z wojska prywatnego i chłopów. Rozstawieni co kilkanaście metrów, uzbrojeni w broń, pałki i kije zatrzymywali przybywających z terenów „zapowietrzonych”. W praktyce sprowadzało się to do bicia, przeganiania, często zabijania. Była to żywa zaporę, obronny mur tworzony z ludzi przed „powietrzem”, analogiczny w swym zamysle do budowanych w XVIII wieku fortyfikacji i twierdz.

W lecie 1770 roku na terenach graniczących z Turcją pojawiła się dżuma. W czasie politycznego osłabienia Rzeczypospolitej, trudnej sytuacji związanej z konfederacją barską, słabej pozycji króla Stanisława Augusta Poniatowskiego zbliżała się kolejna klęska. W Warszawie zapanował niepokój podsycany przez służby dyplomatyczne obcych mocarstw. Rosjanie natychmiast wykorzystali strach przed dżumą jako pretekst do ustanowienia w Warszawie posterunków własnych wojsk, m.in. do pilnowania spichlerzy, ponieważ w izolowanych z powodu epidemii miastach częste były rozruchy społeczne na tle niedostatku żywności. Powstała też idea usypania wałów dookoła Warszawy, które miały chronić stolicę przed dżumą. Podjęto gremialną decyzję o ich stworzeniu, lecz ponad miesiąc trwały targi, kto ma za to przedsięwzięcie zapłacić. *W końcu* wstępne koszty poniósł król Stanisław August Poniatowski z własnego budżetu.

Dżuma nigdy do Warszawy nie dotarła, a usypane przeciwko „powietrzu” wały broniły stolicy przed Rosjanami podczas powstania kościuszkowskiego. Rosyjskie wojska, mające pilnować zboża w Warszawie, już jej nie opuściły.

Epidemia dżumy została wykorzystana do celów politycznych i militarnych skierowanych przeciwko Rzeczypospolitej. Wojskowe kordony sanitarne Prus, Austrii, Rosji, które naruszyły granice Rzeczypospolitej, aby bronić swych krajów przed epidemią i pomagać Polakom w nieszczęściu, zajęły jej tereny podczas pierwszego rozbioru w 1772 roku. Dżuma stała się pretekstem do wrogich poczynań propagandowych, dezinformacji i w końcu działań militarnych, a wojskowe kordony sanitarne obcych wojsk stały się narzędziem militarnym.

Epidemia cholery i klęska powstania listopadowego

Wybuch powstania listopadowego jesienią 1830 roku wystąpił w czasie, kiedy w Rosji szalała epidemia cholera morbus, choroby dotychczas nieznaną w Europie. Wątpliwość, czy planując powstanie zdawano sobie sprawę z zagrożenia epidemicznego, jest pytaniem typowo współczesnym. Wówczas na wschodzie często występowały epidemie różnych chorób, a kwarantanny były traktowane jako niespodziewane atrakcje podróży w modnym wówczas poznawaniu świata. Cholera nigdy wcześniej nie przekroczyła granic Rosji i trudno się dziwić, że powątpiewano w odstępstwo od tej prawidłowości.

Pierwsze zachorowania na cholere wśród polskich żołnierzy wystąpiły po bitwie pod Iganiami w kwietniu 1831 roku, po kontakcie z wojskami rosyjskimi. Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Chorych w wojsku polskim przybywało, trwały spory dotyczące zakaźności choroby (zakaźna – nie zakaźna, epidemiczna – sporadyczna itp.). W maju choroba opanowała Warszawę. Organizacja i zarządzanie miastem w obliczu epidemii nieznaną wówczas choroby zakaźnej może dziś budzić



Św. Roch i św. Rozalia, poł. XVIII w., olej na płótnie, Kościół pw. Św. Franciszka w Krasnymstawie

FOT. SEBASTIAN LECHAN

pozytywne zdziwienie. Aspekty organizacyjne walki z epidemią są zadziwiająco podobne do współczesnych. Stwierdzono, że należy zwiększyć kadry medyczne, skupiono się na zatrudnieniu lekarzy z zagranicy (chętnych nie brakowało z powodu korzystnych płac) oraz tworzeniu dużej liczby szpitali. Walki powstania toczyły się dookoła stolicy. W mieście powstawały wojskowe szpitale dla rannych i osobne dla chorych na cholere. Szpitale powstawały też jako oddolne, lokalne inicjatywy, wynikające z potrzeby chwili i jako symbol patriotyzmu ludności cywilnej. Przyjmowano chorych i rannych, cywili i żołnierzy co powodowało rozprzestrzenianie choroby. W momencie kulminacji wojny i epidemii trudno było zapanować nad chaosem i ścisłym przestrzeganiem odgórnych – słusznych z epidemiologicznego punktu widzenia – zaleceń. Lazarety dla chorych na cholere tworzone również po to, by nie demoralizować żołnierzy i społeczeństwa Warszawy widokiem mężczyzn, żołnierzy, patriotów umierających na ziemi, w rowach, z powodu niepomaganego biegunki i wymiotów.

Nie było skutecznych metod leczenia. Obowiązującą terapią było wówczas upuszczanie krwi, picie grzanego wina, palenie prześcieradła umieszczonego na brzuchu w celu „wygrzania” choroby, „unikanie przestrachu”, zioła, środki wymiotne i przeczyszczające itp. Kiedy u schyłku powstania cholera dotarła na prowincję, chorych leczono w domach, ponieważ zaobserwowano, iż lepsze rezultaty przynosi zaniechanie oficjalnie zalecanego leczenia i troskliwa pielęgnacja połączona z pojeniem, czyli nawadnianiem chorych. Te obserwacje wpłynęły na obalenie dogmatu krwiopustu i rozwój nowych metod leczniczych (np. infuzjologii i transfuzjologii).

Ocenia się, że więcej żołnierzy umarło w powstaniu listopadowym z powodu biegunki i cholery niż z odniesionych ran, a epidemia zaważyła na losach zrywu narodowego. Warszawa stała się „miastem zero” ogólnoświatowej pandemii cholery, stąd rozwleczono ją do krajów Europy. Po dwóch latach cholera pojawiała się pod postacią lokalnych ognisk epidemicznych na wszystkich kontynentach. Cholera morbus nękała świat przez cały XIX wiek. Pandemia towarzyszyła ewolucji nauki, przyczyniając się do odkryć medycznych oraz wypracowania współczesnych standardów postępowania przeciwepidemicznego.

Strach przed wszami i „czerwoną zarazą” a odzyskanie niepodległości Rzeczypospolitej

Zmiana sił politycznych w Europie po pierwszej wojnie światowej, wyniszczenie ekonomiczne dotychczasowych mocarstw, rewolucja bolszewicka w Rosji, strach przed epidemią duru osutkowego (tyfusu plamistego – funkcjonowało kilka nazw i określeń) przenieszonego przez wszy, zmiana rozumienia terminu „kordon sanitarny” (jako teren buforowy), którym miało być terytorium nowej Rzeczypospolitej, genialne wykorzystanie nadarżającej się możliwości przez polskich mężów stanu – wiele okoliczności można wymieniać w kontekście ich wpływu na odzyskanie niepodległości przez Rzeczpospolitą w 1918 roku. Niezaprzeczalnie jednak o niepodległość walczone w okolicznościach epidemii. Równoległe z działaniami wojennymi toczyły się rozmowy dyplomatyczne. Prowadziła je i strona radziecka, i polska. Szukano sojuszników, a sytuacja epidemiologiczna była coraz poważniejsza, moderowana przez migrację ludzi, biedę, brud i głód. Świadectwem trudnej sytuacji są słowa Lenina

powtarzane dziś jako żart, chociaż wówczas miało to wydźwięk budzący grozę: „Albo wesz zwycięży socjalizm, albo socjalizm zwycięży wesz”. W prasie amerykańskiej pojawiły się doniesienia o tym, że tyfus plamisty szerzy się wśród Rosjan w sposób niewyobrażalny, że wykorzystują oni chorobę jako broń biologiczną, wysyłając samochody pełne chorych ludzi na tereny przygraniczne, a epidemię w Europie wykorzystywano w narracji antyimigracyjnej.

Powstanie określenia „kordon sanitarny”, które używane jest powszechnie we współczesnych pracach dotyczących polityki i dyplomacji, wiąże się z wydarzeniami kształtującymi historię naszego kraju. Dyplomacja francuska, żywo zainteresowana utrzymaniem strefy wpływu w środkowej Europie, zainicjowała utworzenie „kordonu sanitarnego”, który miał uczynić z kilku państw, w tym Polski, teren buforowy przed „czerwoną zarazą”, która opanowała Rosję. W ten zawaolowany sposób nazwano terytoria państw oddzielających państwa zachodu od Rosji bolszewickiej w czasie, kiedy naprawdę na terenach Rosji i Polski panowała epidemia ciężkiej, śmiertelnej choroby przenoszonej przez wszy, kojarzonej z brudem i nędzą. Mimo rozwoju mikrobiologii i poznania czynnika wywołującego chorobę, nadal nie było dostępnych szczepień ani skutecznych metod leczenia. Prace historyczne zazwyczaj nie wspominają o tym, że istniało realne zagrożenie, iż epidemia pomaszeruje na zachód, tak jak stało się to w przypadku cholery w czasie powstania listopadowego, a możliwość powstania Rzeczypospolitej, nowego państwa, wiązała się z przywilejem (przekleństwem) granicznego terytorium.

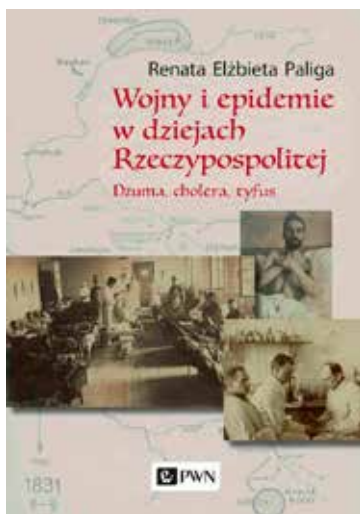
Reasumując, na pierwszy rozbiór Rzeczypospolitej wpłynęły okoliczności związane z epidemią *dżumy toczącej się u jej wschodnich granic. Stała się ona pretekstem do wkroczenia wojsk obcych mocarstw pod postacią wojskowych kordonów sanitarnych. Cholera zaważyła na losach powstania listopadowego, a dur osutkowy (tyfus plamisty) i dyplomatyczne przeforsowanie terytorialnego „kordonu sanitarnego” stworzyły warunki do odzyskania przez Rzeczpospolitą niepodległości.*

Epidemie towarzyszą ludziom od zarania dziejów. Porównywane są semantycznie do wojny, ponieważ w praktyce jest to wojna o przetrwanie. Przetrwanie gatunku, społeczności, jednostki. Wszelkie ekstremalne warunki prowadzą do zburzenia dotychczasowego ładu ekonomicznego, gospodarczego. Prowokują działania agresywne w skali jednostek ludzkich i działań międzynarodowych.

Epidemia Covid-19 *uświadomiła, że mimo wielkich osiągnięć technologicznych, lotów w kosmos, inżynierii genetycznej itp., trwa walka z mikrobami, a metody pochodzące ze starożytności – kwarantanna, izolacja – stały się od 2020 roku dla ludzi na całym świecie obowiązującym kanonem postępowania. W obecnej sytuacji politycznej, której absolutnie nie byłam w stanie przewidzieć pisząc książkę, potwierdza się korelacja wzajemnych powiązań. Obserwowana od zarania dziejów, wyrażana w słowach suplikacji: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny...”.*

Artykuł przybliży tematykę monografii autorki *Wojny i epidemie w dziejach Rzeczypospolitej. Dżuma, cholera, tyfus*, wydanej przez Wydawnictwo Naukowe PWN.

Dr n. med. Renata Paliga, Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie, Zakład Historii Medycyny i Etyki Lekarskiej



Podręczniki

„Pokreślone, z różnymi glosami na marginesach, pomięte wyglądały jak obraz nędzy i rozpaczy. A przecież takie właśnie cenione były bardziej niż skrypty nowe, chociażby dlatego, że na zasadzie podkreśleń, wykrzykników i uwag poprzednich użytkowników od razu było wiadomo, co trzeba uważnie czytać – a co tylko pobieżnie przeczucić”.

Czynnikiem porządkującym wiedzę stała się szkoła, jej nauczyciele i podręczniki. Uczniowie mający opanowaną umiejętność pisania gromadzili początkowo **podręczne notatki**, sporządzane według schematów podawanych przez nauczyciela. Kierowano się formułą *verba volant, scripta manent*. Św. Augustyn uważał, że treść nauczanych w szkołach przedmiotów powinna być ujęta w formę **podręcznika**. Wzorem podręcznika przez tysiąc lat było dzieło Maritjanusa Felixa Capelli *De nuptiis Philologiae et Mercurii* (I połowa V w. n.e.), ustalające układ *septem artes liberales*, ujętych w dwie grupy – *trivium* i *quadrivium*. W dawnych szkołach i uniwersytetach było oczywiste, że podręcznik nie może zastąpić nauczyciela. Nauczanie wymagało „żywego słowa”, podręcznik służył „pod ręką” jako dopełnienie zajęć prowadzonych w formie wykładu bądź ćwiczeń. W ramach **metod scholastycznych** podręcznik ujawnił swoją zaletę – można go było „wkuwać” na pamięć. Podręczniki były dziełem kopistów, przypominały początkowo formę wypisów z dzieł klasyków. Służyły przede wszystkim nauczycielom, warunkiem wstępnym ich wyzyskiwania była biegłość czytania i pisania. W uniwersytetach organizowano *scriptoria* – pokoje, gdzie przepisujący czyjeś teksty mieli miejsce do pracy. Podręczniki z istoty i nazwy miały przeznaczenie praktyczne, poczynając od *ars dictaminis*, kursu przebudowanej retoryki. Uczono przy ich pomocy redagowania aktów normatywnych i dokumentów, czego nie można było osiągnąć przy pomocy środków werbalnych. Zbiory komentarzy szczególnie były przydatne przy studiowaniu prawa. Powstawały zbiory *gloss* i zbiory *casus* oraz zbiory *zasad prawnych* (*brocarda*). Dekret Gracjana porządkował przepisy prawa kościelnego. Dla teologów kanon wiedzy podręcznikowej stanowiły *Sentencie* Piotra Lombarda. Na uniwersytetach pojawiły się też kompilacje tekstów arabskich, przydatne dla przyszłych medyków. Szczególnie popularny był zbiór *recept Antidotarius*. Pojawiały się też podręczniki chirurgii, anatomii czy okulistyki. Wspólną cechą tych rękopiśmiennych podręczników były kolejne wydania, zawierające modernizacje tekstu bez oglądania się na prawo autorskie.

Scholarze posiadali podręczniki na własność. Indywidualizowali je poprzez notowane na marginesach uwagi wykładających doktorów, co nazywano **głosowaniem tekstu**. Taki uzupełniony glosami tekst nazywano *apparatus*. Upowszechniła się przy podręcznikach **kursywa**, upraszczająca pismo kaligraficzne. Znikały bogate iluminacje i drogie oprawy, a pojawiały się licznie abrewiatury (skrótory). Nadal jednak koszt sporządza-

nia rękopiśmiennego podręcznika przekraczał roczne koszty utrzymania scholara. Krążyły więc pecie, złożone z czterech kart (8 stron). Tej praktycznej tendencji towarzyszyła idea **fragmentacji wiedzy**. Władze uniwersyteckie powoływały kontrolerów (*pecarii*) do sprawdzania poprawności krążących wśród scholarów i księgarzy (*stationarii*) podręczników.

Syntezy wiedzy

Wiedza była przeznaczona do użytku domowego, zawodowego, ale i publicznego. **Podręczniki wiedzy** były zawsze zróżnicowane co do formy i co do treści. Według św. Tomasza z Akwinu należało odróżniać *curiositas* – chaotyczne dążenie do wiedzy wynikające z pychy, od *studiositas* – ukierunkowane dążenie do wiedzy z potrzeby poznawczej.

Nową epokę w dziejach podręczników stworzył wynalazek druku. Otwarta została droga do nauki akademickiej. W miejsce klasycznych tekstów autorytetów zaczęły pojawiać się **syntezy wiedzy podręcznikowej**, przedstawiające nie tyle doktrynalnie ujętą wiedzę, co wpisaną już w **diedziny**, a nawet **dyscypliny**, naukę akademicką. Mimo akademizacji podręczników utrzymana została ich rozpoznawalna cecha w postaci rezygnacji z wymogów warsztatowych, z drobiazgowego ustalania w przypisach, „kto, co, kiedy i gdzie” napisał o danej kwestii. Racją istnienia podręczników była ich użyteczność. Miały wobec ksiąg pozycję *fratres minores*.

Jan Amos Komeński stawał w obronie uczonych ksiąg (*Mowa o umiejętności posługiwaniu się książkami* z 28 XI 1650 – tłum. z łaciny Żofia Abramowiczówna i Maria Walentynowicz): „Skrótem drogi do wykształcenia było dla nas zadowalenie się cudzymi broszurkami, wypiskami, antologijkami, postyllami, rozprawkami, nawet słowniczkami i gramatyczkami”. Podręczna wiedza miała z zasady charakter nieusystematyzowany. Takie były rodzinne księgi szlacheckie, popularne w Polsce XVI-XVIII wieku, zwane *silva rerum* (*las rzeczy*). Gromadzenie zipsków warunkowane było umiejętnością pisania i potrzebą dokumentowania życia codziennego. Podobną rolę, ale w obiegu księgarskim, pełniły „księgi sekretów”, *miscellanea* (tematy ciekawe) czy drukowane imiennie do użytku powszechnego *silva rerum*.

Podręczniki drukowane dawały okazję do multiplikacji, obiektywizacji i utrwalania nauczanych treści, a pośrednio i do ich kontroli przez Kościół (cenzura). Według Jana Amosa Komeńskiego (*Didactica Magna*, 1638, tłum. na język polski Henryk Wernic, 1883), w szkołach elementarnych „dla

poszczególnych klas należy przygotować specjalne książki, które by wyczerpywały cały materiał przeznaczony dla tej klasy (z zakresu nauk, moralności i bogobojności), tak aby uczniowie, jak długo w tych szrankach pozostają, nie potrzebowali żadnych innych książek”. Podręczniki „muszą koniecznie wyczerpywać również cały zakres ojczystego języka, tj. wszelkie nazwy rzeczy, które dzieci stosownie do wieku są zdolne pojąć, oraz najważniejsze i najbardziej użyteczne zwroty mowy”. Miały to więc być nie tyle podręczniki przedmiotowe, co **przewodniki klasowe**. Komeński radził, aby w godzinach popołudniowych, przeznaczonych w ówczesnej szkole na powtarzanie materiału, uczniowie przepisywali fragmenty podręczników, co przyniesie podwójną korzyść: opanowanie treści i biegłość w pisaniu. Tu mogła pojawić się kontrola ze strony rodziców, jeśli miejscem przepisywania był dom rodzinny. Według Komeńskiego, po ukończeniu nauki w szkole należało podręczniki odłożyć na rzecz uczonych ksiąg. W praktyce ukształtował się więc nowy model podręcznika i nowa jego pozycja. Nie był pomyślany jako podręcznik akademicki, lecz jako typowe narzędzie „**nauki szkolnej**”. Sporządzanie podręczników przez profesorów było powszechne, ale na potrzeby niższych szczebli szkolnictwa.

Redakcja Ksiąg Elementarnych

Reformy absolutyzmu oświeconego powołały wieloszczeblowy **system szkolnictwa**. Pierwszą z nich przeprowadził w 1749 roku w Austrii Gerard baron van Swieten. Uniwersytety inkorporowano do systemu szkolnego, wprowadzono też **scholaryzację metod** prowadzenia zajęć. Pojawiły się aprobowane przez władze „**książki wykładowe**”, jednolite podręczniki przedmiotowe, wspólne – tak jak i zatwierdzany program nauczania – dla wszystkich uniwersytetów i szkół. W ramach tych reform, zmierzających do upaństwowienia, ale i kontroli szkół, powołano wyspecjalizowane agendy organizujące przygotowanie, druk i rozpowszechnianie podręczników szkolnych. W latach 1775-1792 działało Towarzystwo do Ksiąg Elementarnych. Gromadziło eks-jezuitów, pijarów, ks. Szczepana Hołowczyca i dyrektora Korpusu Kadetów Chrystiana Pflaiderera. Na sekretarza Towarzystwa wybrano ks. Grzegorza Piramowicza. Ogółem działało w Towarzystwie 23 członków, w tym bp Jan Albertrandi, ks. Hugo Kołłątaj, ks. Onufry Kopczyński. Celem Towarzystwa było przygotowanie programów szkolnych, zamówienie odpowiednich podręczników, sprawowanie kontroli nad szkołami oraz sporządzanie projektów legislacyjnych. Formalnie Towarzystwo było organizacją społeczną, zarazem jednak **agendą** Komisji Edukacji Narodowej. Prace nad podręcznikami prowadzono z powołaniem się na formę komisji (zamówienia imiennego) lub konkursu. W obwieszczeniu konkursowym precyzowano założenia ideowe, wskazówki metodyczne i układ danej nauki. Były to wzorce **podręczników dyscyplinowych** (przedmiotowych), „nauki szkolnej”. Pozyskano 27 podręczników dla szkół średniego stopnia (w tym 5 opracowanych przez cudzoziemców). Elementarz dla szkół parafialnych powstał dopiero w 1785 roku. Druk oraz kolportaż podręczników szkolnych przejęła w 1783 roku Szkoła Główna krakowska. Podręczniki szkolne zawierały nowoczesne dodatki: objaśnienia pojęciowe, noty na marginesach, tabele, wykresy i ryciny. Do podręczników dołączano przewodniki metodyczne – *Przepisy dla nauczycieli*. W mowie ks. Piramowicza (7 III 1776) nakazywano autorom podręczników „wybierać środkową drogę między ślepym do starych obyczajów przywiązaniem a niebezpiecznym nowości chwytnościem”. Uwagi te kierował przede wszystkim wobec autorów podręczników do historii naturalnej. Kanon wiedzy podręcznikowej nie obejmował więc „nowej nauki”, konstytutywnego elementu nauki akademickiej.

W okresie reform napoleońskich, w roku 1809, zorganizowano w Księstwie Warszawskim Redakcję Ksiąg Elementarnych

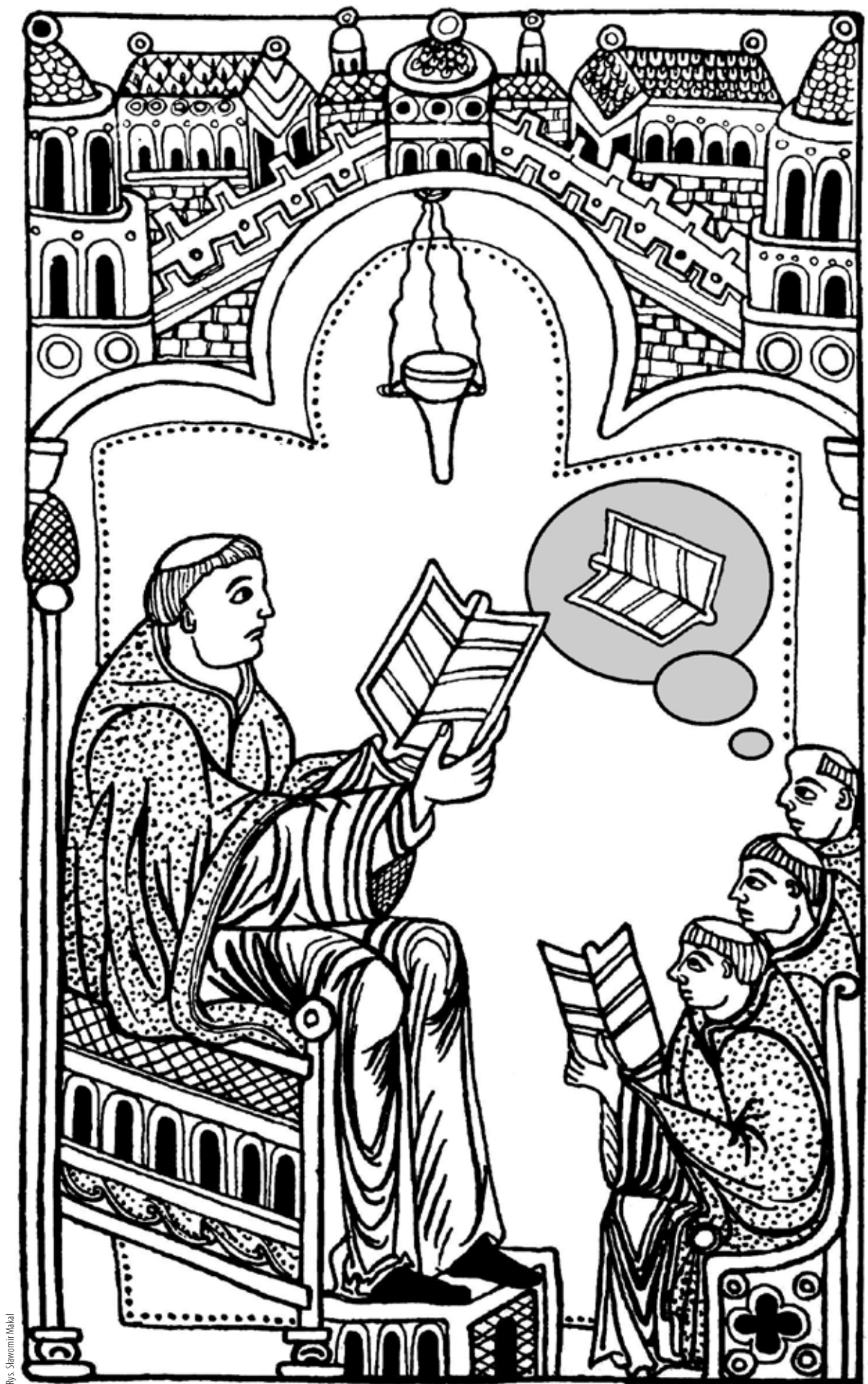
jako wydział Izby Edukacyjnej. Z dniem 26 kwietnia 1810 roku rozpoczęło pracę nowe Towarzystwo do Ksiąg Elementarnych. W Królestwie Polskim forma towarzystwa została zniesiona na rzecz ciała formalnie urzędniczego – komisji. Prace podręcznikowe organizowała administracja ministerialna, kierując się wymogami cenzury, a przede wszystkim programem rusyfikacji czy germanizacji. Dopiero w okresie Wiosny Ludów pojawiły się względnie ograniczone swobody. W Galicji Józef Majer wprowadził do statutowych zadań Towarzystwa Naukowego Krakowskiego (1848) „rozszerzanie oświaty” poprzez prace odpowiedniego wydziału oraz działania Komitetu dla Ksiąg Elementarnych. Po roku uruchomiono „Bibliotekę Naukową”, w ramach której publikowano podręczniki akademickie. Ossolineum zaczęło (1848) zabiegać o prawo wyłączności druku polskich podręczników dla szkół ludowych. Tę intratną możliwość uzyskano dopiero w 1878 roku w wyniku zabiegów kuratora Zakładu, Kazimierza hr. Krasickiego. Przywilej ten wygasł z chwilą odzyskania niepodległości – podręczniki szkolne znalazły się w gestii Ministerstwa WRiOP.

Dobry profesor da sobie radę z najgorszym podręcznikiem

W XIX w. popularne na uniwersytetach stały się **skrypty** (scriptum). Były to publikacje powielaczowe. Wydawano je za zgodą profesorów, którzy prowadzili wykłady. Nie zawsze godzili się na autoryzację stenograficznego zapisu dokonanego przez wybranego studenta na potrzeby Bratniej Pomocy. Była to działalność komercyjna, ale zwyczajowo honorarium autorskie profesor przekazywał na potrzeby studentów. W XIX wieku pojawiały się na uzawodowionych studiach prawnych czy lekarskich **compendia** – skróty podręcznikowe. Nie wytworzył się akademicki standard podręcznika na najwyższym poziomie, była to co najwyżej pełna zapożyczeń z obcej literatury „**nauka podręcznikowa**”. Podręczniki drukowane w profesjonalnych wydawnictwach nie miały charakteru – tak jak skrypty – autorskiego. Pozbawione były przypisów i innych cech warsztatowych. O podręcznym traktowaniu podręczników akademickich świadczyła opinia Józefa Bielińskiego [*Królewski Uniwersytet Warszawski (1816-1831)*, tom II, 1912]: „podręcznik nie jest ani zły, ani dobry – jeżeli profesor prowadzący podług niego wykłady, jest odpowiednio przygotowany do spełnienia obowiązków, jakie przyjął na siebie (...) dobry profesor, da sobie radę z najgorszym podręcznikiem”.

W kierunku „nauki podręcznikowej” podążał już Fryderyk Hechell. Odnotował w pamiętnikach (1845): „przedsięwzięciem napisać historię nauki lekarskiej od jej początków aż do naszych czasów. Wziąłem za podwalinę do tego dzieła historię niewielką Haesera, dlatego iż on w krótkości i z wielkim rozsądkiem najważniejsze zmiany i postępy naszej nauki zebrał, łatwiej więc będzie do niego coś dodawać, gdzie coś zabraknie, i dopełniać, gdzie jest niedostatecznym, aniżeli z obszernych dzieł skracać i sklejać, łatwiej nareszcie swoje uwagi i zdania przyłączać, aniżeli cudze przerabiać”. Nagminne zjawisko po latach określił Adam Vetulani (*Początki najstarszych wszechnic środkowoeuropejskich*, 1970) jako „przejątki z innych dzieł”.

Uwidoczniły się różnice w traktowaniu ksiąg, a z drugiej strony podręczników i skryptów. Te drugie można było poznać po wyglądzie: były „zacytane”, pełne podkreśleń, niekiedy z wyrwanymi kartkami. Przechodzenie skryptu „z rąk do rąk” prowadziło do tego, że mogły nabrać wartości. Jerzy Tymiński (cyt. za: Piotr M. Majewski, *Spółeczność akademicka 1915-1939*, w: *Dzieje Uniwersytetu Warszawskiego 1915-1945*, 2016) wspominał: „Pokreślone, z różnymi glosami na marginesach, pomięte wyglądały jak obraz nędzy i rozpaczy. A przecież takie właśnie cenie były bardziej niż skrypty



Rys. Sławomir Makal

nowe, chociażby dlatego, że na zasadzie podkreśleń, wykrzykników i uwag poprzednich użytkowników od razu było wiadomo, co trzeba uważnie czytać – a co tylko pobieżnie przecztać”. Żywot podręcznika był paroletni, nie był godzien zalegać na półce w domowej bibliotece. Powodem krótkiego żywota było nie tyle „zacztytanie”, ile przystość **nowej wiedzy**. Ludwik Fleck wskazywał (*Problemy naukoznawstwa*, „Życie Nauki”, nr 5, 1946): „Każdy fachowiec odróżni stary podręcznik swojej nauki od nowego: jest w całości anachroniczny (...) poznamy, że jest przestarzały, nie tylko po braku późniejszych odkryć, ale po całym toku podstawowych wywodów”. W pracy *Entstehung und Entwicklung einer wissenschaftlichen Tatsache* (1935, tłum. z jęz. niemieckiego Maria Tuszkiewicz, 1986) Fleck odróżnił „naukę podręcznikową” (opartą na aksjomatach) od „wiedzy czasopismowej” (tymczasowej i osobowej) oraz „popularnej” (uproszczonej). Twierdził: „Jeśli przez fakt rozumie się coś stałego, udowodnionego, to istnieje on tylko w wiedzy podręcznikowej”. Fleck odrzucał (1946) koncepcję „podstawowych elementów”, rzekomo obecnych w podręcznikach: „Zgoda ogółu nie jest sprawdzianem nauki, bo nigdy nie ma zgody <ogółu> lecz tylko <naszego zespołu>, a tą rozporządza także błędne poznanie”. Konieczna więc była „charakterystyka naukowego stylu myślowego”, dopełniająca wiedzę o faktach naukowych.

Do wykuwania przy egzaminach

Za dydaktycznymi potrzebami uczniów i studentów, domagających się podręczników przedmiotowych, kryły się interesy administracji oświatowej. Presja, jaką wywierała administracja ministerialna, wyrażała się w upowszechnianiu **scholarzacji**. W tym kierunku zmierzały reformy szkolnictwa wyższego. Według Zygmunta Łempickiego (*W sprawie organizacji uniwersytetów polskich*, „Przegląd Współczesny”, tom XXI, IV-VI 1927) reforma studiów filozoficznych z 1925 roku demoralizowała nie tylko studentów, ale także profesorów, bowiem „stwarza potrzebę podręczników do wykuwania przy egzaminach (...) młodzie nawet stosunkowo profesorowie czują pęd do <spodręcznikowania> swojej wiedzy”. Zatracie ulega „bezpośredni, bliski kontakt profesora z uczniem. Między nich wchodzi teraz podręcznik. Celem nauki staje się wkucie możliwie wielkiej ilości stron podręcznika do głowy. Są i obowiązkowe ćwiczenia, które <odrobić> musi humanista”. Podobne tezy wygłosił Kazimierz Tymieniecki na łamach „Wiadomości Literackich” (nr 158 z 9 I 1927).

Czesław Znamierowski, przeciwnie, domagał się upowszechnienia podręczników akademickich (*Uwagi końcowe*, w: *O naprawie studiów prawnych*, 1938). Pierwszym etapem „akcji reformistycznej” miało być „opracowanie podręczników, które byłyby punktem wyjścia w nauczaniu i zwalniały wykładających od uciążliwego obowiązku, jakim jest powtarzać corocznie ten sam całokształt przedmiotu. Mogąc dać słuchaczowi dobry podręcznik do ręki, profesor mógłby poświęcić całą swą energię na wykłady monograficzne, a przedewszystkiem na ćwiczenia, które muszą się stać ośrodkiem najważniejszym studiów”.

Wydawaniem podręczników szkolnych po utracie monopolu przez Ossolineum zajęło się Państwowe Wydawnictwo Książek. Łącznie z wydawcami prywatnymi publikowano rocznie około 3 mln egzemplarzy. Od roku 1928 udział procentowy tytułów podręczników w ogólnej produkcji wydawniczej malał od 13,9% do 9,7% w roku 1937. Biorąc pod uwagę łączny nakład podręczników, dostrzegalny był niewielki wzrost ilościowy – od 20,7% (1928) do 23,6% (1937). Sprawą podręczników akademickich zajął się powołany przy Ministerstwie WRO (1929) Komitet Wydawniczy Podręczników Akademickich.

Zejście nauczania akademickiego do podziemia w czasie okupacji niemieckiej zmieniło optykę widzenia sprawy pod-

ręczników. Stefan Pieńkowski w referacie *Nauka polska w czasie okupacji*, wygłoszonym 2 maja 1946 roku na Zjeździe Komisji do badania dziejów oświaty i wychowania ZNP, podkreślał znaczenie uruchomionej w 1940 roku akcji „przygotowywania podręczników akademickich. Był to bowiem jeden z podstawowych braków naszego szkolnictwa akademickiego i jego wielki grzech, że nie potrafiłmy przez 20 lat stworzyć choćby jednego kompletu podręczników z podstawowych choćby dziedzin wiedzy”.

W powojennych realiach ustrojowych koncepcja jednego podręcznika akademickiego do danego przedmiotu znalazła dodatkowe uzasadnienia. Stanisław Skowron na łamach „Życia Nauki” (nr 1, 1946), w artykule *O metodach nauczania na wyższych uczelniach*, wskazywał: „za pierwszą palącą potrzebę uważam dostarczenie studiującej młodzieży dobrych polskich podręczników, przedstawiających całość zakresu poszczególnego przedmiotu. Podręcznik (...) zarówno ułatwi jej pracę, jak i pozwoli profesorowi na opracowywanie monograficznych i syntetycznych wykładów z poszczególnych działów swojego przedmiotu (...), ograniczenie liczby godzin, przeznaczonych na właściwe wykłady, da możliwość poświęcenia pewnej ilości czasu na referaty, dyskusje i konwersatoria”.

Przedstawione postulaty odpowiadały trendom i wzorcom w szkolnictwie niższych szczebli. Powołano Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, będące agendą wydawniczą Ministerstwa Oświaty. PZWS posiadały wyspecjalizowane drukarnie, usytuowane w Bydgoszczy i Łodzi. Wydawnictwo to zdobywało rynek szkolny kosztem wydawców prywatnych (sięgających po przedruki podręczników przedwojennych). W roku 1945 PZWS wydało 3% ogólnej liczby podręczników w nakładzie 1,3 mln egzemplarzy. Po roku było to już 26% w nakładzie 11,8 mln egzemplarzy, a w roku 1947 46% w nakładzie 17,5 mln egzemplarzy. Ministerstwo Oświaty wprowadziło w drugim kwartale 1947 roku priorytet w przydziale papieru na druk podręczników, co wyeliminowało wydawców prywatnych. Ministerstwo ustalało też wysokość nakładu każdego z drukowanych podręczników. W gestii PZWS znalazł się druk książek i skryptów dla studentów, powołano w 1948 roku Instytut Wydawnictw Naukowych i Podręczników dla Szkół Wyższych. PZWS przejęło druk skryptów od spółdzielni studenckich z końcem 1949 roku. Uruchomiono powielarnie skryptów w ośrodkach akademickich. Od lutego 1950 do maja 1951 roku wydano w PZWS 327 skryptów (plus 68 skryptów na zlecenie).

W kolejnych latach działania PZWS wydrukowano ograniczoną liczbę podręczników szkolnych, jednak w wysokich nakładach. W 1945 roku zaledwie 5, a w 1956 – 194 (w nakładzie 22,1 mln egz.). Problemem stały się częste zmiany programowe dokonywane przez Ministerstwo Oświaty oraz częste ingerencje cenzury. Powołanie Państwowego Wydawnictwa Naukowego (1951) połączono z likwidacją prawa szkół wyższych do wydawania skryptów akademickich (przywrócono to prawo uczelniom 1 I 1957). W 1951 roku opublikowano 208 skryptów (2547 ark. wyd.), w 1952 – 423 (5786 ark. wyd.), w kolejnych latach ta liczba spadała do 216 (3000 ark. wyd.) w 1956 roku. Od roku 1954 pojawiły się skrypty nie powielane, a drukowane. W roku 1956 wydrukowano w PWN 91 podręczników. Jak ustaliła Dorota Degen (*Miodowe miesiące... Początki Państwowego Wydawnictwa Naukowego (1951-1956)*, 2004), *Wytyczne planu wydawniczego na rok 1951*, przygotowane przez Biuro Centralnej Komisji Wydawniczej, stwierdzały, że ma ten rok „przynieść zasadniczą poprawę w dziedzinie podręczników akademickich, w które – choćby w postaci skryptu akademickiego – winny być zaopatrzone wszystkie nasze wyższe uczelnie na wszystkich latach nauczania”. Taki monopol był obcy akademickim swobodom i służył **kontroli ideologicznej**.

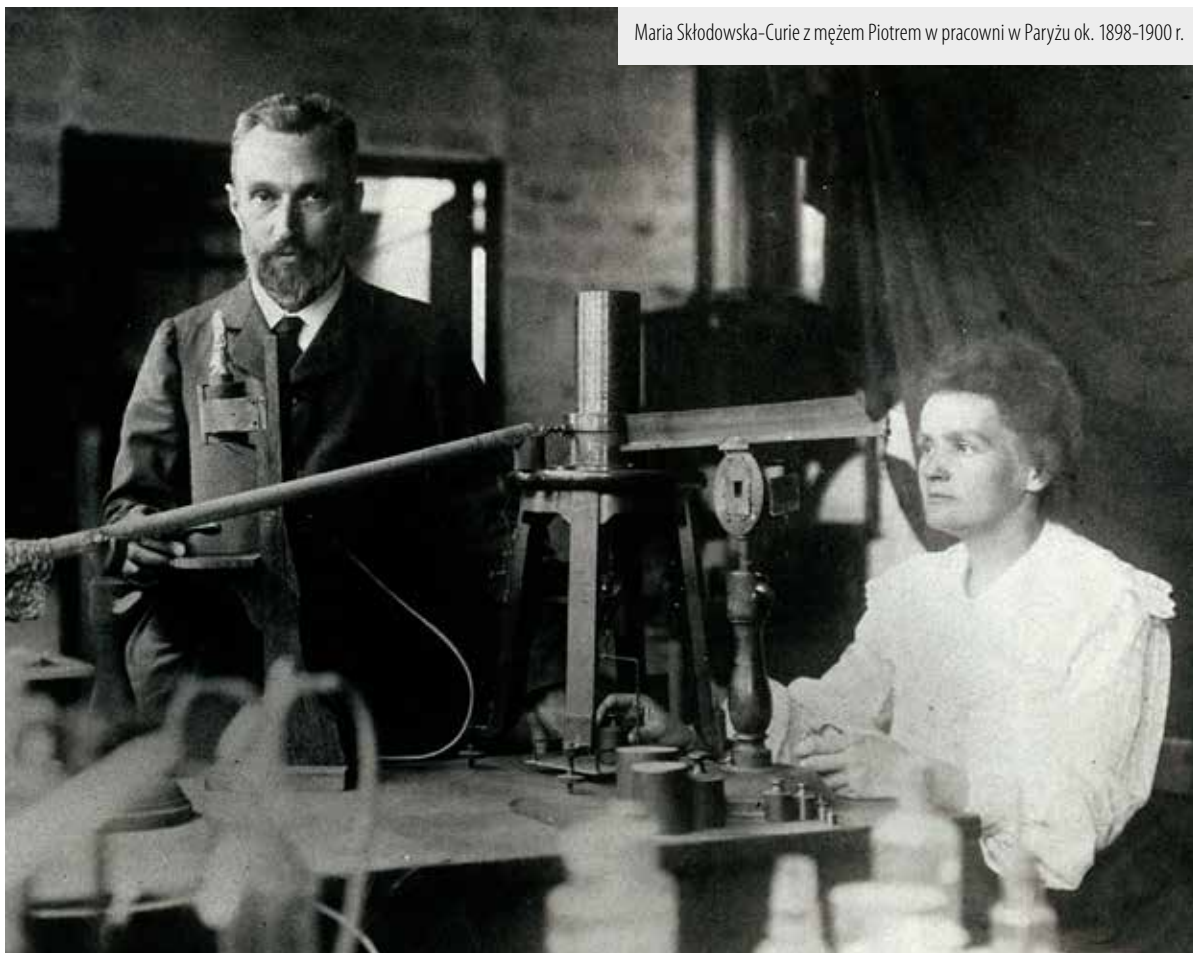
Fotografie uczonych z przeszłości

Co na zdjęciu, co poza nim?

Przedstawiam pięć zdjęć, które uważam za ikoniczne dla historii nauki polskiej. Opowiem, co jest na nich, ale też o tym, czego nie widać, a co stanowiło kontekst ich powstania.

Żyjemy w kulturze wizualnej. Każdy ma w kieszeni telefon, który jest w stanie zrobić w krótkim czasie bardzo dużą liczbę zdjęć i filmów. Fotografujemy wszystko: siebie, swoją pracę, bliskich, przyrodę, a nawet uliczne korki czy dania zamawiane w restauracji. Mamy też tendencję do wielokrotnego utrwalania własnej aparycji (selfie). Aby robić to z atrakcyjnego dystansu, wymyślono specjalnie selfie stick. W przeszłości fotografowa-

nie nie wyglądało tak prosto. Zauważmy, że upowszechnienie się aparatu fotograficznego przypada na początek XX wieku. Zatem w XIX wieku większość ludzi na ziemi nie robiła wcale zdjęć i nie zostawała na nich uwieczniana, także ludzie nauki. Chyba że byli kimś wybitnym. Nieliczne aparaty umieszczano w studiach, a jedynie zamożni mogli sobie pozwolić na wykonanie zdjęć i robiło się to przy szczególnych okazjach. Podob-



Maria Skłodowska-Curie z mężem Piotrem w pracowni w Paryżu ok. 1898-1900 r.

nie było w świecie nauki. Uczeń, którzy prowadzili badania, swoje ustalenia przedstawiali za pomocą opisu, rysunków, szkiców, rzadziej fotografii, bo było to skomplikowane technicznie i generowało koszty. Wiedza o tym, jak tworzy się naukę „od kuchni”, jak wyglądają laboratoria, jeszcze się nie rozpowszechniła. Dziś jest zupełnie inaczej. Być może materiału wizualnego mamy aż za dużo.

Dlatego warto wrócić do czasów, gdy fotografia była mniej popularna. Poniżej przedstawiam pięć arbitralnie wybranych zdjęć, które uważam za ikoniczne dla historii nauki polskiej. Opowiem, co jest na nich, ale też o tym, czego nie widać, a co stanowiło kontekst ich powstania.

Najszcześniejszy okres

Na fotografii widać Piotra i Marię Curie. Piotr patrzy prosto w oko obiektywu aparatu, natomiast Maria zdaje się używać spektrometru (bądź na potrzeby fotografii udaje, że go używa). Urządzenie służyło do obserwacji widma składu pierwiastkowego substancji. Stosowano je do badań nad radem. Uczeń nie mają odzieży ochronnej ani nie stosują żadnych innych środków ochrony osobistej, mimo że zajmują się substancjami promieniotwórczymi. Wtedy jeszcze nie zdawano sobie sprawy, jakie to może mieć konsekwencje.

Pracownię widoczną na zdjęciu pozyskał Piotr Curie. Nieużywana szopa, wcześniej prosekatorium szkoły medycznej, miała nieszczęsny szklany dach. W zimę było bardzo chłodno i nieprzyjemnie, latem – upalnie. Za całe wyposażenie musiało wystarczyć kilka starych stołów, palniki gazowe, spektroskop, elektrometr, trochę szkła laboratoryjnego. Nie istniała żadna profesjonalna wentylacja, więc pomieszczenie wypełniały szkodliwe dla zdrowia gazy. W tym miejscu udowodniono istnienie polonu (nazwa nawiązywała do kraju pochodzenia Marii) oraz pozyskano rad z blendy uranowej. W tym samym laboratorium wyznaczono też masę atomową tego pierwiastka. Maria Skłodowska-Curie wspominała pracę tam jako najszcześniejszy okres swojego życia. Parę lat później Piotr zginął w nieszczęśliwym wypadku, a ona przejęła jego uczelniane laboratorium.

Rewolucyjny wynalazek

Fotografia przedstawia ciemnowłosego, drobnego mężczyznę z wąsem, który reguluje lub lutuje element urządzenia zabudowanego w solidnej ramie drewnianej. To maszyna do fotograficznego sporządzania patronów tkackich. Postać na fotografii ma zaledwie 29 lat i cieszy się już niemalą sławą. To Jan Szczepanik, zwany też „polskim Edisonem” czy „Leonardem da Vinci z Galicji”.

Zdjęcie zostało zrobione w Wiedniu w Societe des Inventions Jan Szczepanik et Cie (nota bene Szczepanik podlegał wtedy obowiązkowej służbie wojskowej w armii austriackiej). Szczepanik, choć samouk, był tak płodnym wynalazcą, że miał specjalne biuro patentowe, które prowadził dla niego pierwszy szef – Ludwig Kleinberg. Wynalazek, który widzimy na zdjęciu, był rewolucyjny dla tkactwa. Wcześniej tkano metodami głównie chałupniczymi. Stosowano karty perforowane do sterowania maszynami żakardowymi (od nazwiska Josepha Marie Jacquarda). Praca maszyny wymagała stałej obecności człowieka, a wiele czynności związanych z tkaniem i tak trzeba było wykonywać ręcznie. Szczepanik wymyślił fotoelektryczną metodę tkania wzorzystego. Wykorzystał metody fotograficzne do przygotowania kart (patronów tkackich), system do ich odczytywania i sterowanie urządzeniem. Wynalazek ten opatentowano w Niemczech, Austrii, Anglii i Stanach Zjednoczonych. W znaczny sposób ułatwił on produkcję wzorzystych materiałów i obniżył jej koszt. Warto wspomnieć, że Szczepanik

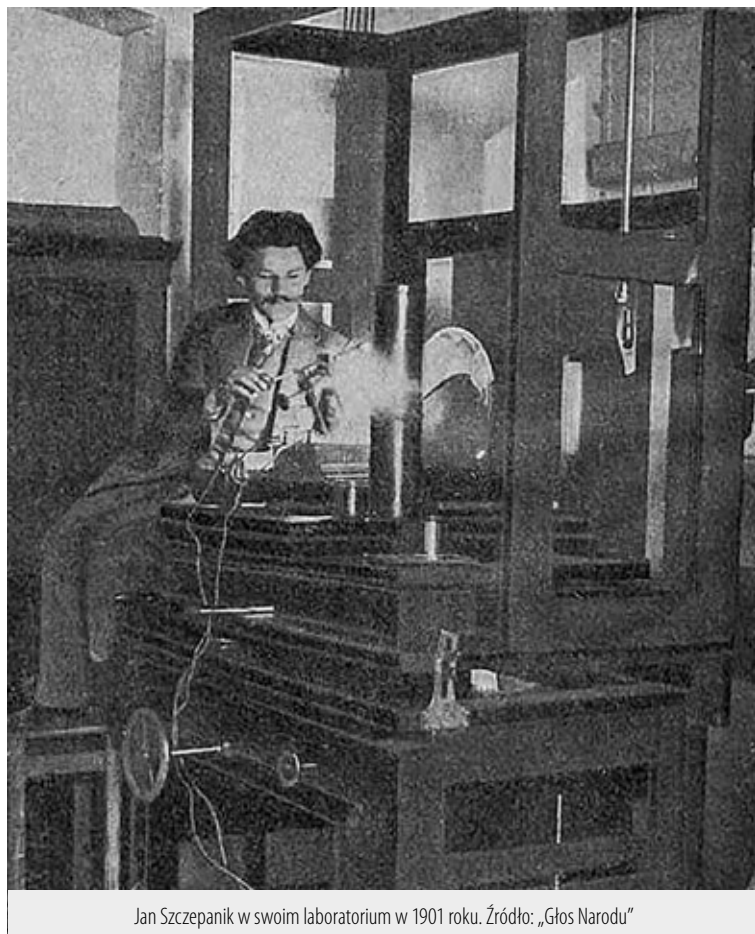
wynalazł dużo innych rzeczy, m.in. prototyp telewizji i kamizelkę kuloodporną.

Oczami tubylca

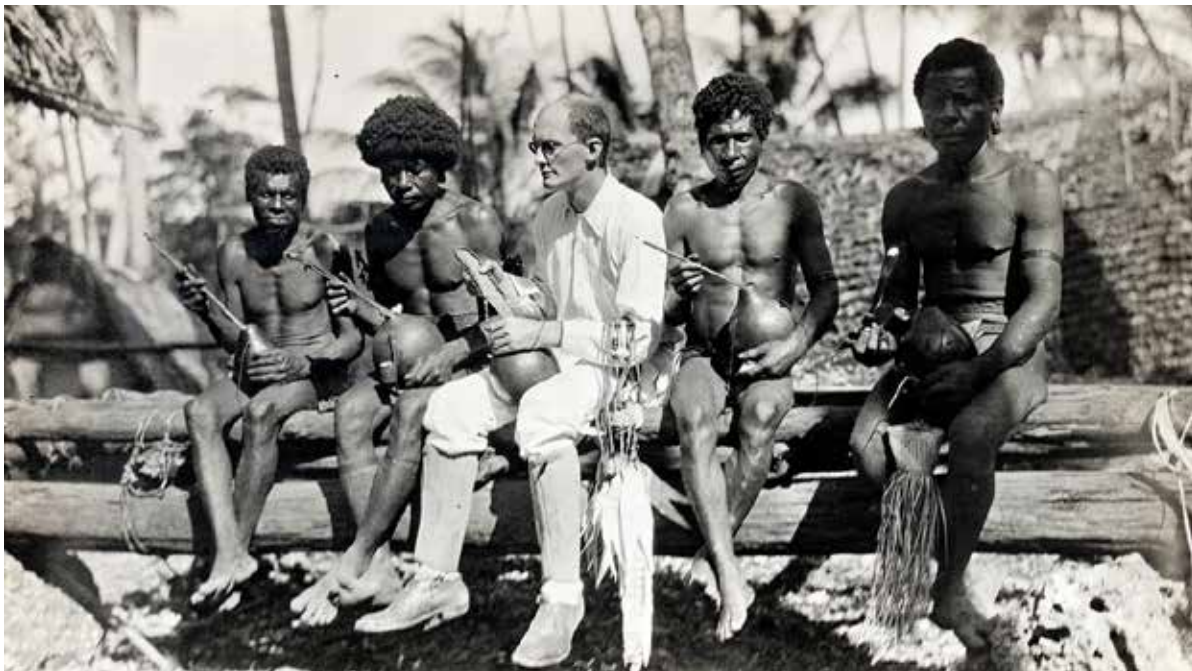
Na zdjęciu widzimy Bronisława Malinowskiego, najbardziej znanego polskiego antropologa, z grupą ciemnoskórych mężczyzn. Są to mieszkańcy Wysp Trobrianda. W oczy rzuca się kontrast między europejsko ubranym badaczem a skąpo odzianymi wyspiarzami. Zdjęcie zostało zrobione w wiosce, gdyż widzimy wokół lokalną zabudowę. Fotografia została wykonana najprawdopodobniej aparatem samego Malinowskiego marki Klimax, który zabrał on na wyprawę wraz z 24 wykonanymi na zamówienie notesami.

Nie była to pierwsza wizyta Malinowskiego w tym regionie, lecz druga. Pierwsza odbyła się od czerwca 1915 do maja 1916 roku (w pierwszym etapie podróży towarzyszył mu Witkacy, lecz wrócił do domu wraz z wybuchem I wojny światowej), a druga od października 1917 do października 1918 roku. Dla Malinowskiego laboratorium były lokalne wioski zlokalizowane na malowniczej wyspie należącej do obecnego państwa Papua-Nowa Gwinea. Wyspy Trobrianda (inaczej Kiriwina) znajdują się na Morzu Salomona, na wschód od Nowej Gwiney, w klimacie tropikalnym. Metoda naukowa, którą stosował Malinowski, to stała obserwacja uczestnicząca, co było jak na owe czasy innowacją. Większość antropologów prowadziła badania gabinetowe poprzez studiowanie publikacji i interpretowanie muzealnych artefaktów.

Malinowski spędził wśród Trobriandczyków wiele tygodni. Nauczył się ich języka, obserwował obyczaje, w tym nawet życie intymne. Swoje badania prowadził tak, żeby patrzeć na świat „oczami tubylca”. Zrozumieć jak myśli, jak odczuwa, co jest dla niego powszechną regułą, co zwyczajem, a co wydaje mu się nie-



Jan Szczepanik w swoim laboratorium w 1901 roku. Źródło: „Głos Narodu”



Bronisław Malinowski na Wyspach Trobriandzkich w 1918 r.

Źródło: Wikimedia Commons, autor: naprawdę podobnie! Billy Hancock

zwykłe. Malinowski skupił się na tych aspektach życia „dzikich”, które były szczególnie odmienne od kultury zachodniej, przez co lektura jego książek była fascynująca dla ówczesnych Euro-

pejczyków. Po latach dowiedzieliśmy się jednak, że nie przywiązywał się emocjonalnie do podmiotów swoich badań, a wręcz niekiedy traktował je z pogardą (*Dziennik w ścisłym znaczeniu tego wyrazu*).

Dyplomatycznie i szybko

Fotografia prezentuje szczupłego mężczyznę ubranego w jasny strój, który wskazuje coś swoim współpracownikom na fragmencie ściany. To Kazimierz Michałowski, znany polski egiptolog, podczas ekspedycji badawczej w Faras (północny Sudan). W tle widać lokalnych robotników, którzy pomagają w pracach na stanowisku archeologicznym. Na zdjęciu utrwalono prace w ruinach odkrywanej świątyni wczesnochrześcijańskiej.

Badania archeologiczne prowadzone na terenie obcego kraju to temat trudny. Tym bardziej skomplikowany, kiedy badaczem jest obywatel bloku wschodniego, a są wczesne lata 60. XX wieku. W takiej sytuacji trzeba było działać dyplomatycznie i szybko. Wszak każdy dzień ekspedycji to koszty. Odkryta wtedy wczesnochrześcijańska bazylika koptyjska objawiła unikalne malowidła. Część z nich przewieziono do Warszawy i umieszczono w Muzeum Narodowym, gdzie są do dziś.

Odkrycia Michałowskiego były istotne na arenie międzynarodowej. Uczony ten prowadził także badania w Aleksandrii, gdzie odkryto starożytne łaźnie i teatr. Innym ważnym odkryciem było odnalezienie świątyni Totmesa III. Profesor zaangażował się także w ratowanie świątyni Ramzesa II. Stała ona na terenie zalewowym, ale zdecydowano, żeby cenny zabytek podzielić na części i przenieść w bezpieczne miejsce.

Polska, której nie ma

Na fotografii widzimy kobietę-fotograf wykonującą zdjęcie mężczyźnie siedzącemu naprzeciw niej. Wokół leżą przedmioty codziennego użytku i elementy dekoracyjne pomieszczenia. W tle stoi kobieta, zapewne żona bohatera tego ujęcia. Dla Zofii Rydet, fotografki, aparat był podstawowym „narzędziem laboratoryjnym”. Została ona uwieczniona podczas pracy nad cyklem *Zapis socjologiczny*.



Kazimierz Michałowski podczas ekspedycji w Faras, lata 1961-62.

Fot. T. Binewski, Instytut Kultury Społecznonaukowych i Orientalnych PAN



Zofia Rydet fotografuje w ramach Zapisu socjologicznego.

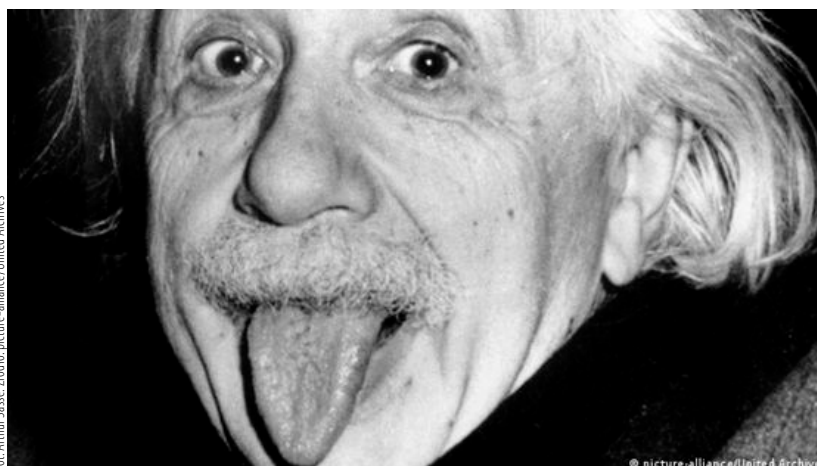
Projekt ten realizowała w latach 1978-1997. Było to poniekąd dzieło życia Zofii Rydet, jedno z ważniejszych dzieł w fotografii polskiej XX wieku. Rydet nie była naukowcem, antropologiem czy etnografem, ale dzięki swojemu cyklowi uwieczniła nieistniejącą już Polskę. W ramach cyklu zgromadziła ok. 20 tys. fotografii. Jej zdjęcia stały się dowodem naukowym i mogą być interpretowane przez socjologów czy historyków. Przez wiele lat Rydet przemierzała suwalskie, lubelskie, podhalańskie i rzeszowskie wsie, gdzie fotografowała mieszkańców. Zazwyczaj stosowała układ: właściciel domostwa z rękami na kolanach, siedzący przodem do widza, w tle główna ściana domu lub pokoju. Zdjęcie jest tak zrobione, żeby uchwycić jak najwięcej detali: elementy dekoracyjne, urządzenia, inny dobytek. Fotografie Rydet tworzą obraz społeczeństwa wiejskiego schyłkowej fazy PRL-u. W tych – wydawać by się mogło – zwyczajnych zdjęciach uwidacznia się dostojeństwo ludzi i ich oryginalność. Rydet udało się uchwycić coś, co zazwyczaj nam umyka, gdy fotografujemy bliskich.

Aspekt przygodowy

Wniosek z tego selektywnego kolażu jest taki, że fotografia może mieć przeróżne zastosowania w nauce. Z jednej strony może dokumentować codzienne wysiłki naukowców. Zdjęcie uchwyci doniosłość chwili, zmęczenie lub radość, panującą modę, upływ czasu. Znajdziemy na nim też przyjemne aspekty prowadzonej działalności: wyposażenie laboratoryjne, zaśmiecone biurka, pełne biblioteki, wynalazki, odkrycia. W tym względzie fotografia uwiarygodnia pracę naukową. Wreszcie zdjęcia mogą być po prostu narzędziem do zapisywania prowadzonych prac, przez co same stają się „dowodem naukowym”. W fotografii jest też pewien aspekt „przygodowy”.

Możemy utrwalić przez przypadek coś, co sprawi, że ujęcie stanie się ikoniczne i przez to ponadczasowe.

Na fotografii widzimy światowej sławy naukowca z włosami w nieładzie, który pokazuje nam język na znak żartu albo niezgody. Zdjęcie zostało zrobione w Princetown, w stanie New Jersey, po oficjalnych obchodach siedemdziesiątych drugich urodzin uczonego, przed wejściem do Institute for Advance Studies. Einstein był zmęczony i zirytowany. Chciał uciec przed paparazzi. Niestety był uwięziony na tylnym siedzeniu limuzyny między ówczesnym dyrektorem Instytutu a jego żoną. Niejako z bezsilności i irytacji pokazał język. Ten moment uchwycił jeden z fotoreporterów i tak ujęcie to przedostało się do popkultury.



Zdjęcie zrobione w 72 urodziny Alberta Einsteina 14 marca 1951 roku.

0 czytaniu (2)

W różnych mediach pojawia się coraz więcej tekstów o czytaniu. Nie praktycznych i związanych z działalnością umysłową, ale politycznych, a polityka niestety wszystko psuje do cna, wdzierając się do krwiobiegu i zasiewa tam swoje nowotwory złośliwe. Chodzi o to, że tak zwani działacze nie umieją czytać, ale przekręcając cudze wypowiedzi, manipulują faktami, stosują erystykę i zachowują się tak, jakby nie potrafili ułożyć ani odebrać prostego zdania z jego właściwym sensem. A może naprawdę nie potrafią? Wszechobecne tak zwane fake newsy to nic innego jak manipulacje mielone z nieuczciwą propagandą do postaci niestrawnych kotletów, które wywołują biegunkę, zwłaszcza złych myśli. Opinia publiczna ocenia, że przewaga tego zjawiska jest po stronie opozycji, chyba słusznie, bo parcie na władzę w dawnych demoludach jest silniejsze niż jej utrzymywanie. Kłamstwo i jego brat fałsz produkują się i szerzą w sposób tak niesłychany, że uczciwy czytelnik naprawdę może się zastanawiać, czy gazety, telewizja, radio, smartfon i pozostałe media powinny jeszcze gościć w jego domu.

Czytamy wpis kolegi na Facebooku i własnym oczom nie wierzymy, jak bardzo metody propagandy wdarły się do jego umysłu, do niedawna normalnego. I co najgorsze – jak bardzo nauka z dziedziny kultury, ściśle wynikającej z metodycznych badań i faktów, na naszych oczach zmienia się w festiwal gry na emocjach, przeświadczeniach, ideologiach i wydawaniu się. Zgodność wypowiedzi z rzeczywistością staje się towarem rzadkim i godnym podziwu, ale towarzysko nie ma sensu, bo za to można albo oberwać, albo wypaść na margines.

Obok tego idzie inna fala. To przyspieszająca zanikanie czytelnictwa nieumiejętność publikowania (w tym drukowania i wydawania). Nie jest to fala wtórna, ale zjawisko osobne. Zaczętki można było szczególnie wyraźnie obserwować w momencie gwałtownych przemian politycznych w Polsce na przełomie lat 80 i 90. Tak się złożyło, że wraz z rozpoczęciem likwidowania u nas wierzchniej warstwy komunizmu (z wtedy utajonym, ale dzisiaj już oczywistym pozostawieniem jego bazy), nastąpiła rewolucja w edytorstwie, i to w niemal wszystkich jego istotnych szczegółach.

Przede wszystkim druk wypukły i wklęsły niemal całkowicie został zastąpiony płaskim, a wkrótce potem także jego odmianą cyfrową, co spowodowało likwidację ogromnych parków bezużytecznych maszyn i gigantyczne bankructwa, z których wiele firm nigdy się już nie podniosło. Pojawili się nowi drukarze, a wraz z nimi także składacze, którzy jako posługujący się anglosaskimi komputerami w większości nie mieli pojęcia o polskim zecerstwie ani o jego intelektualnej tradycji i całej dotychczasowej sztuce drukowania, ze składem litera po literze, przenoszeniem wyrazów, interpunkcją i kompozycją typograficzną.

Niezliczonym amatorom wydało się, że wystarczy usiąść przy komputerze, przeczytać instrukcję obsługi programu do składu i aplikacji graficznej, a robota sama się wykona. To oni zastąpili dawnych mistrzów sztuki drukarskiej i niestety to odcięcie się od tradycji i głębokiej wiedzy, wrażliwości drukarskiej, kontynuują. Dzisiaj zawód składacza jest oparty na szkoleniach quasi-uniwersyteckich w zakresie swego rodzaju wiedzy tajemnej, ale zbyt oderwanej od zasad rządzących językiem, komunikacją językową, wiedzą o tekście, literaturze i sztuce pisarskiej oraz psychologii odbioru i plastyki. Mnóstwo od wieków ustalonych zasad przygotowywania publikacji zostało zarzuconych i przyjętych od nowa, jednak w zmienionej postaci.

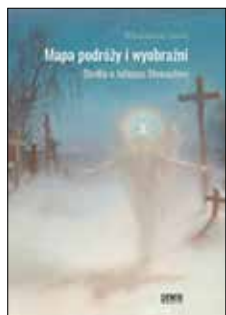
Dzisiaj składacz nie zwraca uwagi na poprawność tekstu w jego sferze językowej, znaczeniowej, dydaktycznej, logicznej czy ideowej, usuwa te czynniki na konieczny a niewygodny margines, wyłącznie do kompetencji redaktora. Sam błądów nie widzi. Woli nie mieć z redaktorem kontaktów innych niż tylko te niezbędne do elektronicznego przesyłania tekstu. Jest to sprzeczne z sensem publikowania, czyli z wymaganiami czytelności (czytelności tekstu wraz z jego zrozumiałością). Składacza interesuje wyłącznie wartość estetyczna, wizualna i ewentualnie techniczna obrazu publikacji. A do tego nie jest potrzebna nawet matura. Niejeden zecer przewraca się w grobie.

To jednak nie ogranicza się tylko do procesów ściśle produkcyjnych, technicznych. W połowie lat 90. większość wydawców zrezygnowała z recenzowania i redagowania książek. Po prostu prócz autora nikt przed wydaniem tego nie czytał. Jakość edytorska (tekstowo-językowa) książek z tamtego okresu drastycznie zmalała. Zaczęło się to poprawiać dopiero około roku 2005, ale do stanu z czasów PRL-u nie wróciło do dziś.

Najprościej można rzecz oceniać na podstawie analizy interpunkcji stosowanej w książkach, gazetach, na portalach internetowych, jak również dokładności zapisu literowego, błędów składniowych, frazeologicznych i semantycznych. Po prostu tragedia, szczególnie w zakresie stosowania przecinków, używania wyrazów w ich właściwym znaczeniu i wyrażania myśli za pomocą poprawnie budowanych zdań.

Mimo że istnieją miłe wyjątki, skutki złego ogólnego obrazu sytuacji są takie, że młodzież, dostrzegając różnice między wymaganiami w szkole, a praktyką codzienną, tym bardziej lekceważy ten problem, nie zauważając błędnego koła coraz większych zakłóceń w komunikacji kulturowej. Ludzie czytają powolutku, selektywnie i rzadko. Jeden nie umie pisać, a drugi wobec tego czytać, i odwrotnie.

Propedeutyka Słowackiego



W 1822 roku w Wilnie ukazał się tom *Poezji* Adama Mickiewicza. Znalazł się w nim m.in. cykl poetycki *Ballady i romanse*. Datę tę uznaje się za początek romantyzmu w Polsce. „Literatura i kultura romantyzmu ukształtowały wymiar i profil duchowy Polaków” – napisano w uchwale Sejmu ogłaszającej rok 2022 Rokiem Romantyzmu Polskiego. Na rynku wydawniczym pojawiło się wiele publikacji poświęconych temu prądowi ideowemu, literackiemu i artystycznemu, który nie tylko jest zjawiskiem historycznym, ale wciąż oddziałuje. Wystarczy rozeznac się w dużej licz-

bie konferencji naukowych poświęconych problematyce, zapoznać się z repertuarem polskich teatrów czy zanalizować twórczość współczesnych pisarzy pod kątem ich związków z dziedzictwem Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i Norwida. Wśród oficyn, które postanowiły uczcić Rok Romantyzmu Polskiego, na wyróżnienie zasługuje kieleckie Pewne Wydawnictwo. W dużej mierze to zasługa Adama Cedry, który jest jego właścicielem, znakomitym redaktorem, a jednocześnie znawcą i miłośnikiem twórczości Cypriana Kamila Norwida. *Mapa podróży i wyobraźni. Studia o Juliuszu Słowackim* Włodzimierza Torunia to bez wątpienia jedna z pierwszych publikacji wpisujących się w obchody Roku Romantyzmu Polskiego. Kielecka firma wyprzedziła w ten sposób wiele innych znanych i zasłużonych wydawnictw.

Włodzimierz Toruń to ceniony norwidolog z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Badania twórczości Norwida mają na tej uczelni długą tradycję. Wystarczy wymienić Stefana Sawickiego, Irenę Sławińską i Wandę Achremowiczową. Ośrodek Badań nad Twórczością Cypriana Norwida KUL, z którym związany jest autor recenzowanej książki, kontynuuje wspaniałą tradycję lubelskiej norwidologii. Poprzednie książki Torunia poświęcone były twórczości autora *Promethidiona*. Tym razem zebrał on teksty dotyczące Juliusza Słowackiego i złączył je w jednym tomie. Składa się nań trzynaście studiów, które w większości były już wcześniej publikowane. W książkowej wersji pierwodrukom zmieniono w niektórych przypadkach tytuły i poddano te artykuły nowej redakcji.

Trzy początkowe teksty poświęcone są – powiedzmy – przymusowej peregrynacji Słowackiego do Europy Zachodniej. Począwszy od Wołynia, kraju lat dziecinnych, krainy łagodności, do której poeta będzie często powracał myślą, kiedy rzeczywisty powrót nie będzie już możliwy, poprzez Litwę, Wilno i Warszawę, aż po Anglię, którą lubił („Śliczna Anglia”) oraz Francję, której nie lubił („Szkarałna Francja” – określenia z jednego z listów do matki). Szesć następujących studiów poświęcono relacjom Słowackiego z ludźmi jego epoki, m.in. Chopinem, Krasińskim i Norwidem. Cztery końcowe teksty mają charakter bardziej teoretyczny i dotyczą problematyki religijnej, patriotycznej i estetycznej w twórczości autora *Króla-Ducha*. Rozdział ostatni poświęcony jest właśnie temu poematowi historiozoficznemu.

Wypada wyrazić zadowolenie, że Włodzimierz Toruń zdecydował się zebrać swoje artykuły o Słowackim w jednym tomie. Dzięki temu staną się dużo łatwiej dostępne dla czytelników, którzy nie są specjalistami w dziedzinie literaturoznawstwa i nie śledzą publikacji pokonferencyjnych i czasopiśmienniczych. Wszystkie teksty napisane zostały w sposób przejrzysty, pozbawione są hermetycznego żargonu naukowego i układają się w klarowny wykład o jednym z naszych romantycznych wieszczów. Uważnej lekturze tej książki powinien towarzyszyć dobry wybór pism poety, za którego stanowiąc coś na kształt propedeutyki twórczości Słowackiego. Nie znaczy to oczywiście, że wartość tej książki wyczerpuje się w spełnianiu funkcji popularyzatorskich. Tak nie jest. Autor to znawca polskiego romantyzmu, a każdy jego tekst jest wynikiem głębokiego namysłu i wnikliwych badań. Włodzimierz Toruń posiada też umiejętność, nie tak znów częstą wśród naukowców, nawet polonistów, interesującego i jasnego przedstawiania trudnych tematów.

Tomasz Klusek

Włodzimierz TORUŃ, *Mapa podróży i wyobraźni. Studia o Juliuszu Słowackim*, Pewne Wydawnictwo, Kielce 2021.

Słucham, więc czuję?



Już kilka pierwszych taktów rozbrzmiewającej melodii potrafi wprawić odbiorców oraz wykonawców w pewnego rodzaju nastrój. Dla jednych będzie to smutek, dla innych radość, a jeszcze inni poczują wzruszenie i przebiegające po plecach ciarki. Czy stany wywołane pod wpływem muzyki można nazwać emocjami? Jeśli tak, to jakiego są one rodzaju i w którym momencie powstają? Czy grupa słuchaczy dzieli wspólne doświadczenie i w związku z tym można mówić o czymś w rodzaju zbiorowego odczuwania, dającego się opisać za

pomocą określonych kategorii? Jak to się dzieje, że jeden utwór u tej samej osoby wywołuje, w zależności od okoliczności, zupełnie inne odczucia? Nad tymi i całą gamą innych pytań pochyla się Maria Chełkowska-Zacharewicz w książce *Zagadka emocji muzycznych*.

Autorka, psycholog i muzyk, dzieląc się swoją bogatą wiedzą, stworzyła dysertację, która jest nie tylko udaną próbą przybliżenia funkcjonujących stanowisk z określonego obszaru nauki, ale nade wszystko stanowi przyczynek do prezentacji własnego rozwiązania tytułowej kwestii. Za pomocą przystępnego języka opisany zostaje stan określonej subdziedziny psychologii, jaką jest psychologia emocji muzycznych. Warto zwrócić uwagę na fragmenty dotyczące istoty dwóch różnych ujęć interesującej autorkę tematyki. Z jednej strony, pisze Maria Chełkowska-Zacharewicz, mamy do czynienia z przekonaniem opierającym się na założeniu, że muzyka ma właściwości sprawiające, iż w wyniku kontaktu z nią powstają u człowieka emocje, z drugiej zaś funkcjonuje przeświadczenie zbudowane wokół tezy mówiącej o co najwyżej „możliwości reprezentowania przez muzykę w taki czy inny sposób emocjonalnej ekspresji i niczego więcej”. W modelu stworzonym przez autorkę natomiast „muzyka prowadzi do powstawania reakcji emocjonalnych kilkoma różnymi drogami”.

Czy na co dzień ktoś się zastanawia, jak to się dzieje, że w momencie zaśpiewania melodii pochodzącej z ulubionego filmu przypomina się mu jakaś konkretna jego scena albo pojawia się chęć, by obejrzeć obraz ponownie? Dzięki lekturze zyskuje się świadomość, że za takie zachowanie odpowiada mechanizm warunkowania ewaluatywnego. A co, jeśli w takt muzyki zaczyna się ruszać palcem w bucie? Tak właśnie działa mechanizm dopasowania rytmicznego, wyjaśnia autorka. Muzyka jest, jak czytamy w książce, pewnego rodzaju językiem operującym dwoma rodzajami znaczeń, desygnacyjnym, pozwalającym „podporządkować bodźcom następujące po nim wydarzenie, które będzie od niego jakościowo inne”, oraz zwartym, odnoszącym się „do takiej sytuacji, gdy bodziec i odpowiadające mu zdarzenie/następstwo mają ten sam charakter”.

Z wywodu poprowadzonego przez Marię Chełkowską-Zacharewicz w sposób klarowny i zrozumiały, a jednocześnie precyzyjny i skoncentrowany na meritum, wyczytać można jeszcze wiele innych ciekawostek. Na przykład tę o dwuwymiarowym ujęciu afektu, będącym raz przyjemnością, a innym razem pobudzeniem, albo tę podejmującą kwestię nastroju. Jak się okazuje, to właśnie potrzebą regulacji tego ostatniego stanu wytłumaczyć można chęć sięgania po muzykę. Wiedzą o tym dobrze twórcy różnych playlist, którzy w celu przyporządkowania poszczególnych utworów do określonych kategorii kierują się zasadą odworowiania różnicowanej nastrojowości. Stąd mamy do czynienia z grupami utworów umieszczanych pod wiele mówiącymi hasłami: relaksacyjne, refleksyjne, pobudzające czy motywujące. Wybór zależy od tego, jak się ktoś czuje albo jak poczuć się chce.

Zasadnicze pytanie o istotę emocji muzycznych pozostaje, jak pisze Maria Chełkowska-Zacharewicz, cały czas otwarte. Jednocześnie zaś, podkreśla autorka, „niezależnie od tego, czy badacze odkryją kiedyś naturę emocjonalnych doświadczeń muzycznych, dla większości z nas muzyka stanowi źródło bogatych przeżyć, uniesień, smutków, wspomnień”.

Aneta Zawadzka

Maria CHEŁKOWSKA-ZACHAREWICZ, *Zagadka emocji muzycznych. Czym są, jak powstają i czy są podatne na zmiany?*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2021.

Romantyk i racjonalista



Działający od ponad roku w Polsce Instytut De Republica wydał dotychczas publikacje poświęcone Cyprianowi Norwidowi, Wojciechowi Korfantemu, śląskim powstańcom lat 1919, 1920, 1921 oraz Maurycemu Mochnackiemu. Autorem tej ostatniej jest Leszek Piętrzak. *Pierwszy demokracja Rzeczypospolitej* to historia, jak głosi motto książki: „żołnierza, który walczył o wolną Polskę i pisarza, który ją wymyślił”.

Mochnacki żył w I połowie XIX wieku, w czasie niełatwym, już po rozbiorach. Początkowo rodzina mieszkała w Galicji, a po przeprowadzce do Warszawy młodego Maurycyego wchłonęła sto-

lica i jej życie. Był przedstawicielem ostatniego pokolenia wychowywanego w szkole na klasykach. Pod koniec edukacji, już na uniwersytecie, zetknął się z romantyzmem, z twórczością Byrona, Mickiewicza. Uniwersytetu nie skończył. Zaangażował się w działalność nielegalnej opozycji. Związku Wolnych Polaków wydającego pismo „Dekada Polska”, którego mottem było wezwanie Hugona Kołłątaja, jednego z autorów Konstytucji 3 maja: *Nil desperandum*, czyli *Nie rozpaczaj*. „Dekada Polska” w maju 1823 roku wydrukowała z okazji rocznicy pełny tekst konstytucji, co rozwścieczyło wielkiego księcia Konstantego. Szybko odnaleziono redaktorów – Wiktora Heltmana i Ludwika Piątkiewicza. Mochnacki zadenuncjowany został przez Heltmana jesienią tegoż roku. Uwięziono go, a następnie zmuszono do pracy z aresztantami. W trudnych chwilach towarzyszył mu przyjaciel Michał Podczaszyński, syn wileńskiego profesora uniwersytetu, romantyk. Miał on przemożny wpływ na Mochnackiego. Maurycy w tym czasie szybko dojrzywał, by stać się politykiem, publicystą, krytykiem literackim, pianistą, potem uczestnikiem powstania listopadowego, a po jego upadku tułaczem, dzielącym losy tysięcy Polaków, którzy znaleźli się na emigracji. Autor zaznacza rozdarcie wewnętrzne polskich patriotów Wielkiej Emigracji. Mochnacki nie był wyjątkiem, „był postacią, która łączyła dwie największe sprzeczności Polaków: romantyzm kultuwający przegrane powstania narodowe z racjonalizmem, postulującym pracę pozytywistyczną dla wzmocnienia narodu”.

Choć Mochnacki był romantykiem, jego twórczość jest dzisiaj raczej zapomniana. W chwili śmierci był kimś w rodzaju współczesnych celebrytów, tyle że dla polskich elit. Potomność sporo mu zawdzięcza. Jego dzieło *Powstanie narodu polskiego w r. 1830 i 1831* było pierwszą monografią zrywu. Szeroko opisał tam choćby niezrealizowaną ofensywę generała Ignacego Prądzińskiego, która posłużyła później jako plan bitwy warszawskiej 1920 roku, przynosząc wielkie zwycięstwo.

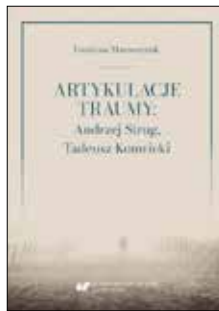
Zwracał uwagę Mochnacki na to, że Polska będzie wolna tylko wtedy, kiedy wolni w niej będą wszyscy obywatele. O wolność walczyć miała jednak nie tylko szlachta, ale także mieszczaństwo i chłopci. Ci ostatni – postulował – muszą uzyskać poczucie, iż w wolnej Polsce będą znaczyć tyle, co szlachetnie urodzeni.

Na emigracji traktowano Mochnackiego podejrzliwie. Nie był w tym odosobniony. Uważano go za wicherzyciela, separowano się od niego, niedowierzano i wyciągano „stare grzechy”: memoriał karmelicki czy pracę w cenzurze. Spokoju zażył dopiero, przystając pod koniec życia do księcia Adama Czartoryskiego, chociaż wydaje się, że raczej ze względu na autorytet księcia aniżeli swoje poglądy. W listopadzie 1834 roku Maurycy zaniemógł i z zapaści tej już nie wyszedł. Gruźlica, na którą cierpiał prawdopodobnie od dzieciństwa, nadto osłabienie po ranach wojennych 1831 roku dawały znać coraz dotkliwiej. Nie był w stanie opuszczać łóżka. Zmarł 20 grudnia 1834 roku. Podczas pogrzebu kapitan Antoni Olszewski zęgnął go słowami: „Maurycy Mochnacki dość żył dla swojej sławy, ale zbyt krótko dla ojczyzny, której był mocnym filarem”. Spoczął na cmentarzu w Auxerre, skąd po ponad 180 latach jego prochy wróciły do Polski. Uroczystości pogrzebowe w ojczyźnie odbyły się 27 listopada 2021 roku. Maurycy Mochnacki ostatecznie pochowany został na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

Bogdan Bernat

Leszek PIĘTRZAK, *Pierwszy demokracja Rzeczypospolitej*, Instytut De Republica, Warszawa 2021.

Demony wojny



Wojenne traumy niektórzy noszą w sobie przez całe życie, weźmy na przykład casus Różewicza. Analizując wybrane autobiograficzne dzieła tytułowych pisarzy, śląska badaczka stara się udowodnić, że trauma niejedno ma imię, chociaż w przypadku omawianej książki zdecydowaną większość jej kart zajmują demony wojny.

Nazwisko Andrzeja Struga mówi cokolwiek chyba już tylko studentom polonistyki, którzy być może na listach swych lektur znajdą *Dzieje jednego pocisku*. Grażyna Maroszczyk postanowiła uka-

zać dwa spojrzenia na wojnę prezentowane przez Struga i jednocześnie ukazać (r)ewolucyjną drogę pisarza od apologety wojennego znoju w *Odnazce za wierną służbę* do pacyfisty i kronikarza traumy w *Kluczu przepaści*. *Odnazka*, będąca dziennikiem młodego legionisty, jest przede wszystkim patriotyczną agitką, propagandowym panegirikiem pisany w pokrzepieniu serc, w którym żołnierze wprawdzie giną, ale patetycznie i z honorem, ludzie cierpią, ale przecież wiedzą, że służy to dobrej sprawie, a wojenna rana prawie wcale nie boli, bo przecież każdy prawdziwy żołnierz choć raz powinien być raniony. *Klucz przepaści* znajduje się na przeciwległym biegunie, to obraz wojennej wsi, wcale nie spokojnej i wesołej, ale udrczonej przemarszami kolejnych wojsk, zniszczonymi uprawami, ziemi zrytej lejami po bombach, wsi pogrążonej w biedzie i ciągłym strachu przed śmiercią i upokorzonej gwałtami na kobietach.

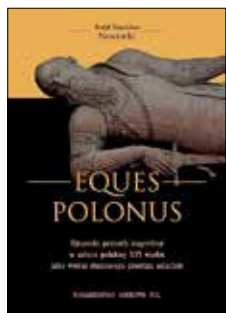
Tadeusz Konwicki, niezwykle pisarz i reżyser, jeżeli chodzi o czytelniczą recepcję i pamięć kolejnych pokoleń jest zapewne w trochę lepszej sytuacji niż jego poprzednik i miejmy nadzieję, że nie pogrąży się w mrokach literackiej niepamięci. Chociaż wszakże i on w swym cudownie ironiczno-sarkastycznym stylu już lata temu wspominał, że nie widzi najmniejszego powodu, aby jego książki były przez kogokolwiek czytane, a on sam zasługiwał na miejsce w ludzkiej pamięci. Pierwsze traumy Konwickiego dotyczą dzieciństwa, gdy jak kukulczę jajo podrzucał przez goniącą z miejsca na miejsce matkę bliższej lub dalszej rodzinie. Pozbawiony matczynej miłości, traktowany przez krewnych jak piąte koło u wozu, już jako dorosły człowiek stara się patrzeć na te wydarzenia i opisywać je z humorystycznym dystansem, który jednak wnikliwy czytelnik potraktuje nie jako żart, ale żalobny lament za dzieciństwem surowym i pozbawionym miłości, przede wszystkim rodzicielskiej. Kolejną traumą Konwickiego stała się rzecz jasna wojna, bliskie spotkania ze śmiercią, gdy umierają koledzy z partyzanckiego oddziału lub gdy samemu trzeba zadać śmierć niemieckiemu jeńcowi. To, co wzniosłe, miesza się z tym, co plugawie, bohaterski dowódca jest jednocześnie gwałcicielem, ale poza tym to „swoją chłop”. Bez wątpienia wojna widziana oczami Konwickiego jest również bliska temu, co opisywał swego czasu partyzant Różewicz w swojej niby skandalizującej albo po prostu prawdziwej sztuce „Do piachu”. On również daleki był od idealizowania tzw. leśnych i pokazał ciemną stronę człowieczeństwa; ludzi prostych, prymitywnych, pozbawionych ideałów. Wszak życie, a szczególnie rzeczywistość wojenna to nie tylko czerń lub biel, ale najczęściej różne odcienie szarości.

Artykulacje traumy nie przynoszą nowych rozstrzygnięć, nie proponują szczególnie odkrywczych odczytań, ale może też i nie taki był ich cel. Truizmem są przecież twierdzenia, że wojna niesie ze sobą śmierć, ludzkie nie-szczęście i zniszczenie wokół. Czegokolwiek byśmy nie powiedzieli o wojnie, może zabrzmieć banalnie, bo niby jak oddać ogrom jednostkowego ludzkiego cierpienia? Obrazów wojny u Struga i Konwickiego nie dzieli wszakże nic oprócz dystansu czasowego. Wojenna śmierć może być patetyczna, ale też i ludzko, biologicznie przyziemna. Goją się rany, odbudowujemy budynki, odnawiamy zasiewy, ale wojenne blizny pozostają w nas na zawsze. W pewnym sensie jedną z definicji traumy mógłby być cytat z Artura Rimbauda: „Jedną myślą nie do zniesienia jest to, że znieść można wszystko”.

Jacek Hnidiuk

Grażyna MAROSZCZYK, *Artykulacje traumy: Andrzej Struga, Tadeusz Konwicki*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2021.

O genezie kultury szlacheckiej



Nagrobki są niemalże wizytówką polskiej rzeźby renesansowej. Znajomość Kaplicy Zygmuntońskiej czy grobowców przedstawicieli rodu Tarnowskich jest niemal powszechna. Zatem czytelnika zaskoczy teza stawiana przez Rafała Nawrockiego, że „zagadnienie polskich renesansowych nagrobków rycerskich nie zostało jak dotąd należycie opracowane”. A skoro autor prezentuje takie stanowisko, to nie powinno nikogo dziwić, że jego doktorat jest próbą odpowiedzi na ten brak.

W początkach XVI wieku w Polsce pojawiły się nowe w swej formie nagrobki przyściennie. Były one dziełem włoskich rzeźbiarzy sprowadzanych nad Wisłę przez królewski dwór. Jednakże bardzo szybko zostały one przyjęte na terenie całej Polski i – prezentując wyższy lub niższy poziom artystyczny – stały się symbolem pewnej kształtowanej w tym okresie idei. Zmarłych ukazywano w pozie lekko poruszony, wskazującej bardziej na sen niż śmierć. Ich postacie były prezentowane w charakterystycznym dla stanu rycerskiego uzbrojeniu: zbroi płytowej, hełmie, zaopatrzone w miecz i kopię. Oczywiście na wszystkich nagrobkach przedstawiano herb pochowanego.

Stając się elementem lokalnego stylu, rzeźbiarsko dekorowane nagrobki wypełniały się nową treścią, a także splatały się z fenomenem sarmatyzmu. W tym typie ikonografii nagrobnej centralne miejsce zajmowało przedstawienie zmarłego odzianego w pełną zbroję płytową i posiadającego różne atrybuty rycerskie. Porównanie przedstawień pochowanych rycerzy z zachowanymi zbrojami pozwala określić, co było konwencją, a co realistycznym przedstawieniem. Rzeźbiarze chcieli pokazać prawdziwy rycerski ekwipunek. Jednakże ich celem nie było uzyskanie pełnego autentyzmu i zgodności ze scenariem bitwy, lecz to, by forma nagrobka odzwierciedlała odpowiednią treść, czyli tradycyjne, elitarne uzbrojenie ciężkiej kawalerii, uznawane za modny strój rycerski. Co skutkowało swoistą konwencjonalnością przedstawień.

Popularność rycerskich nagrobków renesansowych rosła z czasem, autor za jej przyczynę uważa rycerski ceremoniał towarzyszący pochówkom szlachty. Dzięki teatralnej formie angażował on publiczność i wywoływał skrajne emocje. W XVI wieku przepych pogrzebowy i niezwykle okazałe pomniki nagrobne występowały obok siebie.

Równoległe kształtowane forma artystyczna grobowca oraz idea rycerska wpływały na siebie, a zarazem się dowodem trwałości nowej myśli, nie sposób także nie zauważyć, że wzajemnie się umacniały. *Eques Polonus* prezentuje czytelnikom obydwaj nurty, z jednej strony dzięki tej książce można zapoznać się z rozwojem formalnym nagrobków, zaś z drugiej prezentuje ona polską literaturę szesnastowieczną opisującą życie rycerza, jego cnoty i zadania. Warto zwrócić uwagę, że chociaż idea ta wywodzi się ze średniowiecznego sposobu prowadzenia walk, to bardzo szybko stała się konstytutywnym elementem społeczeństwa. Nie tylko w średniowieczu, ale także w okresie nowożytnym. Teksty Reja, Kochanowskiego czy Modrzewskiego ukazują coraz silniejszą pozycję rycerstwa-szlachty w I Rzeczypospolitej, ale to samo możemy ujrzeć na nagrobkach. Autor pisze: „Ikonografia omawianych dzieł świadczy zatem o wzrastającym prestiżu szlachty, coraz bardziej świadomej swoich przywilejów oraz roli w państwie. Zbroja płytowa przywołująca ideę cnoty stawała się znakiem legitymizującym jej władzę. W czasach renesansu, przesiąkniętych ideami humanistycznymi, pomnik nagrobny miał również upamiętnić jednostkę, wskazywać na jej szczególnie miejsce w hierarchii, podkreślać indywidualne cnoty i dokonania”.

W swojej książce Rafał Nawrocki ukazuje, na przykładzie sztuk plastycznych, genezę jednego z najważniejszych elementów rodzącej się kultury Rzeczypospolitej Szlacheckiej, czyli idei rycerskiej. Wątku, który przejawia się w polskiej sztuce i kulturze aż do naszych czasów.

Juliusz Gałkowski

Rafał Stanisław NAWROCKI, *Eques Polonus. Rycerski pomnik nagrobny w sztuce polskiej XVI wieku jako wyraz stanowego prestiżu szlachty*, Towarzystwo

Naukowe KUL, Lublin 2021.

Książki nadesłane

Monika ŁASZKIEWICZ, *Stereotypy etniczne w polskiej kulturze ludowej*, Wyd. UMCS, Lublin 2021.

Jarosław TOMASIEWICZ, *W poszukiwaniu nowego ład. Tendencje antyliberalne, autorytarne i profaszystowskie w polskiej myśli politycznej i społecznej lat 30. XX wieku: piłsudczyści i inni*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Przemysław PIWOWARCZYK, *Lexicon of Spiritual Powers in the Nag Hammadi „Library” in the Light of the Texts of Ritual Power*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Piotr Ł. GROTOWSKI, *Freski fundacji Władysława II Jagiełły w kolegiacie Wiślickiej*, Wyd. Księgarnia Akademicka, Kraków 2021.

Władysława BRYŁA, Agnieszka BRYŁA-CRUZ, *Retoryka okołokoronawirusowa. Szkice językowo-kulturowe*, Wyd. UMCS, Lublin 2021.

Andrzej NOWAK, Dorota TRUSZCZAK, *Żywoty równoległe. Wyjątkowi Polacy. Tragiczne wybory. Heroiczne postawy*, Wyd. Literackie, Kraków 2021.

Komunikacja naukowa w Polsce. Partycypacja. Dialog. Zaufanie, red. Izabela WARWAS, Małgorzata DZIMIŃSKA, Aneta KRZEWIŃSKA, Wyd. UŁ, Łódź 2021.

Wojciech ZIĘTARA, *Think tanki w Europie Środkowej i Wschodniej*, Wyd. UMCS, Lublin 2021.

Tomasz ILNICKI, *Czarnobyl i Fukushima. Przyczyny, przebieg, konsekwencje*, Wyd. Nauk. PWN, Warszawa 2021.

Alternatywne metody rozwiązywania sporów w sprawach medycznych, red. nauk. KINGA BĄCZYK-ROZWADOWSKA, BARTŁOJEMIEJ CHLU-DZIŃSKI, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2021.

Spory o modernizację i demokrację w XX-XXI wieku, red. nauk. Grzegorz RADOMSKI, Michał STRZELECKI, Arkadiusz LEWANDOWSKI, Maria WINCŁAWSKA, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2022.

Piotr GRACZYK, *Warstwy ochronne. Zbiór szkiców o literaturze i polityce*, Wyd. UJ, Kraków 2021.

Katarzyna SAMEK-PREŚ, *Media społecznościowe w tworzeniu innowacji przedsiębiorstw*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2021.

Marzena WYSOCKA-NAREWSKA, *Language Fossilization in the Advanced Learners of Polish as a FL: Focus on Problems and Possible Solutions*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Magdalena STROŻEK-KUCHARSKA, *Zasady postępowania egzekucyjnego w administracji*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Christian Jakob ALTMANN, *Transkulturowość a przekład w trójjęzycznej językowej. „Herztier” Herty Müller w czeskim i polskim przekładzie*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Stanisław BACZYŃSKI, *Propozycje. Nowa Kultura – nowa cywilizacja. Opracowanie z niepełnego maszynopisu i komentarz edytorski Anna Szawerna-Dyrszka*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Justyna ADAMUS-KOWALSKA, *Proces informatyzacji administracji publicznej i jego wpływ na kształtowanie narodowego zasobu archiwalnego stanowiącego dziedzictwo kulturowe ludzkości*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Marek PIECHOTA, *Dośpiew o twórczości wielkich romantyków polskich (Mickiewicz, Słowacki, Krasiński) z sędziwym klasykiem (Kozłmian) w tle*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Magdalena KOKOSZKA, *Pochwała lekkości? Leśmian – Przyboś – Karpowicz*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Zoriana CZAJKOWSKA, *Literackie topografie Lwowa. Szkice komparatystyczne*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Grażyna MAROSZCZUK, *Artykulacje traumy: Andrzej Strug, Tadeusz Konwicki*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Jadwiga TEODOROWICZ-CZEREPIŃSKA, Grażyna MICHALSKA, *Mury Miejskie Lublina*, Urząd Miejski Miasta Lublin, Lublin 2021.

Leszek ZWIERZYŃSKI, *W głąb i w dal Ja. O poezji Mickiewicza i Słowackiego*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Matthew LIPMAN, *Myślenie w edukacji*, tłum. Anna Łagodźka, Wyd. UŁ, Łódź 2021, seria: Edukacja dla Mądrości.



Zdjęcie: Wikipedia

Plac Niepodległości w Kijowie

Leszek Szaruła

Casus belli

Co może być przyczyną wypowiedzenia wojny? W historii Rosji taką przyczyną może być istnienie innego bytu politycznego. Już w samych początkach moskiewskiej państwowości, stosunkowo młodej jak na europejskie standardy, możemy obserwować brutalną i krwawą rozprawę z takim przeciwnikiem. Był nim Nowogród Wielki, kupiecka republika (1136-1478) należąca do Hansy, stosująca w swej polityce wewnętrznej mechanizmy demokratycznych wyborów. W roku 1478 Iwan III Srogi dokonuje najazdu, w wyniku którego kraj ten włączony został w obszar Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, zaś jego elity wycięte w pień. Niemniej czas jakiś jeszcze Nowogród cieszył się licznymi przywilejami, pozwalającymi na kulturowanie własnej tożsamości. Dopiero w 1570 roku car Iwan IV Groźny dokonuje kolejnego najazdu, zakończonego rzezią mieszkańców, co w sugestywny sposób zrekonstruował Stefan Bratkowski w znakomitej monografii *Atlantyda. Tak niedaleko*: „Rzucili się oprycznicy z pałkami na stłoczony tłum. Pracowali długo, trzaskały czaszki, przyskały mózgi, aż trupy wszystkich zaległy śnieg. A oni, elita Wielkiego Nowogrodu, i tak łatwiejszą mieli śmierć: przez pięć tygodni od tego dnia oprycznina nurzała się we krwi męczonych nieśluzkich Nowogrodzian, by storturowanych topić potem pod lodem w przerebłach płynącego przez miasto Wołchowa, topić mężczyzn, kobiety, dzieci, niemowlęta tak, by nie przetrwał nikt, kto by mógł opowiedzieć o Wielkim Nowogrodzie. Bo nie chodziło o rozprawę z przywódcami. Chodziło o śmierć całego Nowogrodu Wielkiego”.

Przypomniała mi się historia oraz zagłada Nowogrodu po przeczytaniu bełkotliwego wystąpienia Władimira Putina poprzedzającego podjętą 24 lutego 2022 inwazję na Kijów. Rosyjski despotą wyraźnie określił swój zamiar – unicestwienie Ukrainy. Samo istnienie suwerennej Ukrainy stanowi dla tego despoty casus belli, gdyż zagraża istnieniu czegoś, co określa się mianem „ruskiego mira”, czyli „rosyjskiego świata” bądź nawet „rosyjskiego pokoju” (pax russica). Tym bardziej że niemal od chwili uzyskania niepodległości, a już z pewnością od Euromajdanu w roku 2014, Kijów coraz dobitniej akcentował swe związki z Zachodem i starał się o stowarzyszenie z Unią Europejską, co jako żywo przypomina przeciwstawianie przez Nowogród Wielki zasad republikańskich moskiewskiej praktyce samodzierżawia.

Przy czym warto też zwrócić uwagę na fakt, że doświadczenie republikańskie Nowogrodu stanowiło w dziejach rosyjskiej myśli wolnościowej ważny punkt odniesienia, by wspomnieć

tylko ruch dekabrystów, a w pewnej mierze oddziało zapewne również na Aleksandra Hercena, którego emigracyjne, wspierające polskie powstanie pismo „Kołokoł” („Dzwon”) odwoływało się do nowogrodzkiego, wzywającego na wiece dzwonu wolności zrabowanego przez siepaczy Iwana Groźnego. Z kolei, by ciąg skojarzeń rozbudować, Jerzy Giedroyc wspomina, że wzorem dla jego „Kultury” stał się właśnie „Kołokoł”. I właśnie na łamach paryskiej „Kultury” opublikowana została w 1977 roku *Deklaracja w sprawie ukraińskiej*, której sygnatariusze wzywali do uznania prawa Ukrainy do suwerenności państwowej, podkreślając, że „patrioci ukraińscy najęściej zaludniają więzienia i łagry, opór na Ukrainie stał się synonimem oporu narodu w imperium”. W zakończeniu dokumentu pojawia się też apel: „Wzywamy ze szczególnym naciskiem rosyjski ruch opozycyjny w ZSRR i rosyjską emigrację polityczną do umacniania i pogłębiania współpracy z bojownikami o niezależność Ukrainy”. Ze strony rosyjskiej deklarację podpisali Andriej Amalrik, Władimir Bukowski, Natalia Gorbaniewska, Władimir Maksimow oraz Wiktor Niekrasow, ze strony polskiej Zbigniew Byrski, Józef Czapski, Jerzy Giedroyc, Gustaw Herling-Grudziński, Dominik Morawski oraz Aleksander Smolar. Dołączyli redaktorzy emigracyjnych pism: węgierskiego „Irodalmi Ujság” Tibor Meray, oraz czeskiego „Svedectvi” Pavel Tigrid. Dodatkowo podniesiono kwestię zagrożeń dla przyszłości, podkreślając, że jedną ze spraw fundamentalnych jest postawa „narodu imperialnego, dla którego tym lepiej będzie, im prędszej zrozumie, że likwidacja sowieckiego kolonializmu leży również w jego własnym interesie, bo tylko ona może zażegnać groźbę przyszłej wzajemnej rzezi”. Zarazem, odnosząc się do przeszłości, autorzy przypomnieli opinii publicznej: „Nie można tu nie wspomnieć krzywd wyrządzonych Ukrainie ze strony wielowiekowego polskiego imperializmu”.

W programie Giedroycia już u schyłku lat 40. XX wieku niepodległość Ukrainy traktowana była jako istotny warunek utrzymania suwerenności Polski. Interesującym i do dziś aktualnym tekstem wśród publikacji temu problemowi poświęconych jest artykuł Józefa Łobodowskiego *Przeciw upiorom przeszłości*, opublikowany jeszcze w roku 1952. Nie jest też przypadkiem, że wokół paryskiego miesięcznika skupiło się, obok Łobodowskiego, spore grono ludzi z Ukrainą związanych: Jerzy Stempowski, Stanisław Vincenz czy Bohdan Osadcuk. I tu wyraźnie widać dramatyczną sprzeczność interesów Rosji i Polski: o ile Moskwa zmierza do unicestwienia Ukrainy, o tyle dążeniem Warszawy jest jej wskrzeszenie.



Fundacja na rzecz
Nauki Polskiej

START 30 lat

Fot. FNP i Stefan Ciechan



KRASP 25 lat



OBCHODY 15-LECIA
KONFERENCJI REKTORÓW
AKADEMICKICH
SZKÓŁ POLSKICH

24 - 26 MAJĄ 2012 R.

